

MAGAZYN *razem z dodatkami*

B2B, czyli będąc samemu sobie szefem

● Prof. Ryszard Tadeusiewicz: Pierwszy lot człowieka w kosmos

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV



Gazeta Krakowska

Piątek
10.04.2026

www.gazetakrakowska.pl

Nr 83 (23 724)
Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

Rozdzielili go z siostrami 17 lat temu. Dziś Marcin z Tarnowa próbuje je odnaleźć **str. 16**



Magda Huzarska-Szumiec: Chciałam się dowiedzieć, dlaczego mój ojciec nie mógł zasnąć **str. 20**

Ralph Kamiński: nie mogą zawierać poczucia własnej wartości osiąganym sukcesom **str. 24**

Nr ISSN 2353-6144

Nr indeksu 35015X



RAFAŁ MAJKA JUŻ NIE JEŹDZI W DESZCZU

- Na szczyt nie dochodzi się przypadkiem. Trzeba być gotowym na ciężką pracę - mówi kolarz z małopolskich Zegartowic. Jak wygląda życie sportowca po zejściu z trasy? **str. 22**

TYDZIEŃ Z GAZETĄ KRAKOWSKĄ

SOBOTA

● MAGAZYN PRZY SOBOCIE

PONIEDZIAŁEK

● DODATEK SPORTOWY

WTOREK

● PULS BIZNESU

ŚRODA

● MAGAZYN ZDROWIE

CZWARTEK

● POD PARAGRAFEM

PIĄTEK

● PULS POLSKI



MAGAZYN PRZY SOBOCIE

- PAWEŁ DOMAGAŁA CIĘŻKO PRACOWAŁ NA SWÓJ SUKCES ● DLACZEGO TIMOTHY DALTON ODRZUCIŁ ROLĘ BONDA? ● ROZTOCZE, MAGICZNY REGION BLISKI NATURY



FOT. UNITED ARTISTS/EAST NEWS

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 12 312 53 88, bok.prenumerata@polskapress.pl, prenumerata.gazetakrakowska.pl

Agaton Koziński



POWRÓT DO LAT OSIEMDZIESIĄTYCH

Wspominając niezwykle życie i dziedzictwo papieża Jana Pawła II - zwłaszcza w 250. rocznicę amerykańskiej niepodległości - uświadomiamy sobie, że aby być wielkim narodem, nigdy nie możemy porzucić naszej wiary w Boga, miłości do ojczyzny i oddania na rzecz wolności" - napisał Donald Trump w specjalnym oświadczeniu, które zostało opublikowane na stronie Białego Domu. W ten sposób amerykański prezydent oddał hołd papieżowi-Polakowi w 21. rocznicę jego śmierci. Ale nie o pamięć w tym oświadczeniu chodziło, lecz o bieżącą politykę. Bo mamy coraz więcej sygnałów, że mamy powrót do lat osiemdziesiątych XX wieku. Hołd dla Jana Pawła II tylko to potwierdza - w końcu on był jedną z najważniejszych ikon tamtej dekady.

Nawiązań do tamtej epoki mamy więcej. Choćby Leon XIV (fizycznie bardzo podobny do papieża z Wadowic), który w czasie swojej pierwszej Wielkanocy w Watykanie zaczął przywracać tradycje tak charakterystyczne dla pontyfikatu Karola Wojtyły. Albo misja Artemis II - nagle Amerykanie ożyli ludzkie marzenia o podboju kosmosu, przygotowują załogowy lot na Księżyc (Artemis II to element przygotowań do niego), mówią o wyprawie na Marsa. Czy nie słyhać w tym echa reaganowskich „gwiazdnych wojen”? Na pewno wyścig do gwiazd był jedną z cech charakterystycznych dekady, którą - obok Jana Pawła II - najsilniej sobą nazaczyli Ronald Reagan, Margaret Thatcher, czy z drugiej strony Michaił Gorbaczow i Wojciech Jaruzelski.

Dzisiaj współczesność definiują nam dwie wojny: na Ukrainie i w Iranie. One wzbudzają najczęściej zainteresowania, stanowią źródło bólu głowy wielu z nas. Wbrew pozorom nie są to wojny odosobnione. Jest dokładnie odwrotnie: wpisują się one coraz silniej w logikę globalnego konfliktu między dwoma blokami. W latach 80. mieliśmy z jednej strony USA wspierane przez inne kraje NATO, z drugiej Związek Radziecki wraz z państwami będącymi jego satelitami. Dzisiaj coraz wyraźniej widać „nową oś zła” - tak Joe Biden określił triumwirat Chin, Rosji i Iranu. Współpracę tych trzech państw widać wyraźnie i na Ukrainie, i w Iranie. Po drugiej stronie mamy „wolny świat”. W ten sposób odtwarza się logika czasów zimnej wojny, której kulminacją były właśnie lata 80.

Czy finał będzie podobny? Niekoniecznie. Nic dwa razy się nie zdarza - to po pierwsze. Po drugie, „wolny świat” dzisiaj definiuje się inaczej niż 40 lat temu. Przede wszystkim jedność NATO mocno wątpliwa. Europa nie widzi powodu, by - jak wtedy - stać jednoznacznie po stronie USA, z kolei Amerykanie też nie zachowują się jak kraj współpracujący z Europą zainteresowany. To dzisiaj chyba największa różnica między tymi epokami. I pewnie ona przesądzi o tym, czy klimat lat 80. powróci w pełni - czy jedynie jako farsa.

POGODA

DZIŚ

MAX 10°C MIN 5°C



JUTRO

MAX 11°C MIN 4°C



Wiatr E 9 km/h
Uwaga: Zachmurzenie duże, ale słońce wyjdzie zza chmur

Wiatr WNW. 9 km/h
Uwaga: Zachmurzenie duże, sobotnie niebo niestety bez słońca

CZEKAJĄC NA OSCYPKI

Pod Tatrami wciąż zimno. Owce czekają na wypas, ale oscypki już się pojawiają.

W ostatnich latach o tej porze roku wiele bacówek już działało, a owce pasły się na polanach. Smakosze z kolei mogli się już zająć wyrobami bacowskimi - w tym oscypkami. Tegoroczna wiosna nie może się rozkręcić. Dwa tygodnie temu kwitły krokusy, tydzień temu spadło ponad metr śniegu, teraz śnieg znika, ale nadszedł chłodny front i zrobiło się naprawdę zimno. - Musimy poczekać - mówi jeden z baców. **Łukasz Bobek**



FOT. MARCIN SZKODZIŃSKI

ROZMOWA DNIA

KSIĘŻA INFLUENCERZY SPRAWIAJĄ WIĘCEJ PROBLEMÓW NIŻ KORZYŚCI

Magdalena Groniek (PAP)
redakcja@polskapress.pl

Rozmowa z abp JÓZEFEM KUPNYM, zastępcą przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski.

Co jest największym wyzwaniem stojącym przed kapłanami - samotność, brak prestiżu czy skandale niektórych duchownych?

Tym, co wydaje się szczególne, jest odzyskanie wiarygodności i autorytetu. Odbudowanie ich zapewne będzie procesem długofalowym, ale działania, które podejmuje Kościół w Polsce - tak mi się wydaje - powinny przynieść owoce. Ważnym krokiem w procesie oczyszczenia jest powołanie przez nas niezależnej komisji do zbadania rozmiaru i charakterystyki zjawiska wykorzystywania osób małoletnich. To ważny krok w celu odbudowania dobrej opinii o duchownych w społeczeństwie. Ksiądz, który doświadczy szacunku wiernych i tego, że jest im potrzebny, będzie czuł się mniej samotny. Ale byłbym tutaj również ostrożny w uogólnianiu. Bardzo wielu księży jest prawych i uczciwych, wiernych swemu powołaniu. Odwiedzając ich w parafiach i słuchając ich, nie uważam, żeby samotność była ich problemem.

Czy kapłan influencer wpisuje się w powołanie? Patrząc na przypadki różnych księży, których moglibyśmy

skategoryzować jako influencerów, wydaje mi się, że wynika z tego raczej więcej problemów niż korzyści. Każdy ksiądz jest powołany do tego, aby wskazywać na Jezusa, a nie na siebie. W przypadku działalności w internecie wraz ze wzrostem popularności coraz trudniej zachować balans pomiędzy tym, by nie skupiać uwagi na sobie, ale na Chrystusie. Internet, a szczególnie media społecznościowe, są współczesnym areopagiem, gdzie toczy się istotna część życia współczesnego człowieka. Mamy coraz większy odsetek tych, którzy komunikują się poprzez social media, dyskutują, wymieniają się informacjami czy handlują. Na pewno Kościół musi tam również być obecny ze swoją propozycją. To droga, którą można docierać do ludzi na peryferiach, którzy niekoniecznie przyjdą do kościoła, ale są aktywni w tej przestrzeni. Dlatego na pewno jest to przestrzeń do podejmowania prób ewangelizacji. Problem zaczyna się wtedy, kiedy zamiast Chrystusa ktoś siebie samego stawia w centrum. Na pierwszym miejscu ma być to, do czego dany kanał czy profil służy. Jeżeli jest to na przykład profil parafialny, to nie może być teatrem jednego aktora.

Z roku na rok maleje liczba księży. Czy to, co inspirowało wybierających drogę kapłaństwa pod koniec XX w., dzisiaj nie fascynuje młodych?



FOT. KONFERENCJA EPISKOPATU POLSKI

PRZYRODA

Obleźony jak jeź

Są dwa wiosenne momenty, których nie cierpię. To rozjechane kołami samochodów żaby, ropuchy i jeże. Kwestia wędrujących na gody żab trawnych i ropuch szarych została rozwiązana definitywnie przez minione dekady. Wszystko, co było do rozjechania zostało rozjechane. Lament żałobny o płazach zostawię na później. Za to jeże wciąż giną pod kołami pojazdów. Może mniej licznie niż żaby i ropuchy, ale giną. Niektóre dane mówią, iż populacja europejskich jeży zmalała o jedną trzecią. Jakim cudem jeże jeszcze nie wyginęły tak jak płazy, pozostaje dla mnie zagadką. Jeź jest generalnie zwierzęciem ogrodowym. Czasem nawet miejskim. I zawsze mile widzianym. Ponoć dzięki kolcom nie ma wrogów. Nic bardziej błędnego. W gęstwinie kolców roi się od kleszczy i pcheł. Ponoć standardowa obsada jednego zwierzęcia liczy do dwóch setek krwiopijców. Choćby kleszczy i pcheł. Jeśli dotychczas o tego mieszkającego w jelitach robaki, to jeź jawi się jako jedna z najbardziej obleźonych przez pasożyty istot. Właściwie cały czas prowadzi życie na krawędzi. Nawet ostre kolce i wypracowana przez miliony lat strategia obronna przegrywa w konfrontacji z samochodami. Na widok pojazdu zwijają się w kolczastą kulę i ... ginie. Samochody to jeszcze nic. Nawet w najbardziej przyjaznych jeżom, ekologicznym ogrodach czeka na nich nowe i zabójcze niebezpieczeństwo, ale to już historia na następny raz. **Grzegorz Tabasz**

Dochody rodziny monarchiej	Trasa wyścigu pod górę	Poranny - na obozie	Oreiro lub Lesz	19	Duża jaszczurka z tropików	Żona Izaaka	Niska kanapa	Kreseczka w odejmowaniu	Gliniany flet
	13					Konkurent Persilu	18		20
Unosi się nad bagnami					Sklepik z odzieżą ... Taylor	27	2		14
Szczegóły, drobności	3					Zespół A. Chylińskiej			
Leszek, b. gimnastyk						25	16		7
Na głowie fr. żołnierza	28	Pobrana do zbadania	Sport Andrzeja Suprona					8	10
	29					Dziewczynka		Uchwyty przy koniu gimnastycznym	
Go lub szachy								9	
Wyspa, więzienie Napoleona I		Wyrabia jawajki lub pacynki	22	... wodna, czyli działko wodne	Audika	Mirosław, grał w filmie „Reich”	Beczka na piwo	15	Nici bawełniane do haftu
Angielski „hektar”					Wygnani z niego Adam i Ewa	4m ³ drewna	Łącznik metalowych elementów	17	4
Ozdoba spodni ułana			21						
Tkanina o delikatnym połysku		Lina do stawiania żagla		Zacina się mówiąc Szalom, pisarz		11	Poukładane w stertę siano		Kończyna psa
								1	
Grała w serialu Marusię					Wiesław, grał rolę Czereśniaka				24
Piesza impreza turystyczna				6	Kuzyn koczko-dana		”... wróc”, przebój Perfectu		26
									5

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 29 utworzą rozwiązanie.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Copyright by Technopol

Otaczamy Ciebie
i Twój słuch
wyjątkową opieką



ZADBAJ
o swój słuch
już dzisiaj

Nie domyślaj się słów. **Usłysz je.**

Lubisz to uczucie, gdy wpisujesz brakujące słowo w krzyżówce i wszystko nagle pasuje?

Tak samo powinien działać Twój słuch. Bez zgadywania, bez domyślania się z kontekstu i bez męczącego wysiłku, by zrozumieć sens zdania.

Umów się na **bezpłatne badanie słuchu** w najbliższym Centrum Słuchu Audika.

Infolinia: tel. 42 237 43 66
www.audika.pl/oddzialy

Audika

KRÓTKO

ZMIANY NA ZAKOPIANCIE

Nowy węzeł z tunelem w Krzyszkowicach już otwarty

Na zakopiance został otwarty nowy węzeł w Krzyszkowicach w gminie Myślenice. To obiekt z tunelem pod drogą krajową nr 7. Oddano go do użytku wczoraj. Wraz z nim Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad oddała jeszcze ponad 400 metrów dróg lokalnych. Mimo otwarcia nowego obiektu na zakopiance trwają tam prace wykończeniowe, likwidowane jest przejście dla pieszych po zakopiance, montowane ostatnie znaki.

A na drodze jest bezpieczniej, ciszej, ruch bardziej płynny. Inwestycję wykonała firma Nowak-Mosty, a jej koszt wyniósł ponad 90 mln zł.

Węzeł Krzyszkowice udało się otworzyć przed ostatecznym terminem zakończenia prac. Mimo szczególnie mroźnej zimy w tym roku. Drogowcy przyznają, że ten zimowy okres spowolnił trochę wykonawców, ale nie wstrzymał całkowicie robót.
Barbara Cirynt

PODHALE

Krokusy kontra śnieg



FOT. MARCIN SZKODZIŃSKI

Po niedawnym ataku zimy, który na ponad tydzień przykrył Podhale grubą warstwą białego puchu, śnieg w końcu zaczął ustępować. Spod topniejącej pokrywy ponownie wyłaniają się krokusy, jednak widok, jaki zastali przyrodnicy i turyści, nie napawa optymizmem. Ciężki, mokry śnieg zostawił po sobie wyraźne ślady, a fioletowe morze kwiatów, do którego przywykliśmy w ubiegłych latach, stoi pod znakiem zapytania.

Krokusy, które zdążyły się już rozwinąć przed nadejściem mroźnego frontu, ucierpiały najbardziej. Gruba i wilgotna warstwa śniegu dosłownie przygniotła delikatne płatki do ziemi.

Choć niżej położone łąki w Kościelisku czy Witowie wy-

glądają obecnie na mocno sfałgowane, fani krokusów nie powinni jeszcze tracić nadziei. Oczy wszystkich zwrócone są teraz na wyżej położone polany.

Dolina Chochołowska oraz Kalatówki mogą okazać się wybawieniem dla spóźnialskich turystów. Tam rośliny rusza z lekkim opóźnieniem, dzięki czemu większość kwiatów nie zdążyła się rozwinąć przed ostatnią śnieżycą. Jeśli pogoda pozwoli, to właśnie tam fioletowe dywany mają szansę przetrwać w nienaruszonym stanie.

Niestety, walka krokusów o przetrwanie jeszcze się nie skończyła. Prognozy na najbliższe dni są bezlitosne dla wiosennej aury.
Marcin Szkodziński

10

tyle miesięcy miał trwać remont mostu Grunwaldzkiego w Krakowie, prace, które są utrudnieniem dla pieszych i rowerzystów wciąż trwają.

KRAKÓW
Awaria szlabanów kolejowych w Krakowie. W Bieżanowie były duże utrudnienia. W czwartkowy poranek, w godzinach szczytu, na krakowskim Bieżanowie doszło do awarii szlabanów na przejazdach kolejowych. Unie-

możliwiło to przejazd samochodów oraz autobusów MPK przez tory kolejowe. Awaria spowodowała duże utrudnienia w ruchu pojazdów komunikacji miejskiej. W związku z zaistniałą sytuacją linie 153, 195, 234 i 284 kierowane były trasy objazdowe.

Innowacyjne paliwo z osadów ściekowych zastąpi węgiel?

Sławomir Bromboszcz
Małopolska

Produkcja paliw alternatywnych z osadów ściekowych? Prace prowadzone przez Wodociągi Chrzanowskie pokazują, że może to być realna szansa na wartościowy produkt energetyczny.

Pierwsza faza badań koncentrowała się na analizie składu paliwa. Kluczowym jego komponentem jest osad ściekowy, który uzupełniany jest odpowiednio dobranymi trocinami oraz wysoko reaktywnym wapnem tlenkowym (CaO). Ten ostatni składnik okazuje się szczególnie istotny, ponieważ podczas spalania wiąże związki siarki. W praktyce oznacza to, że paliwo nie tylko dostarcza energii, ale również ogranicza emisję siarkowodoru do atmosfery. Mamy więc do czynienia z rozwiązaniem, które jednocześnie odpowiada na dwa problemy - energetyczny i środowiskowy - wyjaśnia Szymon Wyrwik, dyrektor ds. innowacji i rozwoju Wodociągów Chrzanowskich.

Wyniki badań laboratoryjnych są bardzo obiecujące. Uzyskane paliwo osiąga wartość opałową na poziomie około 13 - 15 MJ/kg, czyli porównywalną z węglem brunatnym. To poziom, który pozwala myśleć o realnym wykorzystaniu w energetyce. W całym procesie dochodzi do fundamentalnej zmiany podejścia do osadów ścieko-



FOT. SŁAWOMIR BROMBOSZCZ

Szymon Wyrwik z Wodociągów Chrzanowskich opowiada o rewolucyjnym paliwie

wych - przestają być odpadem, a stają się produktem. - Dążymy w kierunku osiągnięcia samowystarczalności energetycznej, zero emisyjności oraz by stać się przedsiębiorstwem zero odpadowym - zaznacza Wyrwik.

Druga faza badań będzie bardziej zaawansowana, realizowana we współpracy z Akademią Górniczo-Hutniczą oraz firmą Mikrobiotech. Naukowcy skupią się na szczegółowej analizie procesów spalania, sprawdzając m.in. ilość powstającego popiołu, możliwości jego zagospodarowania oraz wpływ mikroelementów obecnych w osadach na przebieg całego procesu. Te kwestie zdecydują o tym, czy technologia będzie mogła zostać w przyszłości wdrożona.

Kiedy paliwo alternatywne może zacząć być produkowane? Zależy od wyników analiz. Jeśli okażą się pozytywne, kolejnym krokiem będzie wykonanie koncepcji, która w przyszłości może stanowić początek inwestycji.

Znaczenie tego typu projektów rośnie wraz z narastającym problemem osadów ściekowych. Choć ilość ścieków nie rośnie, ilość osadów się zwiększa. Przedsiębiorstwa mają do dyspozycji kilka metod zagospodarowania, jednak każda wiąże się z ograniczeniami. Spalanie jest możliwe głównie w dużych instalacjach, jak Oczyszczalnia Czajka czy Oczyszczalnia Płaszów w Krakowie, co wyklucza mniejsze podmioty ze względu na ogromne koszty. Rolnicze wy-

korzystanie osadów budzi coraz większe wątpliwości, m.in. ze względu na obecność mikroplastiku czy potencjalnych patogenów. Popularne pozostają kompostowanie oraz suszenie osadów i ich wykorzystanie np. w cementowniach, jednak i te rozwiązania nie rozwiązują problemu systemowo.

Produkcja paliwa alternatywnego jawi się jako rozwiązanie przełomowe. Zmienia dotychczasowy model ekonomiczny - zamiast ponosić koszty związane z odbiorem i zagospodarowaniem osadów, przedsiębiorstwa mogłyby oferować je jako pełnowartościowy surowiec energetyczny. Taa zmiana stanowi jeden z najwęższych atutów tej technologii.

Szukamy kontaktu z członkami Stowarzyszenia Seniorów Prasy Krakowskiej

Niemal 30 lat temu - w styczniu 1997, powstało Stowarzyszenie Seniorów Prasy Krakowskiej. Jego celem było otaczanie opieką i udzielanie pomocy emerytom i rencistom byłego Krakowskiego Wydawnictwa Prasowego, a także tych wydawnictw, które przystąpiły do niego jako członkowie wspierający. Pomysłodawcą powstania tej organizacji i jej pierwszym prezesem był red. Janusz Jakubowski z „Dziennika Polskiego”, natomiast pierwszym członkiem wspierającym, udzielającym rzeczowej i finansowej pomocy nie tylko

byłym pracownikom „Dziennika”, ale także byłego Krakowskiego Wydawnictwa Prasowego i zlikwidowanych redakcji było Wydawnictwo „Jagiellonia” S.A. Członkowie stowarzyszenia korzystali m.in. z bezpłatnej pomocy lekarskiej w „MEDICINIE” i ulgowych obiadów w bufecie przy ul. Wielopole, gdzie dawniej mieściły się krakowskie redakcje oraz pomocy w zakupie leków, sprzętu rehabilitacyjnego itp. Była to także platforma do spotkań towarzyskich kolegów z „Dziennika Polskiego”, „Echa Krakowa”, „Gazety Krakowskiej”,

„Przekroju” i „Tempa” i administracji wydawnictwa.

To już jednak zamierzchna przeszłość - stowarzyszenie bardzo się postarzało... Dość powiedzieć, że jego najmłodszych członków liczy lat...76, a na liście pozostało zaledwie 29 osób. Itu - miła niespodzianka. Na koncie SSPK jest bowiem kilkadziesiąt tysięcy (głównie spadek po jednej z członkiń), które - na mocy uchwały zarządu - trafią do emerytowanych dziennikarzy i pracowników administracji. - Niestety nie jesteśmy w stanie dotrzeć z tą informacją do wszystkich członków naszego stowa-

rzyszenia. Nie udało nam się skontaktować ani telefonicznie, ani listownie z pięcioma osobami. Są to panie: Ewa Augustyn, Elżbieta Batczyk, Stanisława Bańduła, Bogumiła Malinowska i Halina Małys. Bardzo prosimy je (lub ich rodziny) o kontakt z Bożeną Klimowską, kierującą Biurem Zarządu Grupy Jagiellonia, tel. 503 078 370. Jeśli nie uda się to do 31 maja 2026, osoby te będą musiały zostać skreślone z listy członków, a tym samym pominięte przy podziale pieniędzy - mówi Barbara Rotter-Stankiewicz, prezes Stowarzyszenia. ©©

Kraków nie rezygnuje z basenu olimpijskiego

Piotr Tymczak
piotr.tymczak@polskapress.pl

Basen olimpijski miał powstać w Krakowie przy Technikum Łączności przy ul. Monte Cassino. Zrezygnowano z tej lokalizacji. Miasto nie rezygnuje jednak z 50-metrowej pływalni.

- Pozostajemy w stałym kontakcie z Polskim Związkiem Pływackim, z którym konsultujemy wymagania techniczne i funkcjonalne, jakie powinien spełniać basen tej rangi. Pozwala to uwzględnić zarówno standardy sportowe, jak i potrzeby związane z organizacją zawodów na wysokim poziomie - informuje Sławomir Farbaniec z Zarządu Infrastruktury Sportowej w Krakowie. - Skala i znaczenie tego przedsięwzięcia wymagają starannego przygotowania na każdym etapie planowania - dodaje Sławomir Farbaniec.

Obecnie analizowane są potencjalne tereny, które mogłyby zostać przeznaczone pod reali-



Koncepcja basenu olimpijskiego w Krakowie. Gdzie mógłby powstać?

zacje budowy basenu olimpijskiego.

Gdzie mógłby powstać basen olimpijski, a więc z torami o długości 50 metrów?

Jedną z potencjalnych lokalizacji są tereny w Nowej Hucie w rejonie istniejących obiektów sportowych przy ul. Ptaszyckiego, gdzie już znajduje się basen 25-metrowy. Drugą z lokalizacji to tereny w Czyżynach w sąsiedztwie Akademii Kul-

tury Fizycznej. Miasto bierze też pod uwagę obszar Rybitw i Płaszowa. Niedawno został zaprezentowany masterplan dotyczący nowego zagospodarowania tych terenów.

Przypomnijmy, że początkowo, jeszcze za kadencji Jacka Majchrowskiego, basen olimpijski planowano wybudować na terenach Technikum Łączności przy ul. Monte Cassino. Założenie było takie,

że basen olimpijski służyłby sportowcom, a na co dzień młodzieży szkolnej i mieszkańcom. Projekt zakładał, że basen 50-metrowy będzie można w razie potrzeby podzielić na dwa 25-metrowe, albo cztery jeszcze mniejsze baseny.

Ostatecznie zrezygnowano z tej lokalizacji. Przeciwnicy inwestycji mocno protestowali okoliczni mieszkańcy. Alarmowali, że tak duża inwestycja doprowadzi do zniszczenia dużego obszaru zieleni.

Przy Technikum Łączności przy ul. Monte Cassino teraz planuje się inne rozwiązanie. ZIS ogłosił postępowanie dotyczące budowy nowoczesnej hali sportowej. W budynku powstanie boisko o wymiarach 40 x 20 metrów, na którym będzie można grać m.in. w futsal, koszykówkę i siatkówkę, a także uprawiać wspinaczkę. Halę będzie można podzielić kotarami na trzy mniejsze, niezależne boiska. Zaplanowano też trybuny na 132 miejsca, cztery szatnie, pokój dla trenerów oraz magazyny.

Może przepaść 5,5 mln zł dotacji na przebudowę drogi Mokrzyńska - Radłów

Paweł Michalczyk
pawel.michalczyk@polskapress.pl

Gmina Borzęcin wycofała się ze współfinansowania remontu drogi powiatowej biegnącej częściowo po jej terenie i obejmującej m.in. budowę wyczekiwanego chodnika w Warysiu.

Inwestycja uzyskała 5,5 dofinansowania z Rządowego Funduszu Rozwoju Dróg, ale wszystko wskazuje że w obliczu decyzji władz gminy pieniądze przepadną, a remont nie zostanie wykonany.

O sprawie zrobiło się głośno, gdy starosta brzeski Andrzej Potępa poinformował podczas marcowej sesji Rady Powiatu, że wójt gminy Borzęcin nie złożył jednoznacznej deklaracji o współfinansowaniu zadania w wysokości 25 procent jego wartości. Chodziło o ok. 2,75 mln zł w rozbiću na dwa lata.

- Nie podpiszę umowy o dofinansowaniu, jeśli nie będzie deklaracji pełnego współfinansowania ze strony gminy Borzęcin. Więc jesteśmy przygo-

towani. Teraz czekamy na tą deklarację. Jeśli takiej deklaracji nie będzie, ta inwestycja nie będzie realizowana - powiedział podczas starosta.

Powiat brzeski, podobnie jak powiat bocheński, realizuje remonty na drogach powiatowych w formie montażu finansowego. Zgodnie z nim połowę wartości inwestycji stanowi dotacja rządowa, a pozostała część finansują po połowie powiat brzeski i gmina, na terenie której inwestycja jest realizowana.

23 marca Andrzej Potępa uczestniczył w posiedzeniu komisji w gminie Borzęcin, gdzie samorząd gminny zaproponował partycypację w kosztach, ale dotyczących jedynie budowy chodnika w Warysiu. Udział gminy miałby więc wynieść 700 tys. zł zamiast oczekiwanych przez powiat 2,75 mln zł z podziałem na dwa lata.

Andrzej Potępa i zapowiada, że przy braku pełnego dofinansowania ze strony gminy Borzęcin inwestycja opiewająca na 11 mln zł nie dojdzie do skutku.

REKLAMA

0011504498

TAURON Festiwal Kwiatów i Sztuki

ODYSEJA CZASU
ZAMEK KSIĄŻ W WAŁBRZYCHU

30.04 - 3.05

WAŁBRZYCH 1426-2026

MECENAS ZAMKU KSIĄŻ

Park Miejski znów dla spacerowiczów. Koniec porządków po zimie

Marcin Szkodziński
Zakopane

Z krajobrazu centrum Zakopanego zniknął płot okalający „Krajinę Miliona Światel”, a służby zakończyły niezbędne prace naprawcze, przywracając zieleni jej naturalny charakter.

Zimowa wystawa iluminacji, choć cieszyła się zainteresowaniem, pozostawiła po sobie ślady wymagające interwencji. Największym wyzwaniem dla ekip technicznych były głębokie koleiny, które powstały w wyniku poruszania się ciężkiego sprzętu - podnośników oraz ładowarek używanych przy demontażu konstrukcji. W miejscach tych nawieziono nową warstwę ziemi i wyrów-

nano teren. Wysiano nową trawę, która przy sprzyjających warunkach zazieleni trawniki.

Naprawione zostały uszkodzone kamienie w alejkach spacerowych, które ucierpiały pod wpływem ciężaru maszyn i zmiennych temperatur. Dzięki tym zabiegom park odzyskał estetyczny wygląd i jest przygotowany na nadejście prawdziwej wiosny.

Infrastruktura parkowa, choć gotowa, świeci pustkami. Jedynie nieliczni zdecydowali się na aktywność na świeżym powietrzu. W skateparku można było spotkać jednego młodzieńca, który mimo mroźnego podmuchu ćwiczył ewolucje na deskorolce, a na placu zabaw oraz głównych traktach pojawili się najbardziej wytrwali rodzice z dziećmi w wózkach.



Park Miejski otwarty dla spacerowiczów. Koniec porządków po zimowych atrakcjach

Skawińska Karta Mieszkańca, czyli taniej

Barbara Cirył
barbara.cirył@polskapress.pl

Gmina Skawina wprowadza Kartę Mieszkańca. To program zniżek i ulg, który zaczął już działać. Mieszkańcy mogą korzystać z tańszych usług miejskich, korzystając z niższych cen biletów.

Tańsze bilety do instytucji kultury, zniżki np. na basen, a także rabaty u lokalnych partnerów gminy oferujących atrakcje, zajęcia, wydarzenia. Tak samorząd zachęca do płacenia podatków w Skawinie i wspierania lokalnych przedsiębiorców.

Skawińska Karta Mieszkańca działa od 31 marca. To program dla osób zameldowanych i rozliczających podatek dochodowy (PIT) w gm. Skawina. Mogą z niego korzystać rodziny, osoby pracujące, uczniowie, studenci.

Karta jest reklamowana jako klucz do miejskich udogodnień i lokalnych zniżek. Dotyczy kultury, sportu, usług i zakupów. W Skawinie to innowacyjny program, który powstał z myślą o mieszkańcach, ich komforcie i zaangażowaniu w życie lokalne. To nie tylko narzędzie ułatwiające korzystanie z oferty gminy, ale także sposób na wspieranie rodzimych firm i aktywizację społeczności. - Łatwiejszy dostęp do usług, zniżki i realny wpływ na naszą gminę - wszystko w Twoim telefonie lub portfelu - reklamują kartę skawiniacy urzędnicy.

Partnerzy gminy w programie tej karty to lokalni przedsiębiorcy, którzy mogą zgłaszać się do programu, oferując rabaty w swoich firmach i usługach, a tym samym promować swoje działania i oferty lokalnych odbiorców.

Ciężkowice uzdrowiskiem? Kolejny krok w tym kierunku

Robert Gąsiorek
robert.gasiorek@polskapress.pl

Władze Ciężkowic chcą, aby turyści korzystali z wód leczniczych z odwiertu „Ignacy”. Do Starostwa Powiatowego wpłynął wniosek o pozwolenie na budowę infrastruktury turystycznej z tym związanej.

Ciężkowice od kilku lat aspirują, aby stać się miejscowością uzdrowiskową. Samorząd pogórzańskiego miasteczka mocno inwestuje w infrastrukturę turystyczną. Powstała m.in. ścieżka w koronie drzew, park zdrojowy, a już od lat dużą popularnością cieszy się Skamieniało Miasto.

W 2022 roku wykonano natomiast odwiert „Ignacy”. Dokończono go wtedy do wód siarczkowych, które mają właściwości lecznicze. Wciąż jednak nie jest ona wykorzystywana. - Każdy dzień przybliża nas do tego, że odwiert zostanie zagospodarowany. Mozolne prace administracyjne niestety muszą trwać. Natomiast chcemy, żeby ta woda w końcu wypłynęła. Chcemy zasilić w tę wodę nasz park zdrojowy, ale również wokół tego odwiertu też chcielibyśmy zrobić dodatkowe atrakcje - mówi Jowita Jurkiewicz-Drag, burmistrz Ciężkowic.

Samorząd podtarnowskiego miasteczka zrobił kolejny krok w tym kierunku. 24 marca gmina Ciężkowice złożyła do Starostwa Powiatowego w Tamowie wniosek na budowę



Ciężkowice planują rozbudowę parku zdrojowego. Popłynie w nim woda lecznicza z odwiertu „Ignacy”.

infrastruktury turystycznej z wykorzystaniem lokalnych zasobów wód siarczkowych z odwiertu „Ignacy”. Inwestycja zakłada budowę nowych obiektów wokół odwiertu, a także rozbudowę znajdującego się w sąsiedztwie parku zdrojowego, w którym niecki mają zostać wypełnione wodami leczniczymi.

Koło odwiertu jest planowane coś na zasadzie parku wodnego, gdzie pojawią się fontanny i miejsca, gdzie będzie można korzystać z wód siarczkowych. - Będzie to taka nowa część parku zdrojowego. Już teraz jest niezbędna w tym miej-

scu, bo widać, że taki małeńki basenik, który tam jest, to w okresie, kiedy jest ciepło, gromadzi tłumy osób, rodziców z dziećmi, więc myślę, że taki park wodny w pobliżu będzie strzałem w dziesiątkę. Oczywiście to nie będą baseny, w których będzie można pływać, ale miejsce

Każdy dzień przybliża nas do tego, że odwiert zostanie zagospodarowany - mówi Jowita Jurkiewicz-Drag, burmistrz Ciężkowic

do moczenia się i korzystania z dobrodziejstw wody źródlanej - podkreśla burmistrz Ciężkowic.

Władze miasteczka równolegle starają się o uzyskanie koncesji na wydobycie wód leczniczych. - Nie możemy tego robić my jako gmina, tylko musimy powołać spółkę, która będzie wykonywała te obowiązki. Mam nadzieję, że jak najszybciej tę koncesję uda nam się uzyskać, żebyśmy mogli już zacząć działać - podkreśla Jowita Jurkiewicz-Drag.

Ciężkowice dążą, by finalnie miasteczko uzyskało status miejscowości uzdrowiskowej.

Kto zapłaci za bezpieczeństwo? Jest spór o monitoring nowego przejścia w Nowym Sączu

Klaudia Kulak
klaudia.kulak@polskapress.pl

Budowa linii kolejowej Podłęże-Piekiełko zmienia oblicze Nowego Sącza. Jedną ze zmian jest nowe przejście podziemne przy tzw. Kocich Plantach wokół którego narósł konflikt o monitoring.

Pierwsze sygnały o problemie pojawiły się ze strony mieszkańców osiedla Wólki. Jak przekazał w mediach społecznościowych przewodniczący osiedla Maciej Rogórz, mieszkańcy wskazywali na konieczność objęcia przejścia monitoringiem. W odpowiedzi na ich postulaty prezydent miasta Nowego Sącza zwrócił się do PKP PLK z oficjalnym wnioskiem o montaż kamer.

W piśmie skierowanym pod koniec marca do dyrektora



Przejście przy Kocich Plantach w Nowym Sączu

Mateusza Wanata podkreślił znaczenie całej inwestycji - Jestem bardzo zadowolony z postępu prac przy modernizacji linii kolejowej numer 104 na trasie Chabówka-Nowy Sącz. To niezwykle ważna zarówno dla Nowego Sącza, jak i całego re-

jonu inwestycja - pisał Handzel.

Zwrócił się do PKP PLK z prośbą o montaż kamer w przejściu. Zaznaczył, że monitoring mógłby znacząco poprawić bezpieczeństwo i estetykę w tym rejonie, a także ograniczyć ryzyko aktów wandalizmu i innych niepożądanych zachowań.

Zaproponował też włączenie kamer do miejskiego systemu nadzoru. - Zamontowane przez państwa kamery zostałyby włączone do systemu miejskiego monitoringu obsługiwanego przez Miejskie Centrum Zarządzania Kryzysowego i Monitoringu - dodał Handzel.

Odpowiedź PKP Polskie Linie Kolejowe jest jednak jednoznaczna. Jak wyjaśnił rzecznik spółki, Piotr Hamarnik, decyzja opiera się na porozumieniu zawartym w 2019 roku: - Utrzy-

manie obiektu, który pozostaje w rejonie Kocich Plant, czyli przejścia podziemnego, które de facto nie pełni funkcji kolejowej, ponieważ nie prowadzi na perony, to zadanie samorządu Nowego Sącza - podkreślił w rozmowie z „Gazetą Krakowską” Hamarnik.

Jak dodał, spółka bazuje na wcześniej podpisanych umowach i nie planuje instalacji monitoringu w tym miejscu.

To oznacza, że ewentualne objęcie przejścia monitoringiem może spaść na barki miasta. Na razie nie wiadomo, czy samorząd zdecyduje się ponieść koszty instalacji i utrzymania systemu.

Tymczasem czas nagli. Otwarcie przejścia planowane jest na czerwiec, równoległe z uruchomieniem pierwszych pociągów na zmodernizowanej linii kolejowej nr 104.

Spięty z płytą „Full H.D.” 11 kwietnia w krakowskim klubie Studio



FOT. LUKASZ SZALKOWSKI

Pochodzących z najnowszej płyty piosenek posłuchamy 11 kwietnia o godz. 19.15 w klubie Studio. Bilety od 89 zł

Paweł Gzyl
pawel.gzyl@polskapress.pl

Do niedawna był wokalistą rockowego zespołu Lao Che. Dziś ma na koncie cztery płyty solowe. Najnowsza to „Full H.D.”. Pochodzących z niej piosenek posłuchamy w sobotę w klubie Studio.

Najnowszy album Spiętego, który ukazała się w lutym tego roku, powstał w opozycji do jego poprzedniego krążka. O ile „Heartcore” sprzed trzech lat zawierał intymną muzykę i konfesyjne teksty, tak „Full H.D.” przynosi zupełnie odmienną zawartość. Tym razem wokalista postawił na taneczne rytmy: mamy więc zarówno disco i funk, jak i bolero czy tango. Towarzyszą im w tekstach ogólne rozważania na temat stanu współczesnego świata, ubrane w ironiczny ton i zabawne gry słowne.

Naprawdę nazywa się Hubert Dobaczewski i pochodzi z Płocka. Już jako nastolatek chodził na koncerty rockowe, organizowane w lokalnych klubach. Mając potrzebę odreagowania typowego dla tego wieku buntu, początkowo słuchał punka i metalu. Kiedy zobaczył na scenie płocki zespół Farben Lehre, pomyślał: „Ja też tak chcę”. W efekcie powołał do życia grupę Aberration, która miała krótki żywot.

Na polskie osiedla wdarł się bowiem szturm w połowie lat 90. nowy gatunek muzyczny - hip-hop. Hubert od razu odnalazł w kleconych nieporadnie przez rodzimych raperów łobuzerskich rymach swoje własne niepokoję i frustrację. Dlatego namówił kolegę o pseudonimie Denat z metalowego zespołu Hazael na założenie duetu Koli. - Zagraliśmy ze 30-40 koncertów. Wykorzystywaliśmy zrobione wcześniej podkłady, do których darliśmy mordę, jak zwiariowani

punkowcy. To była głupawka, drwiliśmy sobie z hip-hopowych gestów, tak, że cała scena nas wykleła. Ale ludzie i tak przychodzili na nasze występy, aby zobaczyć, co tym razem wymyślimy - mówimy nam Spięty.

Z czasem pomysły domorskich raperów wyczerpały się i zatęsknili oni za rockiem. Tak narodziła się w 1999 roku grupa Lao Che. Każda z ich kolejnych płyt była trochę inna: „Gospel” czerpał z folkloru, „Prąd stały/Prąd zmienny” odwoływał się do nowej fali z lat 80., z kolei „Soundtrack” rezonował echemi muzyki klubowej. Mimo artystycznych i komercyjnych sukcesów Lao Che z czasem straciło rozpęd - i w 2022 roku zespół zakończył działalność.

Spięty już w 2009 roku postanowił zrobić skok w bok i nagrał autorską płytę „Antyszanty”. To przygotowało grunt pod jego solową działalność. W efekcie wystartował z własnymi piosenkami, które trafiły na płytę „Black Mental”. Ku zaskoczeniu fanów przyniosła ona zwrot w stronę hip-hopu. Choć materiał spotkał się z ciepłym przyjęciem, dwa lata później wokalista wykonał kolejną woltę. „Heartcore” okazał się intymną rozmową Spiętego z samym sobą, rozpisaną na balladowe piosenki z pogranicza alternatywnego popu i folku. Bardziej ekspresyjną muzykę przyniósł wydany w tym roku „Full H.D.”. Album trafił od razu na pierwsze miejsce najlepiej sprzedających się płyt w Polsce. - Właściwie nigdy nie mam satysfakcji z nagranych płyt. Dlatego robię kolejne. To jest motorem. Kiedy nagrywam jakiś album, albo uczestniczę w jego nagrywaniu, to mi się podoba. A potem zaraz przestaje. Dlatego ciągle szukam jakiegoś rozwiązania, z którym bym się poczuł wreszcie jak w domu - śmieje się piosenkarz.

„Gotyk w Karpatach”. Takiej wystawy jeszcze nikt nie zrobił

Anna Piątkowska
Kraków

Blisko sto dzieł sztuki, wśród nich rzadko lub nigdy nie prezentowane na wystawach, złożyło się na ekspozycję Muzeum Narodowego w Krakowie „Gotyk w Karpatach”.

- Ta wystawa wprowadza do naszego myślenia o sztuce gotyckiej aspekt regionalny, który jest bardziej adekwatny, jeśli chodzi o czas, kiedy ta sztuka powstawała. Dzisiejsze państwa narodowe znajdujące się na terenie Łuku Karpat i granice mają się nijak do tego regionu artystycznego, jakim były Karpaty pod koniec średniowiecza. Pokazujemy więc nową geografję kulturalną tej części Europy i geo historię sztuki, będącą ważnym kierunkiem w myśleniu o dziejach sztuki - wyjaśnia Andrzej Szczerski, dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie. - Ta wystawa pokazuje, że o Europie Środkowej możemy mówić już od średniowiecza.

Blisko sto dzieł sztuki opowiada o sztuce późnego średniowiecza powstałej na terenie Łuku Karpat. Wśród prezentowanych dzieł do najcenniejszych eksponatów należą, m.in. popiersie będące jedynym zachowanym fragmentem Krucyfiksu Ostrzyhomskiego, rzeźbę św. Jana Chrzyciela z Roades autorstwa Wita Stwosza młodszego, syna słynnego rzeźbiarza, a także Chrystusa Frasobliwego

Mistrza Pawła z Lewoczy z katedry preszowskiej, Krucyfiks Siedmiogrodzki z kościoła Franciszkanów w Wiedniu. - Gotyk był pierwszym europejskim stylem powszechnym dlatego można o nim mówić w szerokim ogólnoeuropejskim kontekście. Karpaty pojawiają się z tej przyczyny, że pojęcia z zakresu topografii są pierwotne, z natury rzeczy poprzedzając ekonomię, państwo, duchowość czy prawo, stąd nie miałem wątpliwości, że jest to właściwy dla tego tematu zakres przestrzenny. Taka perspektywa dała nam informację, że te same warsztaty, ci sami artyści działali z obu stron gór, mamy tu do czynienia ze swoistym zwartym obszarem kulturowym, który można objąć jedną definicją - wyjaśnia kurator wystawy dr Wojciech Marcinkowski.

Prezentowane dzieła pochodzą z krajów regionu karpacciego: Polski, Czech, Austrii, Słowacji, Węgier i Rumunii, ale także Francji, Belgii, Szwajcarii i Niemiec. Obiekty na krakowski pokaz trafiły z muzeów i kościołów, wśród nich szczególnie ciekawym eksponatem jest wypożyczona z Luwru z Madonna z Užhorodu.

Jak zaznaczył Andrzej Szczerski, wystawy sztuki średniowiecznej odbywają się w muzeach niezwykle rzadko, ze względu na ich skomplikowanie organizacyjne, wymogi konserwatorskie, ale też ogromną liczbę kwereń.

Zgromadzone w Gmachu Głównym MNK dzieła przyspie-



FOT. AP

Pokaz w Gmachu Głównym trwa do 9 sierpnia

szą bicie serca u niejednego miłośnika sztuki nie tylko średniowiecza, także ich niezwykłą ekspozycja, która odzwierciedla układ kościoła z podwyższonym prezbiterium na osi pozwalająca na podział eksponatów na trzy zasadnicze części, a także dając możliwość pozostania z eksponatem w osobistym, intymnym kontakcie. Wystawę otwiera część multimedialna, w której zgromadzone zostały przedmioty kreślące historyczny rys oraz wpływy dynastii Andegawenów, Hunyadych, Habsburgów, Jagiellonów.

- We właściwej części wystawy zastosowaliśmy podział na trzy części, w nawie lewej znalazły się dzieła sztuki związane z warstwą znaczeniową: ikonografią, przesłaniem tematycznym ilustrujące relacje mie-

dzy Kościołem powszechnym a kultami lokalnymi. Staramy się wskazać, czy istniały szczególne właściwości sztuki sakralnej na obszarze Karpat - wyjaśnia Wojciech Marcinkowski.

W części, która symbolizuje prezbiterium znalazły się obiekty, które ilustrują „zadania” sztuki gotyckiej, to głównie retabula skrzydłowe ołtarzy, a także epitafia i przedstawienia dewocyjne - dzieła sztuki odnoszące się do pobożności indywidualnej, obrazy ubarwiającej liturgii Wielkiego Tygodnia.

- Prawa nawy została poświęcona case studies z zakresu wzajemnych relacji zachodu ze wschodem i północą z południem. Zgrupowaliśmy tu dzieła pokazujące wzajemne przenikanie się poszczególnych lokalnych centrów artystycznych i ich powiązania - dodaje kurator.

Wystawę zamyka fotografia dzieła, którego do Krakowa nie dało się sprowadzić ze względu na rozmiar. To predella przedstawiająca oplakiwanie Chrystusa z katedry ewangelickiej w Sybienie.

- Wszystkie przedstawione tam męskie postaci zakończyły życie w sierpniu 1526 roku na polu bitwy pod Mohaczem - to symboliczne zamknięcie tej wystawy i zamknięcie okresu spójności kulturowej Europy Środkowo-Wschodniej. Równocześnie z klęską pod Mohaczem, okupacją osmańską rozwinęły się także ruchy reformacyjne i załamywanie jedności regionu - tłumaczy Wojciech Marcinkowski.

Ekspozycja w MNK stanowi zwieńczenie wieloletniego projektu badawczego.

„Dziennik Polski” objął wystawę patronatem medialnym.

Fisz i Emade celebują 25-lecie swej działalności 10 kwietnia w klubie Studio

Paweł Gzyl
Kraków

Fisz i Emade to pseudonimy braci Waglewskich. W ciągu 25 lat swej kariery wzbogacili polski hip-hop i rock mnożeniem świetnych piosenek. Które usłyszymy dziś o godz. 20 w klubie Studio?

Wojciech Waglewski założył swą grupę Voo Voo w 1986 roku. Dwa lata później muzyk dostał propozycję nagrania płyty dla dzieci. Tak narodziło się Małe Wu Wu, które firmowało zestaw skocznych piosenek, w których między innymi śpiewali synowie lidera grupy - Bartek i Piotrek.

Kilka lat później, kiedy stali się nastolatkami, zainteresowali się metalem. Tak też grał ich pierwszy amatorski zespół.

Pewnego razu Bartek i Piotrek usłyszeli amerykańską grupę Be-



FOT. ARCHIWUM

Emade i Fisz - działają razem już od 25 lat

astie Boys. To było dla nich jak objawienie: porzucili fascynację ciężkim rockiem, zachwycając się rapem. Nowy styl muzyczny tak im się spodobał, że sami zapragnęli go stworzyć. Pierwszy chwycił za mikrofon i zaczął rapować, a drugi - zaczął sklejać z cudzych nagrań podkłady pod rymy brata. W poszukiwaniu ciekawych sampli Piotrek podkraadał jazzowe i funkowe płyty ojca, by z nich stworzyć materiał na debiutancki album

„Polepione dźwięki”, który bracia firmowali pseudonimami Fisz i Emade.

Wydana w 2000 roku płyta okazała się wielkim sukcesem i odmieniła oblicze polskiego hip-hopu. Inteligentne rymy i pomysłowe podkłady sprawiły, że rapem zainteresowała się szersza publiczność. Bracia Waglewscy poszli za ciosem - i zaczęli regularnie dostarczać swym fanom nowe płyty, na których z powodzeniem pe-

netrowali coraz szersze spektrum dźwięków.

Początkowo był to hip-hop, ale z czasem muzyka Fisz i Emade zaczęła oddalać się od tego nurtu. Ten pierwszy zamiast rapować zaczął śpiewać, a ten drugi - zamiast kleić sample, grał na elektronicznych instrumentach. W sumie bracia stworzyli razem prawie dwadzieścia albumów firmowanych różnymi szyldami.

Podsumowaniem ich działalności okazała się wydana w zeszłym roku płyta „25”. Słuchać na niej wszystkie fascynacje braci Waglewskich: od hip-hopu, przez muzykę klubową, po alternatywny rock. Równie bogaty tekstowo to materiał. Mamy tu opowieść o pierwszych zespołach i występach („Niemoc”) oraz relacji braterskiej „na dobre i na złe” („Ogień i Woda”). Przez album przewija się temat upływającego czasu („Długie ręce”), pogodzenia się ze swoim wiekiem („Splywacz” i „Śliski pic”) i konieczności doceniania drobnych gestów i rzeczy („Dobry dzień” i „Wolno nam”).

POLSKA i ŚWIAT

KRÓTKO

KOLEJ

RegioJet wycofuje się z Polski

RegioJet wycofuje się z połączeń kolejowych po Polsce; ich obsługa zostanie zakończona 3 maja br. „RegioJet zakończy swoją działalność na polskim rynku krajowym. Jesteśmy gotowi powrócić, gdy rynek będzie rzeczywiście otwarty i zapewni uczciwe oraz transparentne warunki dla wszystkich przewoźników” - przekazał czeski przewoźnik w czwartkowym komunikacie prasowym.

Podkreślił, że obsługa krajowych połączeń Kraków - Warszawa - Gdynia oraz Poznań - Warszawa zostanie zakoń-

czona z dniem 3 maja 2026 roku. Pasażerowie zostali w czwartek poinformowani o odwołaniu połączeń po tej dacie za pomocą SMS lub e-maila, pełny zwrot kosztów zostanie dokonany najpóźniej do środy 15 kwietnia tą samą metodą płatności, jaką dokonano zakupu biletu. Ponadto pasażerowie będą mogli ubiegać się o rekompensatę w wysokości 100 zł.

Międzynarodowe połączenia Przemysł - Kraków - Praga oraz Warszawa - Praga będą nadal obsługiwane.

ŚLĄSK

Protest działaczy Greenpeace



Wczoraj ok. godz. 5 rano aktywiści Greenpeace wspięli się na wieżę szybową kopalni Knurów-Szczygłowice. Protestujący na wysokości ponad 50 metrów domagają się od rządu natychmiastowego wdrożenia unijnych przepisów i zatrzymania emisji metanu z polskich kopalń.

SĄD

Odroczony proces apelacyjny

Do 13 maja Sąd Apelacyjny w Rzeszowie odroczył w czwartek rozpoznanie sprawy odwoławczej Tomasa U. oskarżonego o zabójstwo siekierą matki, babci i dziadka. Powodem odroczenia jest przede wszystkim zmiana w pięcioosobowym składzie sędziowskim. Jest to już trzecie nieudane podejście do rozpo-

znięcia procesu odwoławczego Tomasa U.

Tomasz U. oskarżony o zabójstwo siekierą matki, babci i dziadka został skazany nieprawomocnie na dożywocie przez Sąd Okręgowy w Tarnobrzegu w grudniu 2024 r. Sąd zastrzegł, że U. może ubiegać się o warunkowe zwolnienie po odbyciu kary 35 lat więzienia.

REKREACJA

Marek Niziołek z Biura Prezydenta Miasta Sopotu poinformował w czwartek, że wejście na molo będzie płatne od 10 kwietnia do 30 września br. Bezpłatny wstęp, poza posiadaczami aktywnej Karty Sopotkiej, przysługuje też dzieciom do trzeciego roku życia i osobom z niepełnosprawnościami, które nie ukończyły 26 lat. Ceny biletów utrzymano na poziomie z 2025 r. Za bilet normalny zapłacimy 10 zł, a za ulgowy 5 zł.

Edukacja zdrowotna będzie obowiązkowa. Z wyjątkiem...

Adam Kielar, Anna Nagel
Warszawa

Minister edukacji narodowej Barbara Nowacka ogłosiła, że edukacja zdrowotna będzie przedmiotem obowiązkowym. Dodała jednocześnie, że wzbudzający największe kontrowersje moduł dotyczący wiedzy seksualnej nie będzie obligatoryjny.

Edukacja zdrowotna, która zastąpiła wychowanie do życia w rodzinie, weszła do szkół w roku szkolnym 2025/2026 jako przedmiot nieobowiązkowy. Nauczana jest w szkołach podstawowych w klasach IV-VIII (w wymiarze jednej godziny tygodniowo w każdej z tych klas, przy czym zajęcia w klasie VIII mają być realizowane tylko w pierwszym semestrze) i w szkołach ponadpodstawowych (w wymiarze jednej godziny tygodniowo przez dwa lata).

Do końca marca ministra Nowacka miała ogłosić, czy przedmiot będzie obowiązkowy, ale ogłoszenie decyzji zostało odłożone.

O decyzji Nowacka poinformowała w czwartek w TVN24. Jak przekazała szefowa MEN, od nowego roku edukacja zdrowotna będzie przedmiotem obowiązkowym, oprócz komponentu dotyczącego wiedzy seksualnej, na który będzie można się zapisać. - Przedmiot będzie składał się tak naprawdę z dwóch przedmiotów, czyli



Szefowa MEN: Edukacja zdrowotna będzie obowiązkowa, oprócz modułu o wiedzy seksualnej

przedmiotu edukacja zdrowotna takiego, jakim jest, i nieobowiązkowego przedmiotu, który będzie prawdopodobnie około jednej dziesiątej całości przedmiotu, dotyczącego wiedzy o zdrowiu seksualnym - powiedziała Nowacka. Dodała, że moduł o wiedzy seksualnej to będzie jedna, dwie lekcje w ciągu roku. Zaznaczyła, że o tym, czy dziecko będzie uczestniczyło w tej części, zdecydują rodzice. Podkreśliła, że respektuje tym samym „presję” części środowisk, bo „szkoła potrzebuje spokoju”.

O tym, co dokładnie znajdzie się w przedmiocie edukacja zdrowotna oraz w komponentcie o wiedzy seksualnej, zdecydują eksperci. - Będzie

”

Brak regulacji na rynku kryptowalut to wielkie niebezpieczeństwo dla każdego człowieka

Krzysztof Gawkowski wicepremier, minister cyfryzacji



obrony narodowej i prezes PSL Władysław Kosiniak-Kamysz oznajmił, że nie będzie to przedmiot obowiązkowy. Premier Donald Tusk przyznał wtedy z kolei, że jest „raczej zwolennikiem, żeby w takiej sytuacji stawiać raczej na dobrowolność niż na przymus”.

Szefowa MEN, która kilka dni później potwierdziła nieobowiązkowość edukacji zdrowotnej, argumentowała, że „widząc napięcia”, musi „ochronić szkołę przed awanturą polityczną”. Tłumaczyła też, że to rozmowy z nauczycielami spowodowały, że edukacja zdrowotna będzie nieobowiązkowa.

Przezwikowo obowiązkowej edukacji zdrowotnej opowiedziała się m.in. Koalicja na Rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły, skupiająca ponad 70 organizacji społecznych.

Za niezgodny z konstytucją nowy przedmiot uznała Konferencja Episkopatu Polski. Biskupi, powołując się na art. 48 i 53 Konstytucji RP, zaznaczyli, że „wychowanie seksualne zgodnie z konstytucją pozostaje w kompetencjach rodziców, a nie państwa”.

Największy odsetek uczniów chodzących na edukację zdrowotną jest w szkołach podstawowych - 40,36 proc. uprawniających. W liceach ogólnokształcących - 10,08 proc., w technikumach - 7,78 proc., w branżowych szkołach I stopnia - 14,40 proc., a w szkołach artystycznych - 18,33 proc. PAP

Nowo wybrani sędziowie TK złożyli w Sejmie ślubowanie. Prezydent Nawrocki był nieobecny

Adam Kielar
Warszawa

Wczoraj, podczas uroczystości w Sejmie, sześcioro wybranych w marcu sędziów Trybunału Konstytucyjnego złożyło ślubowanie. Wśród nich było też dwoje sędziów, od których ślubowania odebrał już prezydent.

O godzinie 12.30 w Sejmie, w obecności marszałków Sejmu i Senatu, byłych preze-

sów TK i innych gości, rozpoczęła się ceremonia złożenia ślubowania przez sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Najpierw odebrali oni zaświadczenie o wyborze na funkcję sędziego TK, a następnie zaczęli składać ślubowanie - jak podkreślano - wobec prezydenta. Dokonywali tego w obecności notariusza.

„Zwracam się do Prezydenta RP. Na podstawie art. 4 ust. 1 ustawy z dnia 30 listopada 2016 r. o statusie sędziów

TK (...) składam wobec Prezydenta RP ślubowanie następującej treści” - taką formułę przed wypowiedzeniem ślubowania wygłaszali sędziowie, którzy nie składali dotychczas ślubowań.

Wśród czwórki wybranych przez Sejm nowych sędziów Trybunału Konstytucyjnego - Krystian Markiewicz, Maciej Taborowski, Marcin Dziurda oraz Anna Korwin-Piotrowska - zaprosili prezydenta Karola Nawroc-

kiego do Sejmu na ceremonię złożenia ślubowania.

Stanowisko w tej sprawie wydał w czwartek rano szef Kancelarii Prezydenta Zbigniew Bogucki. W opublikowanym na stronach KPRP oświadczeniu jasno zaznaczono, że „jedynym organem, wobec którego może zostać skutecznie złożone ślubowanie osoby wybranej na urząd sędziego Trybunału Konstytucyjnego, jest Prezydent RP”. PAP

USA wyjdą z NATO? Mark Rutte unikał odpowiedzi

Grzegorz Kuczyński
USA

Sekretarz generalny NATO Mark Rutte powiedział po spotkaniu z Donaldem Trumpem, że amerykański prezydent jest zawiedziony postawą niektórych sojuszników. Szef Sojuszu unikał jednak odpowiedzi na pytanie, czy USA wyjdą z NATO.

Mark Rutte relacjonował swoje spotkanie z Trumpem w Białym Domu - które odbyło się w środę bez udziału mediów - podczas wywiadu dla CNN. Zapytany wprost, czy Trump zapowiedział zamiar opuszczenia NATO, Rutte kilkakrotnie odpowiedział wymijająco.

- Pozwól, że wyrażę się jasno: jest wyraźnie rozczarowany wieloma sojusznikami z NATO i rozumiem jego punkt widzenia - powiedział sekretarz generalny. Zaznaczył jednak, że on sam konsekwentnie wskazywał prezydentowi Trumpowi przy-



- Donald Trump jest wyraźnie rozczarowany wieloma sojusznikami z NATO i rozumiem jego punkt widzenia - powiedział sekretarz generalny Mark Rutte

kłady tego, jak sojusznicy stanęli na wysokości zadania.

- Zdecydowana większość krajów europejskich pomogła w kwestii baz, zapewnieniu logistyki, przelotów i dotrzymaniu zobowiązań. Istnieje również powszechne poparcie dla faktu, że ograniczenie potencjału nuklearnego i balistycznego Iranu było naprawdę kluczowe i że tylko Stany Zjednoczone były w stanie to zrobić w tym momencie - wymieniał Rutte.

Na ponowne pytanie dziennikarza, czy Trump - zgodnie z zapowiedziami rzeczniczki Białego Domu Karoline Leavitt - mówił o wyjściu z NATO, Rutte ponownie odpowiedział wymijająco.

- Cóż, jak powiedziałem, jest wyraźne rozczarowanie, ale jednocześnie prezydent uważnie słuchał moich argumentów na temat tego, co się dzieje - zaznaczył, wskazując na przykład zobowiązań państw sojuszu do zwiększenia wydatków na obronność do 5 proc. PKB.

„NATO nie pomogło, gdy ich potrzebowaliśmy, i nie pomoże, jeśli będziemy ich potrzebować ponownie” - napisał Donald Trump

Sam Trump po spotkaniu z Ruttem zamieścił dotąd jedynie krótki wpis, potwierdzający dotychczasową krytykę NATO.

„NATO nie pomogło, gdy ich potrzebowaliśmy, i nie pomoże, jeśli będziemy ich potrzebować ponownie. Pamiętajcie Grenlandię, ten wielki, źle zarządzany kawałek lodu!!!” - napisał.

Rutte odrzucił kategoryczną ocenę Trumpa, że NATO „zostało wystawione na próbę i poniosło porażkę”. - To niepełny obraz. Europa jako platforma projekcji siły dla Stanów Zjednoczonych funkcjonowała przez ostatnie sześć tygodni bez zarzutu - powiedział.

Pytany o ewentualne „kary” dla sojuszników, o których donosił „Wall Street Journal” - polegające na przeniesieniu wojsk USA z krajów uznanych za „nielojalne”, takich jak Niemcy i Hiszpania, do Polski, Litwy, Rumunii czy Grecji - Rutte nie zaprzeczył tym doniesieniom, lecz ponownie ograniczył się do ogólnych stwierdzeń o „szczerzej i otwartej rozmowie między przyjaciółmi”.

Sekretarz generalny NATO bronił decyzji USA o uderzeniu w irański potencjał nuklearny i raketowy, wskazując, że kontynuowanie działań dyplomatycznych groziło powtórzeniem „scenariusza północnokoreańskiego”, czyli doprowadzeniem do sytuacji, w której Iran zdążyłby wejść w posiadanie broni atomowej, zanim rozmowy dobiegłyby końca.

- Cały świat jest dziś bezpieczniejszy dzięki temu, że prezydent zdegradował te zdolności - ocenił Mark Rutte. PAP

MATERIAL INFORMACYJNY T-MOBILE

0011502505

Bez wymówek. T-Mobile pokazuje, że dziś naprawdę jesteśmy w zasięgu

Jeszcze do niedawna brak zasięgu był jednym z najprostszych sposobów, by odłożyć rozmowę na później. „Nie było internetu”, „wiadomość nie dotarła”, „telefon gubił sygnał” - te wymówki zna chyba każdy. Dziś jednak, gdy technologia mobilna działa szybciej i stabilniej niż kiedykolwiek, takie usprawiedliwienia tracą rację bytu. Najnowsza kampania T-Mobile Polska stawia sprawę jasno: skoro sieć nie zawodzi, to może czas przestać unikać siebie nawzajem.

Wygodne alibi, które przestało działać

Ile razy zerwane połączenie, słaby zasięg albo wolny internet były wygodnymi wymówkami, by nie odpisać lub nie oddzwonić? To pytanie T-Mobile zadaje nieprzypadkowo. Przedstawia w ten sposób pewien problem dotykający codziennych sytuacji, codziennych wymówek, które przez lata były normą. Technologia, choć obecna w każdej sferze życia, długo



nie była doskonała. Przerwane rozmowy, brak LTE czy przeciążone sieci tworzyły przestrzeń do odkładania kontaktu. Bariery technologiczne były na ogół wymówką. Łatwo było zrzucić odpowiedzialność na coś, na co nie mamy wpływu - i co faktycznie potrafiło być zawodne. Do czasu. Dziś ten „komfort” znika. Rozwój infrastruktury telefonii komórkowej i 5G sprawił, że problemy techniczne coraz rzadziej tłumaczą brak kontaktu. A to oznacza, że zmieniają się nie tylko standardy technologiczne, ale też społeczne.

Prędkość nr 1

Fundamentem kampanii są twarde dowody: T-Mobile otrzymało nagrody od Ookla i Speedtest.pl. Sieć została nagrodzona w niezależnych testach potwierdzających jej przewagę pod względem prędkości internetu mobilnego. Speedtest.pl w 2025 r. uznało T-Mobile za dostawcę najszybszego internetu mobilnego i internetu 5G. Z kolei w badaniach Ookla sieć T-Mobile okazała się najszybszą, jak i najlepszą siecią mobilną w Polsce. To potwierdzenie ma wymiar praktyczny. Jak podkreśla Andreas Maierhofer,

prezes zarządu T-Mobile Polska: „Nagrody Ookla i Speedtest.pl pokazują, że T-Mobile oferuje dziś najlepszą i najszybszą sieć mobilną w Polsce. To dla nas nie tylko powód do dumy, ale przede wszystkim zobowiązanie wobec klientów: nasza technologia po prostu działała, szybko, każdego dnia. Dzięki niej dajemy klientom wszystko, czego potrzebują, oczywiście poza wymówkami”.

Technologia, która zbliża zamiast oddalać

W kampanii pojawiają się sceny z życia codziennego - znajome, momentami niewygodne. Bohaterowie próbują unikać odpowiedzi, odwlekać rozmowy, szukać wyjścia z sytuacji. Tym razem jednak coś się zmienia. W najlepszej i najszybszej sieci mobilnej w Polsce wszystko po prostu działa - a to oznacza, że nie ma już gdzie się schować. Brak sygnału przestaje być tarczą, a zawodna technologia przestaje pełnić rolę usprawiedliwienia. W tej rzeczywistości pojawia się także Dawid Podsiadło, który w charakterystyczny dla siebie sposób komentuje sytu-

acje znane każdemu. Humor nie łagodzi przekazu - raczej go wzmacnia, pokazując, jak bardzo byliśmy przywiązani do dawnych wymówek.

„Przez lata zerwane połączenia i słaby sygnał dawały nam wygodne alibi: by nie odpisać, nie odebrać, nie być szczerym wobec innych. W T-Mobile wiermy jednak, że jakość naszej sieci jest zbyt dobra, by używać jej jako wymówki” - podkreśla Maximiliano Bellasai, członek zarządu ds. B2C w T-Mobile Polska. I dodaje: „Dlatego w naszej najnowszej kampanii mówimy jasno: skoro nasza technologia nie zawodzi, czas zburzyć bariery między nami. Technologia nie może być więcej wymówką”. To ważna zmiana perspektywy. Technologia zaczyna pełnić rolę funkcjonalnego tła - czegoś oczywistego, niezawodnego, wspierającego codzienne relacje. Nie zastępuje kontaktu, ale go ułatwia.

Nowy standard bycia w kontakcie

W sieci T-Mobile za komunikacją stoją konkretne rozwiązania. Możliwość testowania

sieci przez 30 dni bez zobowiązań daje użytkownikom realną przestrzeń do sprawdzenia jakości usług w praktyce. To gest, który wzmacnia wiarygodność - bo zamiast deklaracji mamy doświadczenie. Równoległe oferta abonamentowa pokazuje, że wysoka jakość nie musi oznaczać kompromisów. Elastyczne rozwiązania i możliwość łączenia kilku abonamentów odpowiadają na realne potrzeby współczesnych użytkowników. Kampania T-Mobile to coś więcej niż komunikacja marketingowa. To opowieść o zmianie, która już się wydarzyła - i o konsekwencjach, jakie ze sobą niesie. Technologia przestaje być celem samym w sobie, a staje się realnym wsparciem codziennych relacji. W świecie, w którym jesteśmy stale online, to właśnie jakość tych relacji zaczyna mieć największe znaczenie. Bo skoro technologia już nie może być wymówką, czas być bliżej siebie - bez alibi i bez barier. Odpowiedzialność za kontakt wraca tam, gdzie zawsze powinna być - do ludzi.

Rokowania pokojowe mają rozpocząć się jutro

Oprac. Anna Nagel
Pakistan

Ambasador Iranu w Pakistanie Reza Amiri Moghadam poinformował wczoraj, że irański zespół negocjacyjny na rozmowy z USA dotrze wieczorem tego dnia do stolicy Pakistanu, Islamabadu. Rokowania pokojowe mają rozpocząć się w piątek.

„Pomimo sceptycyzmu irańskiej opinii publicznej, wywołanego wielokrotnymi naruszeniami zawieszenia broni przez izraelski

reżim w celu sabotowania inicjatywy dyplomatycznej, irańska delegacja, zaproszona przez szanownego premiera (Pakistanu) Shehbaza Sharifa, przybędzie dziś wieczorem do Islamabadu na poważne rozmowy, oparte na 10 punktach zaproponowanych przez Iran” - napisał ambasador na portalu X. W środę, w związku z kontynuowaniem przez Izrael nalotów na cele irańskie organizacji terrorystycznej Hezbollah w Libanie, pojawiły się głosy, że porozumienie o rozejmie Iran-USA może zostać zerwane. Takie stanowisko

strony irańskiej potwierdził w czwartek przewodniczący parlamentu, Mohammad Bager Ghalibaf. „Trzy klauzule porozumienia zostały jawnie i wyraźnie naruszone. W tej sytuacji dwustronne zawieszenie broni lub negocjacje są niedorzeczne” - ocenił polityk.

Rzeczniczka prasowa Białego Domu Karoline Leavitt wyjaśniła, że w ocenie Waszyngtonu Liban nie jest częścią porozumienia o dwutygodniowym zawieszeniu broni. Podobny pogląd przedstawił w czwartek premier Izraela Benjamin Netanjahu. PAP

Ratownicy walczyli o życie mężczyzny pożądanego przez pszczoły

Kazimierz Sikorski
USA

Do tragicznego zdarzenia doszło w Arizonie. Mężczyzna został użądzony przez pszczoły ponad 100 razy. W ciężkim stanie trafił do szpitala.

Do tego makabrycznego zdarzenia doszło po ataku roju pszczoł na Lookout Mountain w północnym Phoenix w Arizonie. Ratownicy zostali wezwani w góry do grupy osób użądzonych przez pszczoły. Wśród nich był 30-letni

mężczyzna, który ucierpiał najbardziej.

Strażacy z Phoenix weszli na szlak turystyczny i po pokonaniu mniej więcej trzech czwartych drogi, znaleźli mężczyznę. Według ratowników był on przytomny i mówił, ale miał bardzo niskie ciśnienie krwi i, jak się szybko okazało, był w stanie krytycznym.

Mężczyzna z trudem wyznał ratownikom, że został użądzony ponad 100 razy. Ekipy ratunkowe udzieliły mu natychmiastowej pomocy medycznej i po-



FOT. TWITTER

dały kropłówki. Niebawem przybył na miejsce zdarzenia helikopter Phoenix Firebird, który zabrał go z góry.

Władze poinformowały, że ratownikom udało się w końcu ustabilizować ciśnienie krwi mężczyzny, ale mimo to przewieziono go do szpitala.

Jak podali miejscowi medycy, mężczyzna nadal znajduje się w stanie krytycznym.

Wybory na Węgrzech: Orban kontra Magyar. Najważniejsze informacje i możliwe scenariusze

Grzegorz Kuczyński
Węgry

W niedzielę, 12 kwietnia, Węgrzy będą wybierać parlament. Wiele wskazuje na to, że Viktor Orban, po 16 latach u władzy, może ponieść porażkę z rąk swojego byłego współpracownika Petera Magyar.

Viktor Orban obecnie jest najdłuższym urzędującym przywódcą w UE - od 2010 roku. Cztery kolejne kadencje rządów wykorzystał do przeprowadzenia głębokich zmian polityczno-ustrojowych na Węgrzech. W ten sposób powstało coś, co ona sama nazywa „nieoliberalną demokracją”.

W tej kampanii starał się przedstawić wybory jako wybór między wojną a pokojem, mówiąc wyborcom, że mogą zachować Węgry jako „wyspę bezpieczeństwa i spokoju”, wybierając go, albo pogрузić kraj w chaosie i wojnie, wybierając Magyar, którego przedstawia jako agenta Brukseli i Kijowa.

45-letni Magyar, dawniej zwolennik Fideszu i lojalny członek najbliższego otoczenia Orbana, znalazł się w centrum

uwagi dwa lata temu po tym, jak jego była żona, Judit Varga, zrezygnowała ze stanowiska ministra sprawiedliwości w rządzie. Magyar zdystansował się od Fideszu, oskarżając go o korupcję i propagandę, i założył swoją partię Tisza (Szacunek i Wolność). W czerwcowych wyborach europejskich w 2024 r. partia ta zdobyła 30% głosów, zajmując drugie miejsce.

W tej kampanii Magyar postawił na sprawy gospodarki i praworządności. Obiecał przywrócić Węgrom proeuropejski kierunek, zakończyć zależność od rosyjskiej energii, przywrócić niezależne media publiczne i sądownictwo, ożywić gospodarkę i odblokować zamrożone fundusze unijne.

Srednie sondaży wskazują, że partia opozycyjna ma 50% poparcia w skali kraju, a Fidesz 39%. Jednak aż 25% respondentów jest niezdecydowanych, a eksperci ostrzegają, że sondaże ogólnokrajowe nie odzwierciedlają złożoności węgierskich okręgów wyborczych.

Główne scenariusze (według prawdopodobieństwa):
1. Magyar zdobywa zwykłą większość, Orban akceptuje porażkę.

2. Magyar zdobywa zwykłą większość, Orban nie uznaje porażki.
3. Magyar zdobywa większość konstytucyjną, Orban uznaje porażkę.
4. Orban zdobywa zwykłą większość, Magyar to akceptuje.
5. Orban zdobywa zwykłą większość, Magyar nie uznaje porażki.

Prawdziwe zmiany na Węgrzech tak naprawdę mógłby zapewnić tylko scenariusz nr 3. Po pierwsze, Orban nie mógłby kwestionować tak dużej różnicy w poparciu, a po drugie, dałoby to możliwość zmian w konstytucji i instytucjach, „zabetonowanych” przez Fidesz.

Z kolei scenariusze nr 2 i nr 5 oznaczają destabilizację, być może nawet konfrontację uliczną i załamanie relacji z Brukselą (w scenariuszu nr 2).

Na Węgrzech po głosowaniu w wyborach parlamentarnych nie publikuje się sondaży exit poll i nie obowiązuje cisza wyborcza. W przypadku niewielkiej różnicy głosów wynik może być ogłoszony nawet sześć dni po głosowaniu, w sobotę, po przeliczeniu 100 procent głosów. PAP

REKLAMA

0011505307



SOLANKI
Uzdrowisko Inowrocław

Majówka pełna relaksu

- zakwaterowanie zgodnie z rezerwacją (7 noclegów) w terminie 26.04 - 3.05.2026 r.
- pełne wyżywienie (śniadania, obiady, kolacje w formie bufetu szwedzkiego),
- 2 masaże twarzy,
- 2 zabiegi parafinowe na dłonie,
- 2 masaże relaksacyjne,
- 2 masaże wielostrumieniowe,
- strefa relaksu (grota solna, sauna sucha i parowa, jacuzzi, siłownia) 90 minut dziennie,
- voucher do Integracja Cafe.

☎ 52 356 31 01 ☎ 52 356 31 00 ☎ 52 356 33 20 ✉ rezerwacja@solanki.pl | www.solanki.pl



Blaski i cienie samozatrudnienia
Str. 12-13

PULS
#211

B2B, CZYLI BĘDĄC SAMEMU SOBIE SZEFEM

Czy wszyscy zatrudnieni na B2B są z tego powodu szczęśliwi? Nie. Zdarzają się pracodawcy, którzy wolą, żeby składki ZUS i podatki płacili ich pracownicy, więc stawiają sprawę jasno: założysz firmę, dostaniesz robotę. Co wcale nie znaczy, że nie brakuje ludzi, którzy chcą być szefami dla samych siebie. To zazwyczaj specjaliści w swoich dziedzinach, dobrze czujący się na rynku pracy i chcący świadczyć usługi dla wielu klientów

Dorota Kowalska

Anna, od roku na emeryturze, pracoholiczka, więc wciąż czynna zawodowo. Zresztą, jak mówi, trochę nie ma wyjścia, bo z emerytury na pewno się nie utrzyma. Na samozatrudnienie przeszła ponad 20 lat temu.

- Pracuję w szeroko pojętej branży medialnej. Byłam w dużej firmie, to był rok 2005, szefostwo zaproponowało mi przejście na firmę - opowiada.

Dobrze zarabiała, miesięcznie - 17 tys. złotych brutto, jak szybko obliczyła, gdyby przeszła na firmę w kieszeni została by jej około 3 tys. złotych więcej. Zgodziła się, choć doskonale wiedziała, że w przyszłości za to zapłaci - wiadomo, na ZUS odprowadzała stawkę minimalną, więc siłą rzeczy nie mogła liczyć na wysoką emeryturę.

- Ale wtedy było mi to na rękę: spłacałam kredyt na dom, kredyt na samochód. Potrzebne mi były pieniądze. A będąc na firmie mogłam też pewne rzeczy odliczać od dochodu - tłumaczy.

Początek nowego wieku to były czas, kiedy firmy broniły się przed „etatowcami”. W wielu osobom proponowano założenie działalności gospodarczej i tak zwane przejście na firmę.

Zarabiała na tym i pracownik, i pracodawca. Ten pierwszy zazwyczaj w krótkiej perspektywie. Ona, prowadząc własną działalność gospodarczą, była pracownikiem bardzo pożądanym. Zmieniała pracę jeszcze kilkakrotnie. W pewnym momencie chciała jednak zostać zatrudniona na etat, ale pracodawcy przekonywali ją, że „tak jest dobrze”. I na „tak jest dobrze” przepracowała do emerytury.

- Byłam w tej dobrej sytuacji, że ustnie umawiałam się z pracodawcą, że będę miała płacone za urlopy czy podczas choroby. Musiałam liczyć, że pracodawca będzie dźwignym

nem i zawsze był. Więc pod tym względem nie byłam stratna - opowiada.

Wreszcie przyszedł czas odpoczynku i zdała sobie sprawę, że z emerytury opłaci gaz, prąd, wszystkie abonamenty, zrobi dwa razy duże zakupy i tyle. Musi więc pracować dalej.

Żałuje, że była na B2B? - Dzisiaj tak, ale wtedy te dodatkowe pieniądze bardzo mi pomogły - wzrusza ramionami. Nie, nic nie odłożyła, ale na szczęście ma dobre relacje z dziećmi.

- Doskonale pamiętam słowa Pawlaka! - wybucha śmiechem. - I dzisiaj muszę mu przyznać rację - dodaje szybko.

Swego czasu, wówczas wicepremier i minister gospodarki Waldemar Pawlak przyznał, że na swoją emeryturę sam oszczędza i liczy na przyszłą pomoc nie państwa, a rodziny.

- Staram się sobie zabezpieczyć przyszłość i przez oszczędzanie, i przez dobre relacje z moimi dziećmi, bo liczę na to, że to będzie pewniejsze niż te chimeryczne państwowe rozwiązania - wyznał w napływie szczerości Waldemar Pawlak, czym wywołał polityczną burzę.

Potem próbował łagodzić swoje słowa, tłumacząc, że poza państwową emeryturą, są jeszcze inne możliwości wsparcia na starość, ale to wyznanie przylgnęło do niego na zawsze.

- Syn teraz przeszedł na etat, bo się uparł, powiedział: żadnych śmieciowych umów. W poprzednich firmach był na B2B i bardzo się cieszy, że wreszcie to się zmieniło - mówi Anna.

Marek, jej syn, tłumaczy, że w jego firmie jedynie handlowcom opłaca się być na samozatrudnieniu, bo mają płacone premie od sprzedanych umów, gdyby byli na etacie na taką gratyfikację nie mogliby liczyć.

- Uważam, że człowiek, prowadząc działalność gospodarczą, nie ma żadnych praw. Pracodawca może zrobić z nim, co chce. Pewnie, że można potem dochodzić swoich racji, ale sprawy przed sądami ciągną się latami - kończy Anna. Marek potakuje głową, on się z tym stwierdzeniem całkowicie zgadza.

Polityczny dwugłos

Skąd dyskusja o B2B? Prezydent Karol Nawrocki podpisał właśnie nowelizację ustawy o Państwowej Inspekcji Pracy, ale skierował ją do oceny następcej Trybunału Konstytucyjnego. Reforma nadaje PIP uprawnienia do zamiany pozornych umów cywilnoprawnych i B2B w umowy o pracę.

- To była decyzja trudna, bo dotycząca samego fundamentu relacji między państwem a pracownikiem i pracodawcą. To także istotne regulacje wobec niepokojącego trendu wzrostu bezrobocia - powiedział prezydent, tłumacząc powody swojej decyzji.

Nadanie Państwowej Inspekcji Pracy uprawnień do przekształcania umów to jeden z kamieni milowych, od którego realizacji zależy wypłata środków z Krajowego Planu Odbudowy.

Ustawa przewiduje, że to inspektorzy pracy uzyskają kompetencje do stwierdzania istnienia stosunku pracy w sytuacji,

gdy strony formalnie zawarły umowę cywilnoprawną (np. zlecenia, o dzieło czy kontrakt B2B). Warunkiem wydania takiej decyzji jest uprzednie niewykonanie polecenia inspektora nakazującego zawarcie umowy o pracę. Ustawodawca pozostawia więc stronom możliwość dobrowolnego ukształtowania warunków zatrudnienia - w przeciwnym razie to inspektor określi istotne elementy stosunku pracy, takie jak rodzaj pracy, miejsce jej wykonywania czy wymiar czasu pracy.

Istotnym elementem nowych regulacji jest także mechanizm interpretacji indywidualnych. Na wniosek zainteresowanego Główny Inspektor Pracy będzie wydawał ocenę, czy przedstawiony stosunek prawny ma charakter stosunku pracy. Interpretacja nie będzie wiążąca dla przedsiębiorcy, jednak zastosowanie się do niej ma zapewniać ochronę przed sankcjami administracyjnymi, finansowymi i karnymi.

W praktyce jednak użyteczność tego instrumentu może okazać się ograniczona. Nowa ustawa wprost daje Państwowej Inspekcji Pracy możliwość odstąpienia od własnej interpretacji, jeśli w trakcie kontroli uzna ona, że rzeczywisty stan faktyczny odbiega od tego przedstawionego we wniosku. Takie rozbieżności mogą pojawić się nawet przy zachowaniu najwyższej staranności przez wnioskodawcę.

W przypadku odwołania od decyzji administracyjnej, ostateczną decyzję co do jej zasadności będzie podejmował sąd.

- Po istotnych poprawkach wprowadzonych w trakcie prac parlamentarnych zdecydowałem się tę ustawę podpisać. Ale jednocześnie kieruję ją do następcej oceny Trybunału Konstytucyjnego - poinformował prezydent Karol Nawrocki w oświadczeniu opublikowanym na profilu kancelarii pre-

zydenta w serwisach społecznościowych.

Podkreślił, że cały czas ma poważne wątpliwości co do części przepisów - zwłaszcza tych, które przyznają bardzo szerokie uprawnienia PIP wobec przedsiębiorców.

- Państwo musi być silne, ale nie może być nadmierne w swojej ingerencji. Konstytucja jasno mówi o zasadzie pomocniczości i proporcjonalności. Władza publiczna nie może przekraczać granic wpływu w życie gospodarcze i to musi zostać jednoznacznie ocenione - powiedział Karol Nawrocki.

Zaznaczył też, że reforma PIP ma swoje zdefiniowane cele: umożliwi uruchomienie środków z KPO i uderza w patologię rynku pracy, wyposażając przy tym PIP w nowoczesne narzędzia.

- Pełną odpowiedzialność za kształt tej ustawy ponosi oczywiście rząd. Zarówno za sposób jej przygotowania, jak i za zobowiązania wynikające z KPO, które znacząco zawężyły pole wyboru - podkreślił.

Decyzję prezydenta Nawrockiego w serwisie X skomentowała ministra rodziny, pracy i polityki społecznej Agnieszka Dziemianowicz-Bąk. Podkreśliła, że ustawa oczekiwana i popierana przez większość Polek i Polaków zyskała podpis prezydenta.

„To dobra wiadomość dla milionów polskich pracowników. Dla młodych wkraczających na rynek pracy, dla pracujących rodziców potrzebujących stabilności, dla wszystkich ciężko pracujących Polaków, zbyt często pozbawianych należnych im praw. Państwowa Inspekcja Pracy - silniejsza, skuteczniejsza i sprawniej działająca - w końcu pomoże im te prawa odzyskać. A wraz z nimi odzyskać to, co najcenniejsze - godność i bezpieczeństwo” - przekazała szefowa resortu.

Nie wszystkim jednak spodobał się podpis prezydenta Nawrockiego.

- Wielka szkoda, że ku uciesze Lewicy prezydent podpisał ustawę o reformie PIP - stwierdził na wstępie Sławomir Mentzen, lider Konfederacji. - To krok w bardzo złym kierunku, to kolejne utrudnienie prowadzenia biznesu, to kolejne zwiększenie niepewności i niestabilności - dodał.

Na koniec swojego wpisu na platformie X Sławomir Mentzen stwierdził, że tym razem „miało być inaczej, a wyszło jak zawsze”.

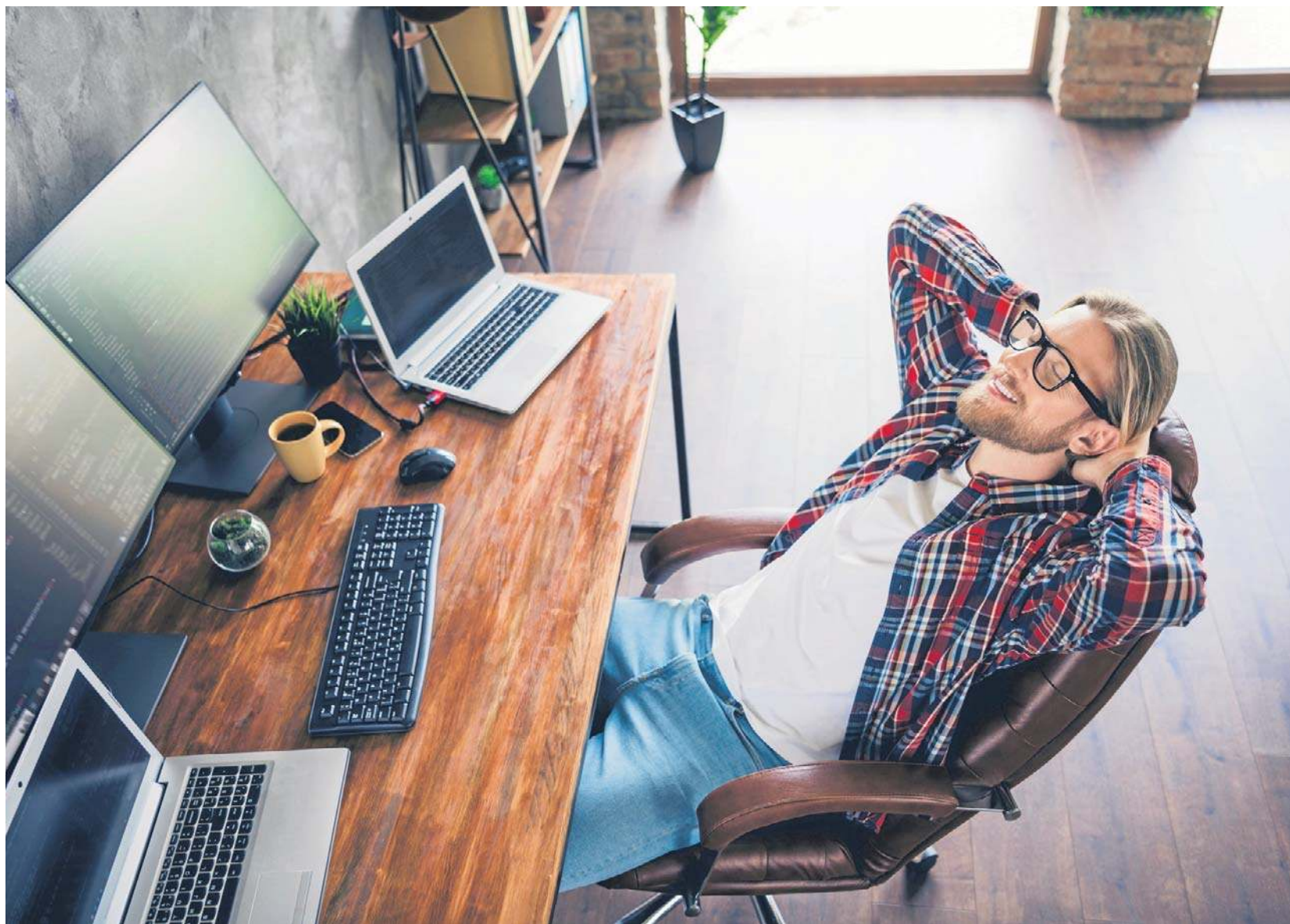
Decyzję Karola Nawrockiego mocno skrytykował także publicysta „Do Rzeczy” Łukasz Warzecha.

„Pan prezydent kolejny raz wykonał unik podobny jak w przypadku równie bolszewickiej ustawy, skierowanej przeciwko kierowcom: coś tam skierował do kontroli następczej w TK. Kontrola następcza nie wstrzymuje wejścia ustawy w życie, a TK i tak jest dysfunkcyjny, więc to tylko gra pozorów. Proszę zauważyć, że pan prezydent ani razu nie zastosował kontroli uprzedniej, która wstrzymuje wejście ustawy w życie” - zwrócił uwagę.

„W trakcie kampanii wyborczej pana prezydenta starano się prezentować jako wychodzącego poza ścisły krąg poglądów i uwarunkowań pisowskich. Pan Nawrocki miał bardziej dbać o wolność obywatelskie i podatników. Objąwszy urząd, pan Nawrocki zaczął systematycznie ten wizerunek remontować” - ocenił Warzecha.

I dodał, że Karol Nawrocki „okazuje się bardziej uzależniony od pisowskiego zaplecza” od Andrzeja Dudy. - Patrząc na to, jakie decyzje podejmuje pan prezydent obecnie, można bardzo poważnie niepokoić się o to, jak by się zachowywał, gdyby władzę przejął PiS. Jeśli ktoś sądził, że w takim układzie pan Nawrocki dawałby odpór etatystycznym tendencjom socjaldemokra-

**CZŁOWIEK, PROWADZĄC
DZIAŁALNOŚĆ GOSPODARCZĄ,
NIE MA ŻADNYCH PRAW.
PRACODAWCA MOŻE ZROBIĆ
Z NIM, CO CHCE**



FOT. 12ARF

Taka forma zatrudnienia musi być po prostu wykorzystywana zgodnie z celem, a tym jest wysoka elastyczność pracy. Człowiek prowadzący jednoosobową działalność gospodarczą świadczy zazwyczaj usługi dla wielu podmiotów, wystawia więc miesięcznie więcej niż jedną fakturę

tycznej partii pana Kaczyńskiego, powinien zacząć uświadamiać sobie, że nic takiego nie miałyby prawdopodobnie miejsca - stwierdził publicysta.

Totalny wyzysk

Marek mieszka na Śląsku 45 lat. Od ponad ośmiu na B2B. Szukał pracy przez kilka miesięcy, wreszcie wziął, co było. Zdradzać nazwy firmy nie będzie, nie chce kłopotów.

- Pracujemy po 180-190 godzin miesięcznie, większość pracowników, jakieś 80 procent, jest na B2B. Nikt nie miał wyjścia, etaty w firmie są zarezerwowane wyłącznie dla kierownictwa - opowiada. Stawki godzinowe mają marne. Koniec końców, po opłaceniu składek ZUS, podatku i księgowej zostaje mu niewiele ponad 4 tys. złotych. Wiadomo, że nie pracuje nigdzie indziej, bo nie ma na to czasu, musiałby nie spać.

- Za urlopy płacone nie mamy, więc mój urlop to jego koszty plus połowę niższa pensja następnego miesiąca. Wtedy wystarcza na opłacenie składek i księgowej, bo to płacić muszę zawsze. Żadnych świadczeń socjalnych: bonów na święta, wczasów pod gruszą, nic! - tłumaczy.

W czasie pandemii COVID-19 był miesiąca na L4, miał go

rażkę, problemy z płucami, bardzo ciężko przeszedł chorobę. Dostał potem z ZUS niewiele ponad tysiąc złotych.

- Gdybym mógł, chętnie poszedłbym do pracy, gdzie miałbym etat. Wiadomo, że w każdym przypadku można pracownika zwolnić, ale jednak pracownik etatowy ma zdecydowanie więcej praw. Może pójść na urlop i może chorować. W moim przypadku jedno i drugie sporo mnie kosztuje - wzrusza ramionami.

Właśnie UoP czy B2B? Pytanie aktualne, co doskonale widać w sieci.

Internauta1: „B2B, czyli business to business oznacza prowadzenie interesów pomiędzy podmiotami gospodarczymi. To muszą być przynajmniej dwie firmy. Czyli pracownik, którego w ten sposób zatrudnia pracodawca, też musi mieć założoną własną działalność gospodarczą najczęściej jednoosobową. Często na takich umowach pracują przedstawiciele handlowi”.

Internauta2: „A to jest odpłacalne, to zakładanie swojej firmy? No wiesz te wszystkie składki i czy się zarabia czy nie, to ZUS trzeba płacić”.

Internauta3: „Jak dobrze zarabiasz, to pewnie jest odpłacalne. Dużo osób jest na takich umowach i muszą być”.

Internauta4: „A ja myślę, że pracują na takich umowach, bo nie mają wyjścia i wcale nie jest to jakoś atrakcyjne finansowo”.

Internauta4: „Umowa B2B (business to business) zawierana jest między dwoma podmiotami gospodarczymi. W związku z tym, że prawo nie określa dokładnych wytycznych charakterystycznych owe podmioty, coraz większą popularność zyskują więc umowy zawierane z osobami prowadzącymi jednoosobową działalność gospodarczą. Jest to korzystna forma współpracy, w ramach której firma zatrudniająca ponosi mniejsze koszty, a zatrudniony dostaje wyższe wynagrodzenie netto. Warto podkreślić, że umowa B2B nie podlega przepisom zawartym w Kodeksie pracy - nie przysługują prawo do płatnego urlopu wypoczynkowego, wynagrodzenia chorobowego czy okresu wypowiedzenia. Z drugiej jednak strony osoba prowadząca jednoosobową działalność gospodarczą nie podlega żadnemu kierownictwu. W praktyce oznacza to, że druga strona umowy nie może wpływać na czas wykonywania zlecenia. Jedynym źródłem kontroli jest wymaganie konkretnych terminów ukończenia prac, ustalonych w umowie”.

Prawda czy fałsz

Prof. Witold Orłowski tłumaczy, że sprawa z B2B jest złożona. Trzeba o niej mówić i jasno stawiać pewne kwestie.

- B2B jest w wielu sytuacjach potrzebne, ale nie może być wykorzystywane jako fikcyjna metoda niepłacenia przez pracodawców składek ZUS - tłumaczy. - To krzywdzące dla pracowników i dla nas wszystkich - dodaje.

Taka forma zatrudnienia musi być po prostu wykorzystywana zgodnie z celem, a tym jest wysoka elastyczność pracy. Człowiek prowadzący jednoosobową działalność gospodarczą świadczy zazwyczaj usługi dla wielu podmiotów, wystawia więc miesięcznie więcej niż jedną fakturę. Oczywiście, może się zdarzyć, że konkretnego miesiąca ma jednego klienta, któremu poświęca 90 procent swojego czasu, ale jest to zlecenie, które wcześniej czy później się kończy. Jeżeli konkretna osoba prowadzi działalność gospodarczą i co miesiąc wystawia fakturę jednej firmie, to wiadomo, że mamy do czynienia z fikcją. Pracodawcy chodzi po prostu o to, żeby to nie on, a jego pracownik odprowadzał składki ZUS i płacił podatki.

- Jeśli pracownik jest zmuszany do samozatrudnienia, bo inaczej nie przyjmie się go

do pracy, jeżeli proponuje się takie umowy młodym ludziom, którzy nie myślą jeszcze o przyszłości, to jest to wysoce naganne - mówi prof. Orłowski.

I dodaje, że wprowadzenie martwi go trochę fakt, że kontroler PIP jednoosobowo będzie miał prawo decydowania, czy B2B jest fikcją, czy nie, to jednak dobrze, że formy zatrudnienia będą poddane kontroli.

- Być może powinno się opracować pewne wytyczne, czyli opisać sytuacje, w których mamy do czynienia z fikcją B2B, one mogłyby pomóc kontrolerom w pracy - sugeruje prof. Orłowski. I przypomina, że porządek z B2B chciał już zrobić premier Mateusz Morawiecki, za co - jego zdaniem - był niesłusznie krytykowany.

Mowa o słynnym teście przedsiębiorcy. Ów test miał być narzędziem do odsiania przedsiębiorców od osób wybierających samozatrudnienie, by płacić niższy podatek.

Propozycja znalazła się w Wieloletnim Planie Finansowym Państwa na lata 2019-2022. Po krytyce, także z wewnątrz rządu, Ministerstwo Finansów wycofało się z pomysłu, ale nie z samej idei.

Jak pisała potem „Rzeczpospolita”, ministerstwa przedsiębiorczości i technologii, inwestycji i rozwoju we współ-

pracy z Radą Dialogu Społecznego miały przygotować przepisy, które pozwolą na weryfikację przedsiębiorców, ale bez „ingerowania w swobodę wyboru modelu, w którym przedsiębiorcy prowadzą swoją aktywność gospodarczą”.

Money.pl ustalił wówczas, że nawet pół miliona samozatrudnionych mogło mieć tylko jednego kontrahenta, i właśnie ich test mógłby dotknąć w największym stopniu. Narzędziem do jego przeprowadzenia miały być analizy składanych obowiązkowo przez wszystkich przedsiębiorców plików JPK. Sprawdzana miałaby być nie tylko liczba faktur wystawianych jednej firmie, ale także procentowy udział tego źródła w przychodach przedsiębiorcy.

Koniec końców skończyło się na pomysłach.

Wolność nie dla wszystkich

Czarek, 32 lata, od zawsze na B2B. Jest informatykiem, wykonuje usługi dla kilku firm.

- To dla mnie najlepsza forma zatrudnienia - mówi.

Doskonale zarabia. Jego większość znajomych to także szefowie dla samych siebie. Mateusz jest lekarzem, Julka grafiką komputerową, Marta personalną, Kuba trenerem personalnym - oni wszyscy prowadzą jednoosobowe firmy i są zadowoleni.

- Myślę, że jeśli ktoś jest specjalistą w swojej dziedzinie i widzi możliwości większych zarobków, prowadząc własną działalność gospodarczą, powinien rozważyć taką opcję - tłumaczy Czarek. I dodaje, że B2B to elastyczności w planowaniu swojego czasu pracy, więc taka forma zatrudnienia daje na pewno większą swobodę w organizowaniu sobie życia.

Poza tym, jak tłumaczy, prowadzenie własnej firmy daje możliwość „sprzedawania” swoich usług kilku klientom jednocześnie, praca na etacie najczęściej to uniemożliwia.

- Trzeba być jednak pewnym, że damy sobie radę z prowadzeniem firmy - zastrzega Czarek.

On nie wyobraża sobie smyczy na szyi, bo tak nazywa umowę o pracę. Pewnie, że będąc samym sobie szefem trzeba samodyscypliny, dobrej organizacji, samoświadomości.

- Są ludzie, którzy do takiej pracy się nadają i tacy, którzy pewnie będą się czuć bezpiecznie na umowie o pracę. Wszystko zależy od charakteru człowieka, jego zawodu i zarobków - uważa Czarek.

Jemu nowelizacja ustawy o PIP nie przeszkadza. Uczciwie pracuje, ma wielu klientów, nie boi się żadnych inspektorów. A jeśli dzięki niej, kilku pracodawców zacznie swoich pracowników traktować jak ludzi a nie jak niewolników, to on jest jak najbardziej „za”.

Po raz pierwszy od czasów apostołskich, 40 lat temu, następca Świętego Piotra wszedł do żydowskiego domu modlitwy, modlił się i przemawiał do Żydów. Watykan od synagogi nad Tybrem dzieli niespełna kilometr, ale na gruncie ekumenizmu była to odległość bardzo długa. A jej echa słychać i dziś.

Starsi bracia?

Wizyta i wygłoszone tam przemówienie oznaczały przełom w relacjach z judaizmem. Odwołując się do soborowej deklaracji „Nostra aetate” papież zwrócił uwagę na szczególną relację chrześcijaństwa z judaizmem. „Religia żydowska nie jest dla naszej religii rzeczowością zewnętrzną, lecz czymś wewnętrznym. Stosunek do niej jest inny aniżeli do jakiegokolwiek innej religii. Jesteście naszymi umiłowanymi braćmi i pod pewnym względem - można powiedzieć - naszymi starszymi braćmi”.

Papież podkreślił też, że nie można Żydom jako narodowi przypisywać żadnej dziedzicznej ani zbiorowej winy za to, co popełniono podczas męki Jezusa. Dlatego nie ma „żadnych podstaw do jakiegokolwiek, rzekomo teologicznie usprawiedliwionej dyskryminacji czy - co gorsza - prześladowań Żydów”. Cytując „Nostra aetate” Ojciec Święty przypomniał, że Żydzi „pozostają przedmiotem miłości Boga”, który powołał ich „wezwaniami nieodwracalnymi”. Nie należy zatem przedstawiać Żydów jako odrzuconych czy przeklętych.

Komentatorzy określili później to przemówienie jako „Odnażenie braterstwa”.

Przypomnijmy historyczne okoliczności wizyty. Papież wszedł do Tempio Maggiore di Roma przy Lungotevere de' Cenci o godz. 17. Na zdjęciach z tego wydarzenia widać, jak wita się z rabinem Rzymu Elio Toaffem. Rabin powitał Ojca Świętego przed główną bramą synagogi, po czym obaj, wraz z towarzyszącymi im osobami, weszli do środka.

Do dziś w muzeum w synagodze znajduje się dokumentacja tamtego wydarzenia. A jak ważne były relacje katolicko-żydowskie dla św. Jana Pawła II świadczy fakt, że w swoim testamentie wspomina rabina Rzymu, Elio Toaffa, który w 2000 r. otrzymał doktorat honoris causa KUL.

Wizycie w synagodze towarzyszyły wielkie emocje. Wizytę kontestowali wówczas m.in. obecna przed świątynią grupa członków Bractwa Kapłańskiego św. Piusa X, wołająca: „Papieżu, powstrzymaj się, nie idź do Kajfasza”.

Nim Jan Paweł II wygłosił swoje przemówienie, głos zabrał gospodarz - rabin Toaff. Witając gości zauważył, że „Kościoł w sposób radykalny zmie-



Przemawiając w synagodze, Jan Paweł II podkreślił, że nie można Żydom jako narodowi przypisywać żadnej dziedzicznej ani zbiorowej winy za to, co popełniono podczas męki Jezusa

CO JAN PAWEŁ II MÓWIŁ W RZYMSKIEJ SYNAGODZIE?

13 kwietnia 1986 r. Jan Paweł II złożył wizytę w rzymskiej synagodze. Jako pierwszy papież w historii

Mariusz Grabowski

nił swoje nauczanie na temat Żydów i traktuje ich z szacunkiem i powagą”. Podkreślił, że nie zapominając o przeszłości, Żydzi chcą współpracować w ramach obu wspólnot na zasadzie partnerstwa i równości. Nie zmienia to jednak faktu, iż „pragną oni nadal szerzyć wiarę w Jedyne Boga i Jego miłość, a także ojcostwo wobec wszystkich ludzi”. Przekonani, że człowiek został stworzony przez Boga na Jego podobieństwo, chcieliby wraz z chrześcijanami nauczać o koniecznym szacunku w stosunkach międzyludzkich, przeciwstawić się wszelkim formom rasizmu i antysemityzmu.

„Żydzi i chrześcijanie mogą - mówił Toaff - współpracować również w dziedzinie ochrony praw człowieka, jak prawo do wolności sumienia i wyznawania własnej religii. Interesującą brzmia zachęta do wspólnej

troski o życie »od pierwszej chwili jego poczęcia«”.

Jezus w centrum

Po Toaffie przemówił Jan Paweł II. Ale zanim przeszedł do teologicznej wykładni nauczania Kościoła na temat Żydów, odwołał się do wydarzeń ze swego życia. Na wstępie przyznał, że od dawna myślał o tej wizycie i przypomniał, że rabin Toaff spotkał się już z nim 8 lutego 1981 r., gdy biskup Rzymu odwiedził pobliską parafię św. Karola i Błażeja.

Wspomniał też o swym pobycie na terenie byłego obozu koncentracyjnego Auschwitz 7 czerwca 1979 r. w czasie wizyty apostolskiej w Polsce, gdy cierpieniom narodu żydowskiego w czasie ostatniej wojny poświęcił oddzielny fragment wygłoszonej wówczas homilii.

Dodał także, że jego wizyta nie jest zwieńczeniem prze-

zwycięzonych różnic i poglądów, ponieważ we wzajemnych kontaktach chrześcijanie i żydzi znajdują się dopiero u początku drogi. Przypomniał, że „jednych i drugich dzieli przede wszystkim osoba i nauczanie Jezusa z Nazaretu, syna narodu żydowskiego”.

Jan Paweł II i kolejni

Wątek chrystologiczny często umyka tym, którzy opisują tamto wydarzenie. A przecież jest kluczowy dla dialogu katolicko-żydowskiego. „Możemy więc zauważyć - mówił papież - że Jezus Chrystus na stałe podzielił chrześcijan i żydów. Przed każdym chrześcijaninem staje nieustannie wyzwanie, aby owo »nie« dla Jezusa Chrystusa umieć wyjaśnić w sposób pozytywny, starając się zrewidować własny sposób składania o Nim świadectwa”.

I dalej: „Mogę więc otworzyć przed wami swoje serce i szczerze okazać swoje uczucia życzliwości dla całej wspólnoty żydowskiej Rzymu, jak i wszystkich Żydów na całym świecie” - zapewnił Jan Paweł II.

Na zakończenie wizyty Ojciec Święty i naczelny rabin Rzymu wymienili pocałunki pokoju. W ślady Jana Pawła II poszli też jego następcy: 17

stycznia 2010 r. rzymską synagogę odwiedził Benedykt XVI, a 17 stycznia 2016 r. papież Franciszek.

W 2021 r., w 35. rocznicę wizyty, rabin Riccardo di Segni, obecny rabin Rzymu, ujawnił kulisy jej przygotowania. Wedle niego pomysł zrodził się przy obiedzie w gronie papieskich współpracowników. Rabin Toaff przyjął propozycję wizyty z ogromnym zaskoczeniem, ale i jako wyzwanie powitania w synagodze pierwszego w historii papieża. Przekonał do tego pomysłu rabinat europejski, zupełnie ignorując opinię rabinatu Izraela, który mógł stwarzać problemy. „Papież Wojtyła doskonale zdawał sobie sprawę, że obraz mówi więcej niż słowa. Jego uścisk z rabinem Elio Toaffem stał się ikoną tej wizyty, która sprawiła, że dotychczasowe niedomówienia w dwustronnych relacjach zaczęły zniknąć” - wspominał di Segni.

Przypomina też, że słowa Jana Pawła II, który w rzymskiej synagodze po raz pierwszy w historii nazwał Żydów „starszymi braćmi w wierze”, zasugerował mu charyzmatyczny kard. Roger Etcheberry, wówczas prezydent Papieskiej Komisji Iustitia et Pax oraz Papiesskiej Rady Cor Unum.

List i emocje

I te właśnie słowa - „starsi bracia w wierze” - budzą do dziś największe emocje na gruncie teologicznym. W Polsce wywołał je ponownie wydany w 40. rocznicę wizyty list episkopatu.

Czytamy w nim m.in. „W swoim wystąpieniu papież radykalnie sprzeciwił się przedstawianiu Żydów jako »odrzuconych albo przeklętych«. Przez ponad półtora tysiąca lat treści te, obecne w katolickim nauczaniu i błędnej interpretacji Pisma Świętego, kształtowały postawy chrześcijan, przyczyniając się do nienawiści, prześladowań i manifestacji antysemityzmu. Powinniśmy pamiętać, że Kościół katolicki stwierdza dziś jednoznacznie: Żydzi są nadal umiłowani przez Boga, który wezwał ich nieodwołalnym powołaniem. Bóg bowiem, wierny swym obietnicom, nie odwołał Pierwszego Przymierza. Izrael pozostaje nadal narodem wybranym”.

W liście znalazły się sformułowania, które wywołały falę krytyki kościelnych konserwatystów. Choćby takie: „Pamiętając, że zawsze modlimy się za nich w liturgii wielkopiątkowej, prosząc Boga, aby lud, który On jako pierwszy nabył na własność, »wzrastał w wierności Jego przymierzu« i mógł »osiągnąć pełnię odkupienia«. Bo »nie ma żadnych wątpliwości, że Żydzi są uczestnikami Bożego zbawienia, ale jak to może być możliwe bez wyrażonego wyznawania Chrystusa - jest i pozostanie niezgłębioną tajemnicą Bożą«”.

Metropolita krakowski kard. Grzegorz Ryś, uważany za inspiratora listu episkopatu, tak wyjaśnia te kwestie w rozmowie z Polską Agencją Prasową: „O tym, że Izrael pozostaje narodem wybranym, mówi nauczanie wszystkich kolejnych papieży od Soboru Watykańskiego II aż do papieża Leona XIV włącznie. A to, że Izrael jest zbawiony, to nie jest żadne wyważenie otwartych drzwi, bo wszyscy ludzie zostali zbawieni przez Jezusa Chrystusa. Ten list nie mówi o tym, że Żydzi są zbawieni jakoś inaczej, obok Jezusa Chrystusa albo bez Niego. Powtarzam: wszyscy ludzie, którzykolwiek żyli, żyją i będą żyć na świecie, są zbawieni w Jezusie Chrystusie. W tym liście nie ma więc żadnych przewrotów doktrynalnych. W moim odczuciu niezrozumienie tego listu wynika z faktu, że to, czego Kościół systematycznie uczy przez ostatnie 60 lat - Kościół katolicki, z papieżami na czele - najwyższej wciąż nie dotarło do naszych wiernych. To chyba wymaga jakiejś szerszej analizy, dlaczego tak się dzieje. Potrzebujemy w tej kwestii - i może nie tylko w tej - poważnej i konsekwentnej edukacji religijnej w polskim Kościele”.

WIELICZKA, WĘGRZCEWIELKIE, BRZEGI ORLEN OIL 10. RAJD MEMORIAŁ JANUSZA KULIGA I MARIANA BUBLEWICZA

Pasja, która napędza przyszłość

Marek Długopolski
Wieliczka

Pierwszy Platinum Rajd Memoriał Janusza Kuliga i Mariana Bublewicza odbył się w 2017 roku. Wcześniej, od 2007 roku pamięć o obydwu przedwcześnie zmarłych mistrzach kierownicy czczono Memoriałem Janusza Kuliga i Mariana Bublewicza.

Sportowe emocje i wyjątkowa pamięć

Janusz Kulig zginął 13 lutego 2004 r. w Rzezawie na strzeżonym przejeździe kolejowym. Marian Bublewicz zmarł 20 lutego 1993 r. w szpitalu w Łądku-Zdroju na skutek ran odniesionych w Zimowym Rajdzie Dolnośląskim.

Pierwszy Memoriał poświęcony pamięci rajdowych asów, jak już wspomnieliśmy, odbył się w 2007 r. Od tego czasu, z niespełna dwukilometrowego kryterium ulicznego rozgrywanego w Wieliczce, zamienił się w pełnoprawny, wielo-odcinkowy rajd.



FOT. MAREK DŁUGOPOLSKI

Mnóstwo rajdowych i wyścigowych emocji czeka na wszystkich – małych i nieco starszych – także w Parku Serwisowym

W jego pierwszej edycji w 2017 r., po zaciętej walce na siedmiu odcinkach specjalnych, ze zwycięstwa cieszył się Waldemar Kluza. Kolejne miejsca zajęli Mateusz Lisowski i Andrzej Szepieniec. To zaś oznaczało, że na „rajdowym” podium stanęli wyłącznie kierowcy wyścigowi.

- Konkurencja była bardzo ostra, a walka toczyła się do os-

tatniego metra - tak te niezwykle zmagania podsumował wtedy Paweł Owczyński, dyrektor zawodów oraz prezes Automobilklubu Krakowskiego.

W kolejnych edycjach Rajdu Memoriału zwyciężali: Filip Nivette, Kacper Terlikowski, „Felix”, Miko Marczyk, Michał Ratajczyk oraz Michał Tochowicz. Kto w tym roku stanie na najwyższym stopniu po-



FOT. MAREK DŁUGOPOLSKI

Listę zgłoszeń ORLEN OIL 10. Rajdu Memoriału Janusza Kuliga i Mariana Bublewicza otwierają Sebastian Stec i Jakub Gerber

dium? O tym przekonamy się już 12 kwietnia około godz. 14.

Wspólna pasja do motorsportu

- Rajd Memoriał Janusza Kuliga i Mariana Bublewicza to wydarzenia, które nie tylko celebryje sportowe emocje, ale przede wszystkim pielęgnuje pamięć o ludziach, którzy swoją odwagą, talentem

i determinacją na zawsze zapisał się w historii rajdów - zaznacza Anna Ruszczak, dyrektor marketingu ORLEN OIL. - ORLEN OIL już od lat łączy pokolenia wokół wspólnej pasji do motorsportu. Dlatego też nasza obecność przy tym wydarzeniu, to naturalna konsekwencja wartości, które od lat budują tożsamość marki. Przypomnę, że to już dziesiąty

raz, gdy jesteśmy sponsorem tytularnym tego niezwykłego rajdu.

Z tej to między innymi okazji ORLEN OIL zaprasza w niedzielę (12 kwietnia) wszystkich fanów motorsportu na swoje stoisko w Parku Serwisowym (parking Kopalni Soli „Wieliczka” przy ul. Dembowskiego w Wieliczce). Na rajdowych i wyścigowych kibiców - małych i tych nieco większych - będzie tam czekało mnóstwo niespodzianek.

Opowieść o bohaterach

- Rajd to coś więcej niż rywalizacja na odcinkach specjalnych. To również żywa opowieść o bohaterach - kierowcach i pilotach, którzy tworzyli fundamenty polskiego motorsportu. Ich historie to nie tylko spektakularne zwycięstwa, ale także poświęcenie, pasja i nieustanne dążenie do przekraczania granic. Dla wielu młodych zawodników są oni symbolem odwagi i inspiracją do realizowania własnych marzeń - dodaje dyrektor Anna Ruszczak.

REKLAMA

0111506445

**WEJDŹ DO GRY
W STREFIE ORLEN OIL!**

- Symulator rajdowy SIM
- Refleksomierz
- Wyścigi RC Carrera Hybrid
- Strefa dla najmłodszych
- Warsztaty bezpieczeństwa i pierwszej pomocy
- Konkurs motoryzacyjny z nagrodami

**12 kwietnia
Stoisko ORLEN OIL
przed budynkiem Solnego Miasta
w Wieliczce**

ROZDZIELILI GO Z SIOSTRAMI 17 LAT TEMU. DZIŚ MARCIN PRÓBUJE JE ODNALEŹĆ

Życie go nie rozpieszczało. Mieszkaniec Tarnowa sporą część dzieciństwa spędził w domu, w którym brakowało rodzicielskiego ciepła i uczuć.

W pewnym momencie wraz z czterema siostrami został odebrany matce, która nie radziła sobie ze swoimi problemami. Rodzeństwo zostało rozdzielone.

Od tamtego czasu Marcin nie ma z nimi kontaktu i nie wie, gdzie się znajdują.

Jego wielkim marzeniem jest ponowne spotkanie z siostrami.

Robert Gąsiorek

Dziewczynki zostały zabrane do domu dziecka. Marcin miał więcej szczęścia, bo trafił do babci, która przez następne lata wychowywała go i dawała to, czego nie była w stanie zapewnić mu jego matka. - Wtedy ostatni raz widziałem siostry - wraca pamięcią do momentu rozdzielenia. - Myślałem wtedy, że nawet jak sobie znajdą rodziny, będziemy mieli kontakt. No teraz z perspektywy czasu wiem, że adopcja wygląda nieco inaczej i to nie jest też takie łatwe - opowiada 26-latek.

Byłem najstarszy, obrywałem najczęściej

Powroty do wspomnień z lat wczesnego dzieciństwa nie są dla niego łatwe. Niedługo po narodzinach Marcina jego mama rozstała się z jego ojcem i znalazła sobie kolejnego partnera, z którym miała kolejne dzieci. Wspólne życie w ich mieszkaniu w centrum miasta nieopodal tarnowskiego Rynku nie było jednak przepełnione radością i szczęściem.

Marcin ma w pamięci alkoholowe libacje, które były wręcz codziennością, ciągle obecny dym papierosowy, a także awantury i przemoc fizyczną, którą dorośli stosowali wobec dzieci.

- Szczęście jest takie, że ja byłem najstarszy, to obrywałem najbardziej. Mówię szczęście w takim znaczeniu, że moje siostry nie były bite aż tak bardzo, chociaż zdarzały się sytuacje, które nigdy nie powinny się wydarzyć - podkreśla Marcin.

Pierwsza interwencja służb w mieszkaniu, w którym wychowywał się Marcin, miała miejsce tuż przed rozpoczęciem przez niego nauki w szkole podstawowej. Po wizycie urzędników i policji wraz z dwoma siostrami trafił do domu dziecka.

- Początkowo odczuwałem wielki strach. Nagle do domu



Marcin do kluczy ma przypięty specjalny brelok z jego imieniem i napisem „Najlepsze dopiero przed tobą”. Daje mu to też nadzieję, że w końcu odnajdzie swoje siostry

przyjeżdża policja i nas gdzieś zabiera. Nie wiedziałem dokąd. Później, zarówno mój tata, jak i opiekunowie w domu dziecka, prowadzili z nami rozmowy, strach nieco minął, a ja miałem poczucie bezpieczeństwa. Przekonywali nas, że wrócimy, że wszystko będzie dobrze, a pobyt w placówce jest chwilowy. Może to zabrzmieć komicznie, ale izolacja od domu traktowana była trochę jak wyjazd wakacyjny, taka kolonia - opowiada.

Po kilku miesiącach Marcin z siostrami faktycznie wrócili do mamy i jej partnera. Przez pierwszy okres po powrocie wszystko nawet zaczęło się układać, ale do czasu. Wkrótce alkohol znów zaczął coraz częściej pojawiać się na stole i wszystko złe co z nim związane.

Dwa światy: jeden dobry, drugi bardzo zły

Marcin miał to szczęście, że troszczyła się o niego babcia od strony ojca. Często spędzał u niej weekendy.

- Jako małe dziecko widziałem tak naprawdę dwa różne światy, bo jak przychodziłem na weekend z tatą do babci i było „wow”. Miałem gdzie się umyć, nawet kilka razy w ciągu dnia. Zawsze było co jeść. Więc ten przeskok był dla mnie potężny. Babcia i jej dom był tak naprawdę moim takim azylem bezpieczeństwa. Oprócz wizyt u babci, od poniedziałku do piątku była szkoła. Tam wiedziałem, że mi się nic złego nie stanie. Tyle że po szkole wracało się do szarej rzeczywistości. Wydaje mi się, że jako dziecko myślałem, że po prostu tak funkcjonuje świat - opowiada młody mężczyzna.

W końcu przyszedł rok 2009 i moment, w którym ostatni raz widział swoje siostry: najstarszą Kasię, Olę, Magdę i najmłodszą Emilkę.

- Nie wiem, czy one jeszcze mnie pamiętają. Kasia już miała pięć lat, więc to był taki wiek, że powinna pamiętać. Natomiast mózg ludzki płata figle i czasem traumatyczne wy-

darzenia wypiera z pamięci - przyznaje Marcin.

Kilka lat po tym, jak opuścił dom rodzinny, do Marcina dotarła informacja, że jego mama miała później jeszcze jedno dziecko: chłopca. On też trafił ostatecznie do rodziny adopcyjnej.

Misja odnalezienia rodzeństwa

Gdy Marcin stał się pełnoletni, za cel postawił sobie odnalezienie swojego rodzeństwa. Cennych informacji szukał między innymi w biurze adopcyjnym w Tarnowie.

- To nie jest tak proste, jak mi się wydawało. Myślałem, że po prostu tam pójść, powiem, że jestem bratem i oni wszyscy ucieszą się i powiedzą: O, to super, że pan chce znaleźć siostry, zaraz damy wszystkie namiary. Okazało się, że to dużo bardziej skomplikowane - wspomina.

W końcu udało mu się dowiedzieć, że najmłodsza z sióstr znajduje się w rodzinie adopcyjnej w Tarnowie lub

w okolicy. Do Marcina trafił list od rodziców adopcyjnych jego siostry.

- Było w nim napisane, że na razie nie mogą się ze mną spotkać, ale że siostra ma się dobrze. Opisali, co lubi robić, czym się interesuje. Z jednej strony mnie to uspokoiło, bo wiedziałem, że jest bezpieczna i że ma kochającą rodzinę. Natomiast z drugiej dobił mnie fakt, że znowu trzeba czekać i nie mogę jej zobaczyć ani się z nią spotkać - mówi.

Szukał sióstr, odnalazł brata

Mężczyzna prowadził w dalszym ciągu poszukiwania kolejnych sióstr, a także brata. Zaczął między innymi zamieszczać wpisy na facebookowej grupie: „Adoptowani poszukujący swoich bliskich”. W 2023 roku po jednym z jego wpisów dostał prywatną wiadomość. Napisała do niego kobieta, która jest matką adopcyjną jego brata.

Po zweryfikowaniu wszystkich informacji i potwierdzeniu, że rzeczywiście odezwali się do niego opiekunowie, do których trafił brat, Marcin pojechał na Śląsk, aby spotkać się z chłopcem i jego rodzicami. Było to ołbrzymie przeżycie dla niego. Wielka chwila. Do dziś utrzymuje kontakt z odnalezionym braciuzkiem i jego rodzicami adopcyjnymi.

- Miałem nadzieję, że jeśli uda mi się odnaleźć wszystkie siostry, to może jakimś takim szczęściem, efektem kuli śnieżnej uda się znaleźć też brata. No i o ironio losu, okazało się, że najpierw znalazłem najmłodszego brata, co dało mi trochę też kopa w tamtym momencie. Staram się nie zwalniać w poszukiwaniu sióstr - podkreśla.

Do dziś jednak nie udało mu się ustalić, gdzie może przebywać reszta jego rodzeństwa.

- Tak sobie nieraz myślę, że mogę je mijać na ulicy, gdzieś się z nimi spotykać, albo nawet pracować, bo często pracuję z młodzieżą - mówi.

Wielkie marzenie Marcina

Marcin dziś sam stara się pomagać młodym osobom. Prowadzi m.in. warsztaty dla młodzieży z rodzin adopcyjnych i zastępczych. Od czterech lat zajmuje się także animacjami dla dzieci jako „Animator Marcinek”. Często można go spotkać w stroju Supermana na różnego rodzaju festynach, kinderballach czy też imprezach okolicznościowych.

- Myślę, że moja praca też jest w pewien sposób taką działalnością, którą troszeczkę sobie rekompensuję dzieciństwo, ale jednocześnie daję dzieciakom możliwość zabawy, której ja byłem pozbawiony - przyznaje.

26-latek udziela się także społecznie, angażując się w różne inicjatywy charytatywne. Jeszcze jako nastolatek zorganizował w tarnowskim amfiteatrze koncert Marka Piekarczyka, z którego dochód był przeznaczony na chore dziecko.

Sam również jest wielkim fanem muzyki, szczególnie mocniejszych, rockowych brzmień. Gra na gitarze, a jego muzycznych umiejętności można posłuchać nie tylko na rockowych scenach, ale również w... kościele.

Marcin bowiem od wielu już lat angażuje się w grupie muzycznej działającej przy Duszpasterstwie Akademiczkie „Tratwa” w Tarnowie. Czasem można go usłyszeć w okolicznych parafiach, a niekiedy podczas rekolekcji dzieli się z młodymi ludźmi swoimi świadectwem.

Mężczyzna sporo czasu poświęca innym, a dla siebie ma tylko jedno wielkie marzenie.

- Żebyśmy wszyscy, siostry i brat siedli przy jednym stole. Spotkali się na kręglach czy w jakimś McDonalddie, tak żeby po prostu usiąść i porozmawiać, pośmiać się i mieć ze sobą kontakt. Liczę, że gdzieś to się tak zakończy - mówi nie ukrywając wzruszenia.

Światło świec drży na złoconych ikonach, zapach kadzidła wypełnia cerkiew. W świątyni panuje cisza, która nie jest zwykłym milczeniem. To cisza oczekiwania, pełna napięcia i skupienia. Jest kilka minut przed północą. Wierni stoją blisko siebie, ściskając świece, wsłuchani w rytm nabożeństwa, które za chwilę przejdzie w najważniejszy moment całego roku liturgicznego. Za kilka minut padną słowa, na które czekali przez długie tygodnie postu, modlitwy i wyrzeczeń: „Chrystos Woskresie” (Chrystus Zmartwychwstał - przyp. red.).

Ale Pascha nie zaczyna się tej nocy. Ona zaczyna się dużo wcześniej - w ciszy codziennych wyborów, w prostych posiłkach, w rezygnacji z tego, co rozprasza, w długich nabożeństwach, rekolekcjach, spotkaniach z duchownymi i w pracy nad sobą. Właśnie o tej drodze, prowadzącej do święta świąt, opowiadają Natalia Gierasimiuk i Zofia Iwaniuk z Bractwa Młodzieży Prawosławnej Diecezji Białostocko-Gdańskiej. Ich głosy przeplatają się jak doświadczenia wielu młodych ludzi, dla których prawosławie pozostaje nie tylko tradycją domu, ale żywą wspólnotą.

O wierze, która prowadzi do wspólnoty

Pascha w ich opowieści nie jest jednym porankiem przy świątecznym stole, ani tylko wzruszającą nocną liturgią. Jest drogą, która porządkuje rytm całego roku.

- To najważniejsze święto w naszym roku liturgicznym i każdy przeżywa je trochę inaczej, ale dla wszystkich jest najważniejsze - podkreśla Natalia Gierasimiuk.

- I chyba też najdłużej obchodzone, bo świętujemy je jeszcze przez pięćdziesiąt dni do święta Zesłania Św. Ducha - dopowiada Zofia Iwaniuk.

Wszystko zaczyna się od postu

Droga do Paschy prowadzi przez Wielki Post, jeden z najbardziej wymagających okresów w prawosławnym roku liturgicznym. W wielu domach oznacza rezygnację z mięsa, a często także z innych produktów pochodzenia zwierzęcego. Na stołach pojawiają się kasze, ryż, warzywa i proste, skromne potrawy.

- Najbardziej popularne jest to, że po prostu nie je się mięsa, a dzieci często rezygnują ze słodyczy, żeby wejść w ten czas bardziej świadomie - mówi Natalia.

Jednak sens postu nie zatrzymuje się na jedzeniu. To tylko najbardziej widoczny znak czegoś znacznie głębszego.

- Chodzi o to, żeby poprawić relację z Bogiem, wyciszyć się, przystąpić do spowiedzi i Eucharystii, ale też po prostu wyjść z tego czasu jako lepszy człowiek - podkreśla Zofia.

Pascha zaczyna się w ciszy. Młodzi prawosławni z Podlasia o wierze, wspólnocie i sile Bractwa Młodzieży Prawosławnej

Agnieszka Domanowska

DLA NICH PASCHA JEST DROGA, KTÓRA PORZĄDKUJE RYTM CAŁEGO ROKU



Świece rzucają ciepłe światło na twarze, a cisza ma w sobie już nie smutek, ale radosne oczekiwanie.

- Najpierw mamy północnicę, potem jutrznię i całą liturgię. To wszystko trwa nawet do trzeciej nad ranem - mówi Natalia.

To właśnie ta noc jest sercem świąt. Moment przejścia od ciszy Wielkiego Tygodnia do radości Zmartwychwstania.

Po powrocie do domu zostaje jeszcze chwila snu. A rano - świąteczny stół.

Najpierw modlitwa, później dzielenie się poświęconym jajkiem.

- Zaczynamy od prosfarki i święconki, dopiero potem można przejść do innych potraw - podkreśla Zofia.

Na stołach pojawiają się jajka, wędliny, sałatki i ciasta, ale w tej opowieści jedzenie pozostaje tylko tłem. Najważniejsza jest obecność bliskich.

Po śniadaniu wiele rodzin jedzie do dziadków, cioć, wujków. Świątowanie trwa dalej, przenosi się z domu do domu, od stołu do stołu, od rozmowy do rozmowy.

Bractwo - miejsce, które wychowuje

W tej opowieści równie ważną rolę odgrywa Bractwo Młodzieży Prawosławnej. To właśnie tam młodzi uczą się nie tylko wiary, ale też wspólnoty, odpowiedzialności i działania.

- Spotykamy się regularnie z duchownym, omawiamy fragmenty Pisma Świętego, rozmawiamy o świętach, liturgii i wszystkim, co dzieje się w cerkwi - mówi Natalia.

Bractwo działa na kilku poziomach. Są spotkania przy parafiach, ale są też duże wydarzenia diecezjalne, które integrują młodych z różnych miejsc.

Pielgrzymki do Supraśla, Zwierek i na Świętą Górę Grabarkę zajmują w tej działalności miejsce szczególne.

- Pielgrzymki są dla nas bardzo ważne, bo od tego właściwie zaczęła się idea bractwa - młodzi chcieli razem iść do świętych miejsc i być bliżej Boga - tłumaczy Zofia.

- Podczas Wielkiego Postu jeździmy do monasteru, uczestniczymy w większej liczbie nabożeństw, mamy wykłady, warsztaty i pomagamy mnichom albo mniszkom w codziennych pracach - opowiadają Zofia Iwaniuk i Natalia Gierasimiuk z Bractwa Młodzieży Prawosławnej Diecezji Białostocko-Gdańskiej

W słowach tych młodych dziewczyn wybrzmiewa ważna prawda: post nie jest celem samym w sobie. Jest drogą przemiany, która ma dotknąć nie tylko codzienne nawyki, ale również sposób myślenia, patrzenia na drugiego człowieka i przeżywania własnej wiary.

Cisza zamiast pośpiechu

W czasie postu zmienia się nie tylko to, co trafia na stół. Zmienia się także rytm życia. Nasze młode rozmówczynie podkreślają, że to czas rezygnacji z zabaw, imprez, tańca i wszystkiego, co mogłoby odciągać uwagę od duchowego przygotowania.

- W trakcie postu nie organizujemy żadnych rozrywkowych wydarzeń. Zamiast tego są rekolekcje i spotkania duchowe - wskazuje Natalia.

Ta zmiana rytmu szczególnie mocno widoczna jest w działalności funkcjonującego w Białymstoku Bractwa Młodzieży Prawosławnej. To właśnie wtedy miejsce bali i wydarzeń integracyjnych zajmują wielkopostne

gowienia, czyli rekolekcje organizowane w monasterach.

Sceneria zmienia się całkowicie. Zamiast miasta - cisza monasteru. Zamiast codziennego biegu - rytm nabożeństw. Zamiast rozmów o codzienności - pytania o sens, wiarę, Boga i samego siebie.

- Jedziemy do monasteru, uczestniczymy w większej liczbie nabożeństw, mamy wykłady, warsztaty i pomagamy mnichom albo mniszkom w codziennych pracach - opowiada Zofia.

- To bardzo wycisza i pozwala zobaczyć, jak mocno nasze codzienne życie różni się od życia monastycznego - dodaje Natalia.

W tej prostocie i rytmie pracy wielu młodych odnajduje przestrzeń, której na co dzień im brakuje.

Wielki Tydzień. Napięcie rośnie

Im bliżej świąt, tym mocniej czuć zmianę. Skupienie nie znika, ale obok niego pojawia się radość oczekiwania.

Prawosławne rodziny coraz liczniej gromadzą się w cer-

kwiach, szczególnie od Wielkiego Czwartku. To wtedy odbywa się jedno z najbardziej poruszających nabożeństw - czytanie dwunastu Ewangelii.

- To jedno z moich ulubionych nabożeństw. Jest bardzo długie, stoi się ze świecami przez wszystkie Ewangelie i to naprawdę buduje atmosferę Wielkiego Tygodnia - wyznaje Zofia.

Potem przychodzi Wielki Piątek z wyniesieniem płaszczyzny, symbolizującej grób Chrystusa. Jest modlitwa, skupienie i świadomość, że najważniejszy moment jest już bardzo blisko.

W Wielką Sobotę wierni święcą pokarmy. W koszyczkach są jajka, chleb, sól, mięso, czasem coś słodkiego.

- To niewiele różni się od tradycyjnego polskiego koszyczka, ale ważny jest sam moment wspólnego święcenia i przygotowania do nocy Paschy - mówi Zofia.

Noc, która zostaje w pamięci

Kulminacją przychodzi tuż przed północą. Cerkiew ponownie wypełnia się wiernymi.

FOT. MAGDA CIASNOWSKA

ZBIGNIEW BOGUCKI. NOWA TWARZ PRAWA I SPRAWIEDLIWOŚCI

Stosunkowo młody, ale już doświadczony, merytoryczny, dobrze przygotowany do dyskusji. A przy tym ambitny i zdeterminowany. To on jest twarzą dużego pałacu. To on stoi za wieloma decyzjami prezydenta Nawrockiego. Zbigniew Bogucki wszedł z rozmachem do wielkiej polityki i zrobi wszystko, aby pozostać w niej na dłużej

Dorota Kowalska

Kiedyś o Marcinie Mastalerku, szefie Kancelarii Prezydenta i jednym z najbliższych współpracowników Andrzeja Dudy, mówiono: wiceprezydent. Dzisiaj to samo można powiedzieć o Zbigniewie Boguckim. Merytoryczny, twardy, podejmujący dyskusję - to on objaśnia decyzje Karola Nawrockiego i jak mówią niektórzy, jest godnym przeciwnikiem dla Donalda Tuska.

Bogucki, podobnie zresztą jak obecny prezydent, zrobił w ostatnich miesiącach oszołamiającą karierę. To jego nazwisko padało w kontekście kandydata PiS-u w wyborach prezydenckich i potem w kontekście przyszłego premiera, który miałby pokierować rządem, kiedy wybory wygra PiS, albo zdoła stworzyć parlamentarną większość. Karol Nawrocki nie zgodził się jednak „oddac” swojego współpracownika i prezes musiał postawić na Przemysław Czarnka.

Tak czy inaczej, Zbigniew Bogucki to dzisiaj polityk pierwszej ligi, jeden z najważniejszych graczy na polskiej scenie politycznej. Kiedy okazało się, że to on pokieruje Kancelarią Prezydenta, od razu zadeklarował, że nie złoży legitymacji partyjnej Prawa i Sprawiedliwości.

- Politykiem PiS jestem i pozostanę. Będę służył panu prezydentowi, będę służył Rzeczypospolitej w inny już sposób, nie jako poseł, tylko jako szef kancelarii pana prezydenta Karola Nawrockiego. Tutaj nie ma żadnej sprzeczności - mówił Bogucki w „Sygnałach dnia” w radiowej Jedynce. Podkreślił, że Karol Nawrocki nigdy nie należał do żadnej partii i w trakcie kampanii wyborczej był wspierany przez PiS, poparcia udzielił mu jednak również inne środowiska i grupy społeczne, ale, owszem, cele prezydenta i największej partii opozycyjnej są zbieżne.

- My idziemy, tak rozumiem zamiary i plany pana prezydenta, po to, żeby czynić w Polsce władzę lepszą, a my dzisiaj mamy władzę, którą można nazwać patowladzą - powiedział Bogucki.

Potem było o tym, że współpraca rządu i prezydenta będzie bardzo trudna, ale możliwa.

- Pan prezydent zresztą już o tym kilkukrotnie mówił: nie jesteśmy do tej współpracy, co do zasady, nastawieni negatywnie - podkreślił. - Prezydent, jeszcze raz podkreślę, ma mandat z woli narodu. Dobrze takie rzeczy uzgadniać, ale jeżeli nie będzie woli po drugiej stronie, to myślę, że pan prezydent sobie z tym poradzi - podsumował Bogucki.

Dzisiaj wiemy, że ta współpraca wygląda źle, niektórzy mówią nawet o wojnie totalnej między dużym i małym pałacem. Stoi za nią także Zbigniew Bogucki. Szeroko mówiło się i pisało na przykład o tym, że to właśnie Zbigniew Bogucki napytał prezydentowi biedy, sugerując mu zawetowanie nowelizacji Kodeksu postępowania karnego.

Prezydent Nawrocki mocno wówczas podpadł kibicom. I nie byłoby w tym nic dziwnego, wiadomo, że kibice mocno recenzują władzę, gdyby nie fakt, że Karol Nawrocki jest ze środowiskiem kibicowskim mocno związany. Nigdy nie ukrywał, że kibicuje Lechii Gdańsk, przyznawał się nawet, że brał udział w kibicowskich ustawkach i doskonale zna ludzi z kibicowskich kręgów.

Więc to, co wydarzyło się podczas kolejnej kolejki ekstraklasy, musiało prezydenta zabolęć. I tak podczas spotkania Piasta Gliwice z Radomiakiem Radom w sektorze Piasta zawisł transparent wymierzony w Karola Nawrockiego. Zdjęcie błyskawicznie obiegło sieć. „Karol Nawrocki - niekończące się areszty, nielegalne dowody, 60-tką (chodzi o art. 60 Kodeksu karnego) podajesz rękę, a krzywdzącym ludzi organom przyznajesz swobody”. Ochłodzenie relacji głowa państwa - trybunały może zaskakiwać, bo Karol Nawrocki do tej pory na stadionach przyjmowany był przynajmniej neutralnie.

Nawrocki zawetował jednak nowelizację Kodeksu postępowania karnego, która ogranicza wszechwładzę prokuratury i przez to daje większe szanse na uratowanie skóry zamiesznanym w przestępstwa kibolom. Rzecznik prezydenta Rafał Leśkiewicz próbował jakoś tłumaczyć decyzję Karola Nawrockiego. „Decyzja została podjęta z troski o bezpieczeństwo obywateli i skuteczność państwa w walce z najgroźniejszą przestępczością. Przyjęcie pojedynczych rozwią-



Ci, którzy Boguckiego znają, mówią, że to sprawny gracz i gra głównie na siebie. Przez lata próbował wejść do wielkiej polityki i kiedy wreszcie mu się to udało, nie odpuści

Nawet fani Lechii, klubu, którego kibicuje Nawrocki, dali wyraz swojemu niezadowoleniu. Podczas meczu z Pogonią Szczecin wywiesili baner podobny do tego kibiców Piasta: „K. Nawrocki - niekończące się areszty, nielegalne dowody, 60-tkom podajesz rękę, a krzywdzącym ludzi organom przyznajesz swobody”.

Ochłodzenie relacji głowa państwa - trybunały może zaskakiwać, bo Karol Nawrocki do tej pory na stadionach przyjmowany był przynajmniej neutralnie.

Nawrocki zawetował jednak nowelizację Kodeksu postępowania karnego, która ogranicza wszechwładzę prokuratury i przez to daje większe szanse na uratowanie skóry zamiesznanym w przestępstwa kibolom. Rzecznik prezydenta Rafał Leśkiewicz próbował jakoś tłumaczyć decyzję Karola Nawrockiego. „Decyzja została podjęta z troski o bezpieczeństwo obywateli i skuteczność państwa w walce z najgroźniejszą przestępczością. Przyjęcie pojedynczych rozwią-

Wygląda na to, że w tym wypadku Zbigniew Bogucki nie wziął pod uwagę reakcji kibiców, bo wiadomo, że to on doradza Karolowi Nawrockiemu i wiele decyzji prezydenta zapada po jego sugestjach. Może stąd Bogucki tak przekonująco je później tłumaczy i uzasadnia. Chociaż, jak zauważają dziennikarze, jego ostatnie wyjaśnienia, dlaczego prezydent przyjął słubowanie jedynie od dwóch sędziów TK, a nie od wszystkich sześciu, przekonujące nie były. Pojawiły się nawet głosy, że prezydent, w domyśle pałac, strzelił sobie swoją decyzją w stopę.

Bogucki trzymał jednak fason. To polityk nowej generacji: stosunkowo młody (ma 46 lat), wykształcony, rzutki, trochę inna twarz Prawa i Sprawiedliwości. Ukończył studia na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Szczecińskiego. Zrobił aplikację prokuratorską i w latach 2009-2012 był prokuratorem. Pracował także w zachodniopomorskim oddziale Narodowego Funduszu Zdrowia. W 2012 r. założył własną kancelarię adwokacką. Zasiadał w zarządzie Szczecińskiego Stowarzyszenia Dialogu o Prawie, był przewodniczącym rady nadzorczej Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych.

Z czasem zaangażował się też w działalność polityczną w ramach Prawa i Sprawiedliwości. Był członkiem społecznego komitetu budowy pomnika Lecha Kaczyńskiego w Szczecinie.

W 2014 roku bez powodzenia kandydował do Rady Miasta Szczecin, a w 2015 i 2019 do Sejmu. W 2018 roku wybrano go radnym sejmiku zachodniopomorskiego. W tym czasie wydał się dość radykalny w swoich poglądach. Kiedy po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji w całej Polsce wybuchły tak zwane czarne protesty, Bogucki pojawiał się na nich z telefonem i prowokował manifestujących. Interweniowała nawet policja. Protestujące wówczas kobiety nazywał na portalu X „dnem”. W 2020 roku został powołany na stanowisko wojewody zachodniopomorskiego - zastąpił Tomasza Hinca, który został prezesem Grupy Azoty, spółki Skarbu Państwa.

„Po transparentach widać, że Min. Bogucki wsadził Prezydenta na solidną minę. Blokując reformę KPK, stanęli w obronie patologii w tymczasowych aresztach czy korzystania z nielegalnych dowodów. A to tylko wyćinek reformy. Coś czuję, że o tym wiecej jeszcze wiele razy usłyszymy” - napisał wówczas w mediach społecznościowych Arkadiusz Mucha, polityk koalicji rządzącej.

- Dziękuję panu premierowi za zaufanie, którym zostałem obdarzony. To dla mnie honor i godność - powiedział Zbigniew Bogucki, odbierając nominację na wojewodę zachodniopomorskiego. Pokazał też zupełnie inną twarz: polityka zaangażowanego, potrafiącego rozmawiać z każdym: pojawiał się na dożynkach, wśród bezdomnych, na stadionie. Do rany przyłóż. Ale też coraz częściej zaczęło się o nim mówić jako o przyszłym kandydacie Prawa i Sprawiedliwości w wyborach na prezydenta Szczecina, a może i na prezydenta Polski.

W tym samym czasie w mediach zaczęły się pojawiać informacje o żonie Boguckiego: Julia Dziedzic-Bogucka jest prokuratorem. Jeszcze w 2017 roku pracowała w Prokuraturze Rejonowej Szczecin-Zachód, ale w czasie rządów Prawa i Sprawiedliwości awansowała o dwa szczeble - delegowano ją do Prokuratury Krajowej, do Zachodniopomorskiego Wydziału Zamiejscowego Departamentu do spraw Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji.

Stowarzyszenie prokuratorów „Lex Super Omnia” pisało o Dziedzic-Boguckiej w raporcie „Królowie życia w prokuraturze »dobrze zmiany«”, który, przynajmniej tak twierdzą autorzy dokumentu, opisywał prokuratorskie kariery w czasach, kiedy resortem sprawiedliwości kierował Zbigniew Ziobro.

Jak ustalili też Onet, Dziedzic-Bogucka badała jeden z wątków tzw. afery melioracyjnej dotyczący bezpośrednio marszałka województwa zachodniopomorskiego Olgerda Geblewicza. Geblewicz jest politykiem Koalicji Obywatelskiej; Zbigniew Bogucki, mąż pani prokurator, startował w wyborach samorządowych do sejmiku z tego samego okręgu, co marszałek.

Dziennikarze Onetu spytali wtedy prokurator, czy nie zachodzi w tym przypadku konflikt interesów. Prokuratura przekonywała, że Julita Dziedzic-Bogucka wprowadziła przez kilka miesięcy nadzorowała to śledztwo, ale w związku z wyborczymi planami męża już w maju 2018 roku złożyła rezygnację.

Portal pisał jednak, że kontrowersyjnych spraw było więcej.

Szczecińska prokurator brała na przykład udział w śledztwie dotyczącym Stanisława Gawłowskiego, byłego wiceministra środowiska i sekretarza generalnego PO, podejrzanego o korupcję. CBA i prokuratura weszły do warszawskiego mieszkania polityka.

Pod listą przedmiotów widnieje dyspozycja: „Oddzielnie opisać rzeczy wydane dobrowolnie, oddzielnie rzeczy ujawnione w toku przeszukania; w przypadku znalezienia poszukiwanych rzeczy w miejscu wskazującym na celowe ich ukrycie opisać szczegółowo to miejsce”.

Na dole pisma znajduje się podpis i pieczęć: „Prokurator Prokuratury Rejonowej del. do Prokuratury Krajowej Julita Dziedzic-Bogucka”. Więc pani prokurator brała udział w przeszukaniu.

Zbigniew Bogucki, wówczas nowy wojewoda zachodniopomorski, przekonywał Onet, że nie wie o sprawach prowadzonych przez żonę.

W wyborach w 2023 roku Bogucki uzyskał mandat posła X kadencji i przestał pełnić funkcję wojewody.

„Zanim zostałem posłem, przez 3 lata byłem wojewodą. Sprawowałem ten szczytny urząd w bardzo trudnym czasie, kiedy przyszło się zmagać z pandemią, organizować szczepienia, usuwać zniszczenia po wicherach, pomagać uchodźcom wojennym, ratować Odrę, wreszcie

koordynować dostawy węgla. W tym czasie wielkiej odpowiedzialności musiałem podjąć szereg bardzo trudnych decyzji, aby nasza codzienność była bezpieczna. Nie byłoby to możliwe bez kierowanych przeze mnie służb, administracji rządowej oraz wsparcia wojska, samorządów, wysiłku pracowników ochrony zdrowia, a także zaangażowania tysięcy mieszkańców naszego województwa. Wszystkim Państwu za to z serca dziękuję” – pisze na swojej stronie internetowej Bogucki.

Był bardzo aktywny, i to nie tylko przy Wiejskiej. Jako jeden z pierwszych pojawił się w budynku TVP z Jarosławem Kaczyńskim i innymi politykami, którzy chcieli „bronić wolności mediów”, kiedy sygnał TVP Info został nagle przerwany. W Sejmie był członkiem komisji śledczej ds. afery wizowej, zasiadł też w Komisji Administracji i Spraw Wewnętrznych oraz Komisji Sprawiedliwości i Praw Człowieka.

W lutym 2024 roku był kandydatem Prawa i Sprawiedliwości na prezydenta Szczecina w wyborach samorządowych, przegrał jednak z Piotrem Krzystkiem, który starał się o reelekcję. W październiku tego samego roku wszedł w skład komitetu wykonawczego Prawa i Sprawiedliwości. W dniu, w którym Karol Nawrocki ogłosił swoją decyzję o tym, że szefem jego kancelarii będzie Zbigniew Bogucki, „Ga-

zeta Wyborcza” pisała, że Prokuratura Okręgowa w Koninie sprawdza wydatki realizowane przez szczeciński urząd wojewódzki w czasach, gdy wojewodą zachodniopomorskim był właśnie Bogucki. W okresie od grudnia 2021 roku do grudnia 2022 r. Urząd Wojewódzki w Szczecinie zakupił ponad 6 tys. gadżetów z nazwiskiem Boguckiego. Koszt to 141 tysięcy złotych - środki pochodzą z funduszu celowego przeciwdziałania COVID-19. Zbigniew Bogucki stwierdził, że nie złamał prawa.

Kiedy jednak Bogucki stanął na pierwszej linii frontu, media prześledziły stan majątkowy państwa Boguckich. Polityk może pochwalić się sporymi oszczędnościami: zgromadził 235 488,19 zł oraz 36,52 euro. Poseł PiS wykazał w oświadczeniu majątkowym cztery mieszkania, wszystkie objęte małżeńską wspólnością majątkową. Najdroższe warte jest około 865 260 zł, kolejne ok. 633 820 zł. Trzecie mieszkanie o całkowitej powierzchni 34,93 m to jakieś 372 600 zł, a czwarte, o powierzchni 60,70 mkw., warte jest około 485 600.

W ramach prawa do wyłącznego korzystania z trzech miejsc postojowych Bogucki razem z żoną posiada też wielostanowiskowy podziemny garaż o powierzchni 85,24 mkw. Jego wartość wynosi około 150 tys. zł.

W 2024 roku szef Kancelarii Prezydenta uzyskał dochód

w wysokości 45 466,15 zł (z tytułu diety parlamentarnej) oraz 150 064,58 zł (z tytułu uposażenia poselskiego). Ma też przychody z wynajmu miejsc postojowych w garażu wielostanowiskowym i wynajmu mieszkań. Do jego dyspozycji jest Peugeot 207 o wartości około 10 500 zł oraz Kia Optima warta około 56 tys. zł. Ponadto na majątek polityka składają się monety kolekcyjne i kolekcjonerskie. Wszystkie te przedmioty są objęte małżeńską wspólnością majątkową.

Zostawiając jednak majątek, a wracając do polityki. Notowania Boguckiego w Prawie i Sprawiedliwości stale rosną. Polityk mocno uderza w rząd, choćby w debatach zdrowotnych czy dyskusji o kryptowalutach.

W tej drugiej sprawie stwierdził z mównicy sejmowej, że premier „falszywie postawił” temat głosowania nad ustawą dotyczącą kryptowalut i nie dotyczy ono tego, czy „jesteś za rosyjską mafią, czy jesteś za tą ustawą”.

- Temat głosowania jest bardzo prosty: jak przykryć nieudolność rządu, dramatyczną sytuację w ochronie zdrowia, klęskę wczorajszego szczytu medycznego, gigantyczny deficyt finansów publiczny, brak działania służb - tłumaczył szef Kancelarii Prezydenta.

Potem było o tym, że premier „leje krokodylę łzy, straszy Polaków, mówi o rosyjskiej mafi”.

- Pan premier chodzi na grzyby w garniturze. Trzeba ściągnąć, panie premierze, ten garnitur, podwinąć rękawy i wziąć się do roboty - apelował Bogucki.

Dobrze brzmiało to w telewizji. Tyle tylko, że przed ostatnim posiedzeniem rządu premier pociągnął temat kryptowalut i weta prezydenta.

- Mam informacje, które rodzą bardzo dramatyczne pytania: dlaczego PiS, Konfederacja i prezydent blokują rozwiązania dotyczące rynku kryptowalut. Być może niestety znaleźliśmy rozwiązanie, dlaczego to robią - mówił Tusk, przekazując informację, którą otrzymał od Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Wynika z niej, że na przełomie października i listopada 2025 roku, miesiąc przed głosowaniem weta prezydenta w sprawie regulacji rynku kryptowalut, Przemysław Kral, prezes zarządu giełdy kryptowalutowej Zondacrypto, dokonał wpłat na rzecz dwóch fundacji: 450 tys. zł wpłacono Fundacji Instytut Polski Suwerennej Zbigniewa Ziobro. Część z tych środków przeznaczono na obrońców Dariusza Mateckiego i księdza Michała Olszewskiego. Inna spółka związana z Zondacrypto i panem Kralem, Expofer Servis House, zrealizowała transakcję na rzecz fundacji posła Przemysława Wiplera. Zondacrypto była także głównym sponsorem imprezy prawicowych działaczy CPAC.-

W trakcie kampanii prezydenckiej najważniejszymi uczestnikami tej imprezy byli prezydenci Duda i Nawrocki - podkreślił Donald Tusk, zaznaczając, że jest to „tylko część materiału”.

Ale tego być może Zbigniew Bogucki nie wiedział. Dostało się też rządowi za kryzys służby zdrowia. Szef Kancelarii Prezydenta mówił o „chaosie”, „dramacie” i „głębokiej zapaści”, jakiej nie było od lat, a może nigdy. Tak, Bogucki jest na fali. Dużo go w mediach. - Pracowity, świetny mówca, zawsze merytorycznie przygotowany do dyskusji, lubiany w PiS, ceniony w Konfederacji - mówi nam jeden z polityków Prawa i Sprawiedliwości. - To polityk nowej generacji: otwarty, zdecydowany, doświadczony. Potrafi nawiązać kontakt z wyborcami - dodaje inny.

Ci, którzy Boguckiego znają, mówią, że to sprawny gracz i gra głównie na siebie. Przez lata próbował wejść do wielkiej polityki i kiedy wreszcie mu się to udało, nie odpuści.

Inni w jego błyskotliwej karierze doszukują się ręki Joachima Brudzińskiego. Obaj - Zbigniew Bogucki i Paweł Szefermaker, szef Gabinetu Prezydenta RP - są uznawani za jego ludzi. Ile w tym prawdy, nie wiadomo. Wiadomo, że Zbigniew Bogucki ma dzisiaj swoje pięć minut i skrzętnie je wykorzystuje. Postara się, żeby Kancelaria Prezydenta była odskocznią do jeszcze większej kariery.

REKLAMA

0011502229

Wiosenny Puls Seniora



Gościem specjalnym będzie

Radosław Krzyżowski

22 kwietnia

Auditorium Maximum UJ

godz. 10

W programie:

- wykłady najlepszych ekspertów
- inspirujące rozmowy o zdrowiu i aktywności
- sprawdzone sposoby na zdrową i szczęśliwą wiosnę w sercu

Zarejestruj się na:
www.dziennikpolski24.pl/forumseniora.pl
www.gazetakrakowska.pl/forumseniora.pl

Udział w Forum Seniora jest bezpłatny, ale wymaga wcześniejszej rejestracji. Liczba miejsc ograniczona!

wiosna 2026



Forum Seniora
Małopolski

Patronat Honorowy nad Forum Seniora objęli: **Rektor UJ prof. Piotr Jedynak** **Marszałek Województwa Małopolskiego Łukasz Smółka**

ORGANIZATORPARTNER GŁÓWNYPARTNERZY



DZIENNIK POLSKI
Gazeta Krakowska



UNIWERSYTET
JAGIELLOŃSKI
W KRAKOWIE



Srebrna
MAŁOPOLSKA



TEZEUSZ.pl
Drugie życie książek



DELAVI
CENTRUM
Kraków



Gemini Polska



M
T
Muzeum
Inżynierii
i Techniki



34 lata tradycji
ARION Senior



Jagiellońskie
Centrum
Językowe

Czego ty szukasz? - nie bez irytacji pyta twoja mama ojca we lwowskim hotelu. Rodzice rozmawiają na tyle głośno, że słyszysz odpowiedź, która brzmi: Przeszłości. Chciałbym się w końcu od niej uwolnić. A ty czego szukałaś?

Przeszłości. Ale nie po to, by się od niej uwolnić albo się od niej odciąć, ale by ją poznać. Szukałam korzeni mojej rodziny i dziś po skończeniu pracy nad książką jedyne, czego jestem pewna, to fakt, że nadal niewiele wiem. Rozmowa, którą przytaczasz, miała miejsce, kiedy z rodzicami i bratem pojechaliśmy na wymarzone wczasy do Bułgarii. Byłam wtedy siedmio-, może ośmioletnim dzieckiem, które wyrusza w podróż życia. Ojciec się uparł, by jechać przez Lwów, co było kompletnym bezsenssem i nakładaniem drogi. W hotelu, w którym się zatrzymaliśmy, spędziliśmy parę godzin, bo pogryzły nas pluskwy i mama zarządziła ewakuację. Z tamtej perspektywy wydawało się, że przystanek w tym strasznym miejscu był kompletną pomyłką, ale to właśnie wtedy ojciec jedyny raz powiedział cokolwiek o sobie, choć wówczas także nie padło zbyt wiele słów. Wynikało z nich tylko, że w trakcie wojny urodził się we Lwowie i tu spędził dzieciństwo. Nigdy wcześniej ani później z jego ust nie usłyszałam nic więcej na temat przeszłości.

A ty nie pytałaś?

Kiedy jesteś dzieckiem, nie zadajesz pytań. Skoro dorodzi nie mówią o sobie, nie snują przy stole rodzinnych opowieści, uznajesz, że to jest normalne, że tak jest i już. Podobnie było u Artura Spiegelmana, autora komiksu „Maus”, który przez wiele lat myślał, że skoro jego ojciec w nocy krzyczy, to wszyscy ojcowie pewnie tak mają. Fakt, że mój ojciec nie mógł spać po nocach, też uznawałam za coś naturalnego. Nie miałam porównania. Tak samo było z dziadkami. Mając kilka lat, nie zastanawiałam się, skąd wynika takie a nie inne ich zachowanie, dlaczego babka ze strony ojca była zimna i nie okazywała mi żadnych ciepłych uczuć. Te pytania zadałam sobie teraz, już jako dorosła osoba, która próbowała się dowiedzieć, co z jej rodziną było nie tak i, jak już wiesz, nie znalazłam na wszystkie pytania odpowiedzi.

Ale masz domysły?

Czułam, nadal czuję, że w rodzinie ojca musiało się wydarzyć coś, co sprawiło, że stali się tak dalecy, niedostępni, że swoje własne wnuki traktowali przedmiotowo. Nie było

W pewnym momencie zrozumiałam, że z jakiegoś powodu moi przodkowie nie chcieli, bym dowiedziała się, co się im przydarzyło. Teraz już wiem, że nie jestem w tym wyjątkowa i że istnieją rodziny, które skazują swoje dzieci i wnuki na życie w milczeniu, wśród niedopowiedzeń i pilnie strzeżonych tajemnic – mówi Magda Huzarska-Szumiec, dziennikarka, autorka książki „Dlaczego mój ojciec nie mógł zasnąć. O dziedziczeniu milczenia i traumy”.

Katarzyna Kachel



FOT. ANDRZEJ BANAS

MAGDA HUZARSKA-SZUMIEC: CHCIAŁAM SIĘ DOWIEDZIEĆ, DLACZEGO MÓJ OJCIEC NIE MÓGŁ ZASNAĆ

w tych relacjach uczucia, nie było czułości. Wydawać by się mogło, że dziadkowie wybudowali sobie mur, którym odcięli się od najbliższych osób. Teraz wiem, że mogło to wynikać z ich strachu, z tego, że może zdarzyć się znowu coś takiego, co spowoduje po raz kolejny utratę. Zresztą tak naprawdę dziadków widziałam kilka razy w życiu i nie wspominam tych spotkań dobrze.

Zabawkami cię nie rozpieszczali, ale piszesz, że babka ugotowała ci raz całkiem smaczną parówkę.

Bo byłam chuda i zagłodzona, jak oceniły z ciotką Małgorzatą, oglądając mnie dokładnie w świetle lampy. A ja marzyłam tylko o tym, by wrócić do domu. Choć ta parówka była pyszna. W Rzeszowie, gdzie mieszkałam, takich nie było. W Katowicach kupowało się je łatwiej, bo były przydzielane dla górników. Ale wracając do zasadniczej kwestii, zastanawiałam się, czy moja niechęć do dziadków wynikała z moich subiektywnych odczuć, czy może jestem przewrażliwiona i przesadzam, demonizując ich obraz. Jednak kiedy parę lat temu poznałam moich kuzynów, Alę i Maćka, córkę i syna brata mojego ojca, i zaczęliśmy rozmawiać o dziadkach, okazało się, że oni mają podobne wspomnienia z dzieciństwa. Także pamiętają skąpiane w mroku schody kamienicy w Katowicach i strumień światła padający przez otwarte drzwi, w których stała nasza babka. Oni też marzyli, żeby stamtąd jak najszybciej uciec. To skłoniło mnie do zadania sobie pytania, dlaczego wszyscy mamy tak złe wspomnienia. Myślałam, że znajdę na to odpowiedź, odkrywając historię mojej rodziny. Jednak okazało się to bardzo trudne, ślady przeszłości zostały skrętnie zamazane. Niczego nie znalazłam, co też jest znamienne, tak jakby cała przeszłość została wyczyszczona, zamieciona. W archiwach nie trafiłam na żadne informacje na ich temat. Nadal nie wiem, kim byli. Przedziwne, bo o kuzeniach babci ze strony mamy, która urodziła się w tym samym czasie pod Lwowem, z archiwalnych dokumentów dowiedziałam się niemal wszystkiego. I to bez większego problemu. Poznałam też losy mojego drugiego dziadka, który w czasie I wojny światowej w wieku 16 lat uciekł do wojska, gdzie został skrybą. Natomiast część mojej rodziny ze strony ojca pozostawała wciąż otoczona mrokiem tajemnicy. Kiedyś znajomy opowiedział mi, że poznał ludzi, którzy noszą takie samo nazwisko i też pochodzą ze wschodu. Okazało się, że organizują rodzinne

zjazdy, dzięki którym utrzymują ze sobą ścisły kontakt. Aż podskoczyłam z radości, bo wydawało mi się, że wreszcie trafiłam na jakiś trop. Ale ci ludzie nic nie wiedzieli o moich dziadkach.

Co z tym zrobiłaś?

Opuściłam, choć znasz mnie i wiesz, że nie przyszło mi to łatwo. W pewnym momencie zrozumiałam, że widocznie z jakiegoś powodu moi przodkowie nie chcieli, bym dowiedziała się, co się im przydarzyło. O tym nie jestem wyjątkowa i że wiele rodzin skazuje swoje dzieci na życie w milczeniu, wśród niedopowiedzeń i pilnie strzeżonych tajemnic, przekonałam się, sięgając po książkę, takie jak m.in. „Traumaland” Michała Bilewicza czy „Cena” Anny Bikont. Po ich lekturze zaczęło do mnie docierać, że wiele historii przytaczanych przez autorów publikacji, podejmujących temat przekazywania traumy wojennej z pokolenia na pokolenie, skądś znam i że sama mam z nimi wiele wspólnego. Urodziłam się przecież długo po wojnie, a jeżeli cokolwiek mi się śni, jest to zawsze z nią związane. Od wielu lat, kiedy jeszcze nie było to takie oczywiste, jako dziennikarka drażyłam temat Holokaustu, opisywałam opowieści ludzi ocalałych z Zagłady, takich jak Nusia Horowitz-Karakulska, bohaterka mojej poprzedniej książki „Nusia z listy Schindlera”. Literatura dotycząca traum transgeneracyjnych utwierdziła mnie w przekonaniu, że nie jestem sama. Że 19 procent naszego społeczeństwa, jak podaje Michał Bilewicz, żyje w nieświadomości tego, jaki wpływ na nich mają doświadczenia wojenne przodków. Teraz, kiedy książka się ukazała, słyszę od wielu osób, że oni też żyją wśród nieomówień, rodzinnych tajemnic. Ta zmowa milczenia jest wciąż żywa, jest doświadczeniem wielu osób, do których kieruję moją książkę.

Książkę, która prowadzona jest dwutorowo. Z jednej strony to opowieść o tym, jak z okrucichów pamięci budujesz swój dom, a z drugiej to historia pana Bolesława.

Tak, nawet tytuły poszczególnych rozdziałów odnoszą się do pomieszczeń, z których zbudowany jest dom. Ta część to moja prywatna historia, która zazębia się ze zbeletryzowaną opowieścią o panu Bolesławie, mężczyźnie, którego poznałam zupełnie przypadkowo w areszcie śledczym przy Montelupich.

Skąd się tam wzięłaś?

Pracując w „Gazecie Krakowskiej” upierałam się, żeby pi-

sać o Holokauście, ale też o wszystkim, co jest związane z kulturą żydowską. Pracowałam razem, więc wiesz, że moje zainteresowania nie zawsze pokrywały się z zainteresowaniami redaktorów. Dlatego od czasu do czasu robili mi niespodzianki i zlecali tematy, które były dla mnie dość abstrakcyjne. Jednym z nich była rozmowa ze skazanym za morderstwo mężczyzną. Może to i byłoby ekscytujące z dziennikarskiego punktu widzenia, ale nie w tych okolicznościach i nie w tym dniu, który dokładnie opisuję w książce. Nie miałam jednak innego wyjścia i znalazłam się za kratkami. I tam jeden z wychowawców poprosił mnie o rozmowę ze starszym panem, który przychodził czytać więźniom wiersze. Tak poznałam pana Bolesława. Siedzieliśmy razem w celi, a on opowiadał mi historię swojego życia. W pewnym momencie doszedł w niej do ucieczki z przemyskiego getta. Wcześniej getto udało się opuścić jego mamie, od której dostał wiadomość, że czeka na niego na Winnej Górze. To takie wzniesienie na obrzeżach Przemysła, dziś dość luksusowy teren z pięknymi przedwojennymi willami. Tylko jak miał ją znaleźć wystraszony chłopiec, który już doskonale wiedział, co grozi mu za ucieczkę z zamkniętej dzielnicy żydowskiej. Biegł przez miasto, aż poczuł zapach świeżego pieczywa. Dochodził on z kamienicy, w której znajdowała się piekarnia. On był tak strasznie głodny, że nie bacząc na niebezpieczeństwo, wszedł do niej. Piekarze go przegonili, pobiegł wówczas do mieszkania na pierwszym piętrze, gdzie przyciemniona pewna kobieta z małą dziewczynką. Nakarmiła wystraszonego chłopca, umyła, pozwoliła mu się przespać i zaprowadziła do mamy. I teraz wyobraź sobie, że siedzę przed człowiekiem, który ze szczegółami opisuje mi moją babcię i mamę, która miała wtedy dwa latka. Na dodatek obydwie mieszkaly w kamienicy nad piekarnią, która wówczas była jedna w tej części miasta, czyli na Zasaniu.

Nie zadałaś mu żadnych pytań?

Uciekłam. W normalnej sytuacji każdy dziennikarz powinien złapać temat i go nie wypuścić, ja nie wydobyłam z siebie żadnego słowa. To było ponad 20 lat temu, dokładnie w tym roku, kiedy zmarły moja mama i babcia. Nie byłam w stanie dalej tego słuchać. Wyparłam to spotkanie z pamięci. Przez długie lata nikomu o tym nie opowiadałam. Musiałoby upłynąć

sporo czasu, aż zdecydowałam się o tym mówić. Pamiętam dokładnie wieczór po spotkaniu w Muzeum Polin w Warszawie, które dotyczyło „Niusi z listy Schindlera”. Z redaktorkami z Wielkiej Litery poszłyśmy na kolację i opowiadałyśmy sobie różne historie z życia. Ja opowiadałam tę. Kiedy skończyłam, usłyszałam: „A czy ty wiesz, że masz początek kolejnej książki?”. Zaczęłam się śmiać, ale równocześnie rozumiałam, że to było coś ważnego, że była to historia, której bałam się do tamtej pory dotknąć.

Chciałaś ją opowiedzieć sobie czy innym?

Prze wszystkie sobie. Sama wiesz, pisząc swoje książki, że robi się to dla siebie. Dopiero później przychodzi refleksja, że ktoś będzie czytał i że może w opisanych historiach odnajdzie siebie. Ja dzięki książkom innych ludzi rozumiałam, skąd biorą się moje takie a nie inne zachowania, dlaczego tak gwałtownie reaguję na sytuacje, które są całkiem naturalne i nie powinny wzbudzać we mnie lęku, z kolei ze stoickim spokojem wysłuchuję strasznych opowieści ocalałych. Kiedy pisałam książkę o Niusi, uświadomiłam sobie, że słucham jej opowieści bez większego, emocjonalnego zaangażowania, jakbym wybudowała sobie mur, który oddzielał mnie od jej strasznej historii. Ta pancerna ściana pozwalala mi się dystansować, stanąć obok i tylko słuchać, a nie przeżywać tego, co przeżywała moja bohaterka. Wytworzyłam w sobie mechanizm obronny, który umożliwił mi przebywanie w jej świecie i równocześnie opisywanie tego co się w nim działo.

To dlaczego to robiłaś?

Bo z jednej strony czułam przed tym tematem lęk, a z drugiej niezwykle nim z zainteresowaniem. W książce „Dlaczego mój ojciec nie mógł zasnąć” cytuję profesora Pawła Holasa, który zajmuje się zawodowo badaniem transmisji traum między generacjami. Mówi, że często zdarza się, iż pokoleniowo przekazywane są nie tylko treści i znaczenia emocjonalne samych traumatycznych przeżyć, ale też sposób, w jaki nasz przodek sobie z nimi radził. Sam profesor, kiedy był już dorosły, dowiedział się, że ma korzenie żydowskie. Doświadczył wtedy silnego strachu. Nagle bowiem uświadomił sobie, że jeszcze niedawno za to mordowano, że fakt pochodzenia wiąże się z całym bagażem uprzedzeń. I nie miał tu znaczenia fakt, że dziś nic mu nie grozi. Z jednej strony stara się temat omijać, a z drugiej

w niego brnie. Czułam podobnie. Choć pisząc książkę nigdzie nie użyłam słowa „Żyd” w kontekście moich przodków. Nie zrobiłam tego, ponieważ nie wiem. Nie mam pewności, jakie było pochodzenie mojego ojca, ani moich dziadków. Nie mam żadnych namacalnych dowodów, tylko całą garść przeczuć, niedopowiedzeń, zawieszonych w połowie zdań.

Co miałaś na myśli, mówiąc o swoich gwałtownych reakcjach w sytuacjach, które dla innych są całkiem naturalne?

W książce opowiadałam o tym, jak tłum ludzi, którzy skakali obok mnie pod sceną podczas koncertu Maanamu, sprawił, że wpadłam w histerię. Kora śpiewała moje ulubione kawałki „Cykady na Cykladach” czy „Nie poganiaj mnie, bo tracę oddech”, a ja usiłowałam się wy dostać z sali, bo czułam, że to ja zaraz stracę oddech, a może i życie. Ten atak paniki był niewspółmierny do tego, co się działo podczas koncertu. Dziś wiem, że mógł on wynikać z tego, co naukowcy nazywają transmisją transgeneracyjną na poziomie epigenetycznym, czyli z przekazywania w genach kolejnym pokoleniom pamięci o sytuacjach stresowych, które były udziałem przodków. Pamiętam, jak w szkole pojechaliliśmy na wycieczkę do obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau. Tam dałam dopiero popis, choć miejsce może było bardziej adekwatne do takiego zachowania.

Mama zapytała cię zanim wsiadłaś do autokaru: „Na pewno chcesz tam jechać”?

Myślisz, że opuściłabym siebie wycieczkę z klasą? To przecież miała być przygoda. Ale moja reakcja w obozie, kiedy się zgubiłam i chodziłam po barakach sama, a potem szukałam wyjścia, była za mocna. Dostałam ataku hysterii i długo nie mogłam się uspokoić. Na pewno w dużym stopniu ta panika była wynikiem przeczytanych lektur, obejrzanych filmów, tego, czym karmiono wówczas dzieci niemal od kołyski. Kto nie oglądał „Stawki większej niż życie” albo „Czterech pancernych i psa”? Nie dawałam się odciągnąć od telewizora, choć panicznie się bałam, gdy na ekranie pojawiali się Niemcy.

Wróć do twojego ojca. Barczo poruszyła mnie scena jego pogrzebu, na który pojechałaś razem z bratem. Moment, kiedy patrzysz na trumnę i czujesz cholerną złość, bo tak naprawdę go nie znałaś, nie wiedziałaś, kim był.

Pamiętam dobrze, kiedy mieszkaliśmy w akademiku

w Krakowie i do moich koleżanek przyjeżdżali ojcowie, a ja im strasznie zazdrościłam. Nie samych odwiedzin, ale relacji, wspólnych spacerów po Plantach. Ja nie mogłam mojego ojca zaprosić na spacer, porozmawiać z nim, zapytać o te istotne i mniej istotne sprawy, bo go w moim życiu nie było. I właściwie jedno z ważniejszych pytań, które sobie stawiałam w trakcie pisania tej książki, brzmiało: „Dlaczego?” I, jak wiesz, nie potrafię sobie do dziś na nie odpowiedzieć.

Mocny jest rozdźwięk między ojcem, którego pamiętałaś z dzieciństwa i człowiekiem, w którego zmienił się z biegiem czasu. Wspominasz, jak chodził z tobą na plac zabaw i kręciliście samoloty, co wprawiało w zdumienie matki, które pilnowały swoich pociech bawiących się w piaskownicy.

To było w latach 70., kiedy widok ojca bawiącego się z dzieckiem w piaskownicy nie był czymś powszechnym, był wręcz czymś niespotykanym. Ojcowie się tak nie zachowywali. Opieka nad dziećmi była domeną kobiet. A potem nastąpiło załamanie, ale ja byłam za mała, by je rozpoznać. Mogłam zadać to pytanie mamie, zapytać wprost, co dzieje się z ojcem, dlaczego coraz bardziej zamyka się w sobie, oddala. No i dlaczego nie śpi po nocach.

Ale w domu się milczało.

Tak, o wielu rzeczach się nie mówiło. To symptomatyczne, że o tym, iż moja babcia uratowała żydowskie dziecko, dowiedziałam się od obcego człowieka. Sąsiadki babci Broni w małym mieście, jakim był Przemysł, raczej nie pochwaliby jej za odwagę. Słowo „Żyd” ciągle było słowem tabu. Babci Broni w ogóle by przez myśl nie przeszło, że można je swobodnie użyć przy dziecku. Za to należało za nim biegać z garnuszkami pełnymi poziomkiem ze śmietaną, mimo że to dziecko się buntowało. Dziś wspominam to z czułością, wtedy to był niezły obciach.

Z książki wynika, że twoim życiem rządził przypadek.

Nie wiem, może sama je prowokuję, ale przypadkiem natknęłam się na pana Bolesława, przypadkiem dowiedziałam się o tym, co zrobiła moja babcia, kolejnym przypadkiem było spotkanie rodziny ze strony ojca, której wcześniej nie znałam. Opowiedzieć ci, jak do tego doszło?

Opowiadaj.

Pewnego razu mój brat poszedł do lekarza, którego nie tyle zastanowiło jego zdro-

wie, co fakt, że ma kolegę ze studiów, który nosi to samo imię i nazwisko, a na dodatek urodził się w tym samym roku co Maciek. Od słowa od słowa i tak poznaliśmy naszego najbliższego kuzyna Maćka. Okazało się, że ma on młodszą siostrę Alicję. Parę lat temu umówiliśmy się wszyscy na Kazimierzu. Nigdy nie zapomnę, jak do „Kolakka” wszedł nieznany mi wcześniej Maciek. Nagle w drzwiach zobaczyłam mężczyznę tego samego wzrostu co mój ojciec, wyglądającego identycznie jak on, mającego ten sam tembr głosu, podobnie gestykulującego. Ale to nie wszystko. Za chwilę odkryliśmy, że nasze dzieci noszą te same imiona, mamy podobne zainteresowania, pasje. Wymyśliłabyś to? Krok po kroku okazywało się, że nie znając się, nie mając ze sobą kontaktu, dokonywaliśmy w życiu bardzo podobnych wyborów. Jak widać, genów nie da się oszukać.

Co ważnego jeszcze przyniosła ci ta podróż w przeszłość?

Odkrycie prostej prawdy, że nie muszę mieć na wszystkie pytania odpowiedzi. I że nie jestem w tym sama. Są ludzie, którzy podobnie jak ja czują, że noszą w sobie jakąś tajemnicę, którą odziedziczyli po przodkach i być może nigdy jej nie odkryją. Dla nich też jest ta książka. Dzięki niej może zrozumieją, co sprawia, iż odczuwają wewnętrzny niepokój. Pewnie mogłabym dalej szukać, może bym na coś trafiła, poszła za tym, a wrodzona ciekawość nie pozwoliłaby mi opuścić. Ale zatrzymałam się, postawiłam kropkę. I dlatego ta książka kończy się cytatem z Thomasa Manna: „Cisza zmusza, abyśmy nasłuchiwali wszystkiego, co nie jest w niej zupełnie ciche”.

SPOTKANIE



Spotkanie z Magdą Huzarską-Szumiec, poświęcone książce „Dlaczego mój ojciec nie mógł zasnąć”, odbędzie się w Krakowie w Pałacu Nieśmiertelności (ul. Krakowska 13) we wtorek, 14 kwietnia o godzinie 18. Wstęp wolny.

RAFAŁ MAJKA: JUŻ NIE JEŹDŹĘ NA ROWERZE, GDY PADA DESZCZ

– Na szczyt nie dochodzi się przypadkiem. Trzeba być wytrwałym i gotowym na ciężką pracę. Żeby zająć naprawdę wysoko, trzeba solidnie trenować, ale też mieć poukładane w życiu – mówi kolarz Rafał Majka

Anita Czupryn

Jak wygląda życie po zejściu z trasy? Da się po prostu przestać być kolarzem?

Szczerze? Było ciężko. Człowiek musi sobie poradzić sam ze sobą. Mnie bardzo pomaga rodzina. Mam dużo zajęć z dziećmi, z Mają i Oliwierem, żona też daje mi dużo energii. A poza tym nadal trenuję. Oczywiście nie tak jak kiedyś, ale pięć, sześć razy w tygodniu jestem na rowerze. Tyle że dziś rower nie jest już taką meczarnią, jak w zawodowym sporcie. Niedawno wróciłem z Majoroki i to był bardziej wyjazd rekreacyjny. Oczywiście czasem trzeba jeszcze dać sercu popracować na wyższych obrotach, ale nie można z dnia na dzień wszystkiego odciąć. To mogłoby się źle skończyć dla organizmu.

Co pan robił na Majorce?

Dużo rozmawiałem z amatorami kolarstwa. O treningu, diecie, o tym, jak się ruszać mądrze, żeby sobie nie zaszkodzić. Wielu ludzi nie wie, jak ćwiczyć rozsądnie i jak traktować sport bardziej rekreacyjnie niż wyczynowo.

Jak pan przechodził z życia na najwyższych obrotach do zwyczajności?

To nie stało się z dnia na dzień. Wychodziłem z tego dwa lata. Wiedziałem, że 2025 będzie moim ostatnim sezonem. Najpierw myślałem o 2024 roku, ale dałem sobie jeszcze rok. Do tej decyzji dojrzewałem razem z rodziną. Przez lata żyłem na walizkach, poza domem byłem prawie 300 dni w roku. Nie byłem nauczony codziennego życia z rodziną. Ale mam mądre dzieci, żonę i dużo zajęć. Jeśli człowiek ma czym zapełnić dzień, ma ruch, plan, obowiązki, to łatwiej przechodzi przez koniec kariery. Adrenaliny oczywiście brakuje, ale próbuję szukać jej gdzie indziej.

Gdzie pan jej szuka?

Ostatnio próbowałem sportów motorowych. Nie jako



FOT. SZYMONBIKE - SZYMON KOTOWSKI

Rafał Majka: Największą dumę dał mi medal olimpijski. To coś wyjątkowego, bo igrzyska są raz na cztery lata

kierowca, tylko pasażer, ale i tak daje to dużą adrenalinę. Jedno jest pewne: sportowiec po zakończeniu kariery musi mieć zajęcie. Jeśli go nie ma, mogą przyjąć naprawdę duże problemy.

Musi być plan B?

Zdecydowanie. Bez tego mogą pojawić się problemy, także psychiczne. Przez lata żyje się w rutynie treningowej. Trenuje się właściwie cały rok, może 20 dni jest się bez roweru, a przez całą resztę czasu się pracuje. Tak wyglądało moje życie przez 25 lat. Tego nie da się odciąć w jeden dzień. Dlatego staram się wychodzić z tego spokojnie, małymi krokami. Teraz uczę się

nych z kolarstwem. Będzie można zobaczyć nowe technologie, które wchodzą do tej dyscypliny. My, jeżdżąc w zawodowych drużynach, mieliśmy je wcześniej, byliśmy zawsze krok do przodu, a dopiero później te rozwiązania trafiały na rynek dla zwykłych ludzi. Myślę, że będzie ciekawie, będzie dobra atmosfera. W niedzielę o 12 ma być też rodzinna parada. Chcę nadal być związany z kolarstwem, pozostać w tym świecie.

Jakie wartości chce pan promować? Co chce pan przekazać młodemu ludziom?

Że na szczyt nie dochodzi się przypadkiem. Jeśli ktoś chce dojść na szczyt w sporcie, musi być wytrwały i gotowy na ciężką pracę. Żeby zająć naprawdę wysoko, trzeba solidnie trenować, ale też mieć poukładane w życiu. Zawsze byłem zdania, że bez rodziny nie osiągnąłbym takich sukcesów. To ona daje człowiekowi oparcie, uspokaja. Kiedy były kraksy, kiedy coś nie wyszło, zawsze dzwoniłem do żony albo do taty. To oni też byli tym wszystkim obarczeni, oni to ze mną dźwigali. Na targach chcę więc rozmawiać nie tylko o samym kolarstwie, ale też o tym, co jest poza nim.

Jak się pogodzić z tym, że się już nie jest w peletonie?

To jest trudne. Czasem oglądam wyścigi i myślę, że mógłbym tam jeszcze być. Ale z drugiej strony wiem też, jak bardzo ten sport się zmienił. Kolarstwo zrobiło się brutalne. Kiedy zaczynałem, na szczyt wchodziło zawodników około trzydziestki, a kariera trwała nierzadko prawie do czterdziestki. Dziś wchodzi dziesiętnasto-, dwudziestolatki. To wszystko przesuwają coraz wcześniej. Tylko że potem taki kolarz może skończyć karierę już koło trzydziestki i nie wiedzieć, co zrobić ze sobą dalej. Bo nie jest do tego dojrzałe przygotowany.

Karię zakończył pan po ostatnim Tour de Pologne, ale decyzję podjął wcześniej. Chodziło o to, żeby mieć powiedzieć sobie dość, zanim sport to wymusi?

Zawsze chciałem skończyć na szczycie. I tak właśnie się stało: jako mistrz Polski. W tym roku jeszcze mogę jeździć w tej koszulce i to ma dla mnie znaczenie. Chciałem odejść tak, żeby nogi zapamiętały, że wciąż jeździłem z przodu, że nadal potrafiłem się ścigać, że męczyłem się, ale jeszcze w ten dobry, sportowy sposób. Wielu zawodników nie potrafi tego momentu uchwycić i przeciąga karierę. Tyle że jeśli się ją przeciąga, człowiek jest coraz starszy, a tej najlepszej formy już się nie odzyska. Kolarstwo zrobiło się też bardzo niebez-

pieczne. W moim ostatnim sezonie też był duży kraks, na początku roku rozciąłem wargę, miałem dziewięć szwów. Nigdy wcześniej, odpukać, nie miałem nic złamanego, ale to też dało mi do myślenia. Pomyślałem, że to już jest naprawdę duże ryzyko.

17 września wychodzi pana książka, przygotowana z Tomaszem Kalembą. Będzie bilansem, spowiedzią, kroniką sukcesów?

Ta książka powstała po zakończeniu kariery, bo wielu rzeczy nie da się powiedzieć, kiedy wciąż jest się czynnym sportowcem. Zwyczajnie nie ma się na to czasu. Tu poświęciliśmy na rozmowy bardzo dużo godzin, około trzydziestu godzin samych nagrań. To nie będzie tylko książka o sukcesach, ale o życiu. O sporcie, rodzinie, o tym, jak wygląda droga na szczyt, ale też o trudniejszych momentach, nawet o czymś w rodzaju lekkiej depresji, o rzeczach, z którymi człowiek czasem sam nie wie, jak sobie poradzić. Będzie w niej i zawodowy sport, i życie prywatne, i wszystko, co się z tym wiąże.

W książce pisze pan o tych sprawach, których wcześniej sobie nie uświadamiał?

Tak, i to sporo. Ta książka będzie bardzo o mnie. O tym, czego z zewnątrz nie widać. Ludziom wydaje się, że sukces sportowca to tylko medale i chwala. A później człowiek często zostaje z tym wszystkim sam. Kiedy jest dobrze, wszyscy cię noszą na rękach. Kiedy przychodzi kryzys, doświadczasz hejtu i bardzo szybko spadasz w dół.

Do którego momentu kariery wraca pan najczęściej?

Miałem bardzo dobry okres od 2014 do 2021 roku. Ale oczywiście wracam do Rio de Janeiro i do medalu olimpijskiego, bo każdy sportowiec marzy o medalu igrzysk. Z drugiej strony wracam też do Tour de France. Lubiłem bić rekordy, osiągać coś, czego wcześniej nie dokonał żaden Polak. To zawsze mnie napędzało, ta wysoko postawiona poprzeczka.

Które zwycięstwo dało panu największą dumę, a które największy spokój?

Największą dumę dał mi medal olimpijski. To coś wyjątkowego, bo igrzyska są raz na cztery lata, a na starcie staje około 150 zawodników. Sam fakt, że wróciłem z medalem, był ogromnym powodem do dumy. A największy spokój dało mi zwycięstwo w Tour de Pologne. Wiedziałem, że jako Polak bardzo chcę wygrać ten wyścig, jako pierwszy Polak w cyklu World Tour. Oczywiście etapy w Tour de France też były czymś wielkim, ale

Tour de Pologne dał mi taki szczególny rodzaj spełnienia.

A co do dziś boli najbardziej?

Może to, że nigdy nie wygrałem etapu Giro d'Italia, choć była taka szansa. Ale byłem podporządkowany drużynie, robiłem to, czego ode mnie oczekiwano. Zawsze byłem lojalny wobec swoich zespołów i dawałem to sobie sto procent. Może kiedyś będę tego żałował, a może nie. Dziś patrzę na to tak, że byłem wierny zasadom, według których jechałem przez całą karierę.

Po tylu latach w trasie ma pan dziś jakieś zwyczajne marzenie? Takie, na które wcześniej nie było miejsca?

Tak naprawdę dopiero teraz uczę się zwyczajnego życia. I widzę, ile rzeczy wcześniej mnie omijało. Przez 25 lat praktycznie siedziałem na rowerze. Nigdy tak naprawdę nie byłem z rodziną na normalnych wakacjach. Dlatego teraz staram się to nadrabiać i przynajmniej raz czy dwa razy w roku zabrać rodzinę gdzieś bez roweru. Po prostu na zwyczajne wakacje.

Co chciałby pan jeszcze w życiu wygrać?

Zdrowie. To jest najważniejsze. Zdrowie, ruch i pozytywne nastawienie do życia. Żeby człowiek cały czas się ruszał, dbał o siebie i żeby rodzina była zdrowa. Reszta naprawdę przyjdzie sama.

Kiedy budzi się pan rano, to nadal budzi się pan jako zawodnik?

Już jest trochę inaczej. Dziś rano też wstałem i pomyślałem, że nie jadę od razu na rower, tylko zajmę się dziećmi, zawiozę je do przedszkola. Mam teraz dużo spraw, których wcześniej w ogóle nie robiłem: dom, codzienność, zwykłe obowiązki. Ale z drugiej strony coś z tego zawodnika dalej we mnie jest. Chociaż przyznam, że w te święta pierwszy raz momentem normalnie zjeść i nie patrzeć ciągle na dietę. I to było fajne, to odbicie się od dawnej rzeczywistości.

Czyli żurek, biała kielbasa – bez wyrzutów sumienia?

Tak, wszystko było. I ciasto też. To było trochę inne świętowanie, lżejsze psychicznie. Chociaż wiadomo, potem człowiek od razu myśli, że dobrze byłoby spalić te kalorie na rowerze.

A rower dziś to jeszcze praca czy już przyjemność?

Jedno i drugie. Dalej jest narzędziem pracy, ale takim, które sprawia mi przyjemność. I to jest chyba najfajniejsze połączenie. Rower wciąż jest częścią mojego życia, tylko już na innych zasadach. Już nie jeżdżę, gdy pada deszcz.



FOT. GRZEGORZ GALASINSKI

Negocjacje z napastnikiem trwały 10 godzin. Do akcji w łódzkiej fabryce wezwano kontrterrorystów z Warszawy i Poznania, użyto także drona

STRZAŁY W FABRYCE ŻYLETEK

Kiedy rankiem 1 kwietnia w fabryce Gillette na obrzeżach Łodzi rozległy się strzały i zarządzono natychmiastową ewakuację, wiele osób myślało, że to prima aprilis.

Anna Gronczewska

Fabryka Gillette znajduje się na obrzeżach Łodzi, w jej przemysłowej części. Wokół nie ma prywatnych domów, tylko budynki należące do innych firm. Z daleka widać wieżowce Retkini, jednego z największych osiedli miasta. Pracownicy nie chcą opowiadać o tym, co wydarzyło się 1 kwietnia.

- Nie możemy - tłumaczą. - Dla wielu z nas było to makabryczne przeżycie. Nie wiedzieliśmy czy wrócimy do domu. Piotr Wójcik mieszka na Retkini. W środę 1 kwietnia wyjechał z parkingu i jechał do centrum Łodzi.

- W okolicach przystanków przy ul. Popiełuszki zobaczyłem siedmioro, ośmioro ludzi owiniętych złotymi foliami, takimi, jakie daje się ludziom w przypadku jakichś wypadków - opowiada. - Ten widok bar-

dzo mnie zdziwił. Zwolniłem, nie zobaczyłem żadnego śladu wypadku, żadnych samochodów. Dopiero potem dowiedziałem się, że byli to ludzie ewakuowani po strzelaninie w Gillette...

Dwa lub trzy strzały

Około godziny 7.00 w Gillette pojawił się uzbrojony mężczyzna. Na teren fabryki wszedł przez płot, potem przedostał się do jej wnętrza. Odszukał mężczyznę, który był jego szefem, który siedział w swoim biurze. Wyciągnął pistolet i oddał w jego stronę dwa - trzy strzały. Do dziś nie ma jasności ile. Tak jak nie wiadomo, czy kierownik zawdzięcza życie kiepskiemu oku zamachowca, czy temu, że tamten nie zamierzał go w rzeczywistości zabić. W każdym razie nie trafił. Były szef zaczął uciekać, a napastnik pobięgał za nim.

W fabryce wybuchła panika, wezwano policję, ewakuowano około 400 pracowników i rozpoczęto poszukiwania strzelca.

- Kazali mi wyjść, tak jak stałem - opowiadał TVN 24 jeden z pracowników Gillette. - Słyszałem jeden huk, na hali było koło 200-300 osób. Nie było żadnej paniki, wyszliśmy spokojnie. Nie znam tego mężczyzny, który to robił, słyszałem jedynie plotki.

Szybko ustalono, że był nim 42-letni Dominik Ż., który przez 14 lat pracował w Gillette, ale w 2024 roku został zwolniony.

Dominik uciekł i zabarykadował się w jednym z pokoi. W fabryce pojawili się antyterrorysty i policjanci negocjatorzy. Przez wiele godzin przekonywali Dominika, by się poddał. Udało się to dopiero koło godziny 17.00. Mężczyzna oddał się w ręce policji.

Podczas przesłuchania Dominik Ż. zapewniał, że nie chciał nikogo zabić.

- Umarł mój pies i na terenie fabryki chciałem popełnić samobójstwo - tłumaczył.

Nie podobały mu się porządki w fabryce

Śledczy szybko obalili takie wyjaśnienia. Skoro chciał się zabić, to dlaczego strzelał do swojego byłego przełożonego? Nic nie wskazywało na to, by miał zamiar popełnić samobójstwo. Potem podejrzany zaczął tłumaczyć się inaczej.

- Podczas przesłuchania 42-latek oznajmił, że działania na terenie fabryki podjął z uwagi na swoje wcześniejsze złe relacje z przełożonym - powiedział nam Paweł Jasiak, rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Łodzi. - Nie podobały mu się stosunki panujące w fabryce.

Przeszukano plecak Dominika Ż., w którym był rewolwer czarnoprowchowy, z którego strzelał do byłego szefa. Co ważne, na posiadanie tego rodzaju broni nie potrzeba zezwolenia. W plecaku były też szczyryki, noże, gaz pieprzowy, kajdanki.

- W mieszkaniu mężczyzny zabezpieczono kilkadziesiąt sztuk amunicji i elementy broni czarnoprowchowej, które zostaną przebadane przez biegłego do spraw balistyki - mówiła nam komisarz Edyta Machnik, rzecznik prasowy KWP w Łodzi. - Policjanci znaleźli także susz roślinny, którego wstępne badanie potwierdziło, że jest to marihuana.

Dominik Ż. nie był dotąd karany. Prokuratura postawiła mu zarzut usiłowania zabójstwa, za co grozi dożywocie, a także stawiania gróźb karalnych i posiadania narkotyków. Aresztowano go na trzy miesiące. Teraz będzie poddany badaniom psychiatrycznym.

Już na drugi dzień w Gillette pracowano normalnie. Był to pierwszy taki dramatyczny przypadek w tej fabryce. Jej pracownicy nie są chętni do rozmów, ale w internecie pojawiły się ciekawe komentarze.

Jedna z internetek napisała, że w Gillette przepracowała 5 lat.

- Pracę wspominam raczej dobrze, bo nie pracuje się za kilku, tylko ma się swoje stanowisko pracy i wie się, co ma się robić - tłumaczyła. - Nikt się nie czepiał, kiedy poszło się na krótką, dodatkową kawę, czy herbatę, jeśli powierzona praca była zrobiona. Ponadto, uczciwie wypłacane nadgodziny, itp. (...) Jeśli dobrze pamiętam, to wypłata składała się wtedy z najniższej krajowej i dodatku za pracę w systemie 4-brygadowym - jeśli nadal tak jest, to uważam, że za tę pracę jest to w porządku wynagrodzenie, tym bardziej że dochodzi do tego więcej płatne święta (tylko dla chętnych) i dodatek za godziny nocne.

Z nożem do kolegi z pracy

To co się stało 1 kwietnia w Gillette, nie było pierwszym takim wydarzeniem. Podobna sytuacja miała miejsce w 2015 roku, także w Łodzi.

Do tych wydarzeń doszło w jednej z firm informatycznych. Pracownicy jednego z działów mieli zebranie. Około 15.00 do tego pokoju wszedł kolega, 27-letni Konrad G. Pracował w innym dziale. Mężczyzna usiadł na krześle, w pewnym momencie wstał, wyciągnął nóż i ugodził nim jednego z uczestników zebrania.

- Napastnik, nic nie mówiąc, zaatakował nożem rówieśnika, doprowadzając do powstania rozległej rany ciętej policzka - tak o tej sytuacji mówił Krzysztof Kopania, ówczesny rzecznik

prasowy Prokuratury Okręgowej w Łodzi. - Kiedy pokrzywdzony upadł na podłogę, napastnik wymierzył mu dwa uderzenia w podbródek i szyję. Kolejne cztery ciosy padły także w okolicę głowy, spowodowały jednak jedynie rany rąk, którymi ofiara próbowała się zasłaniać. Dalszy atak powstrzymali obecni w pokoju mężczyźni.

Pobity i ugodzony nożem informatyk trafił do szpitala, a kolegę, który go zaatakował, aresztowano. Podczas przesłuchania Konrad powiedział, że nie chciał nikogo zabijać. Twierdził, że niewiele pamięta. Znał dobrze kolegę, którego zaatakował, pracowali razem kilka lat i nie mieli konfliktów.

Śledczy mieli wątpliwości co do stanu poczytalności zatrzymanego. Został poddany obserwacji sądowo-psychiatrycznej. Biegli stwierdzili, że 27-latek nie mógł rozpoznać znaczenia czynu ani pokierować swoim postępowaniem. Oznacza to, że nie może ponosić odpowiedzialności karnej. Z opinii wynika, że może ponownie popełnić poważne przestępstwo. Prokurator skierował do sądu wniosek o zastosowanie środka zabezpieczającego w postaci umieszczenia mężczyzny w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym.

W grudniu ubiegłego roku dramatyczne sceny rozegrały się w jednym z zakładów w Jarocinie, w województwie wielkopolskim. Doszło do kłótni między dwoma pracownikami. W pewnym momencie jeden z nich wyciągnął nóż i ugodził kolegę. Ofiarą był 37-letni Kolumbijczyk, a atakującym 40-letni obywatel Wietnamu. Wietnamczyka aresztowano i postawiono mu zarzut uszkodzenia ciała przy użyciu noża, czym naraził swoją ofiarę na ciężki uszczerbek na zdrowiu. Grozi mu za to do 5 lat więzienia.

Dlaczego dochodzi do takich ataków w pracy? Czesław Michalczyk, psycholog i biegły sądowy odniósł się do przypadku z łódzkiego Gillette.

- Być może był tam konflikt lub poczucie bycia potraktowanym niesprawiedliwie - tłumaczy. - Ale musiały temu towarzyszyć problemy osobowościowe. Bo nawet jeśli pojawiają się konflikty lub problemy w pracy, nikt nie sięga z tego powodu po broń. Coś sprawiło, że atakujący nie kontrolował swojej agresji. Możliwych powodów jest wiele, a prawdziwego nie znamy. Mogły to być na przykład zaburzenia osobowości, psychoza albo efekty spożycia lub abstynencji od alkoholu lub innych substancji psychoaktywnych. Jeśli pracownik wykazywał zachowania agresywne lub nieadekwatne do sytuacji, to prawdopodobnie dało się to zauważyć już wcześniej. Dlatego przypomina, że rolę przełożonego jest zachowanie uważności i w razie potrzeby - zareagowanie.

RALPH KAMINSKI: NIE MOGĘ ZAWIERZAĆ POCZUCIA WŁASNEJ WARTOŚCI OSIĄGANYM SUKCESEM

Jest jedną z najbardziej wyrazistych postaci na polskiej scenie muzycznej. Właśnie ukazała się jego nowa płyta – „Góra”. Przy okazji jej premiery Ralph Kaminski zdradził nam czy jest wrażliwą osobą i czy lubi często płakać

Parweł Gzyl

„Góra” to twój pierwszy album wydany samodzielnie. Skąd ten pomysł?

Zebrałem na to odpowiedni kapitał. Początkowo każdy artysta bierze kredyt od wytwórni i spłaca go z czasem. Umowy są jednak tak skonstruowane, że mimo tego, nie nabywa się praw do tych fonogramów. Dlatego, kiedy mogłem sobie na to pozwolić, postanowiłem sam wydać nową płytę. To po prostu naturalny etap w karierze artysty.

To dlatego czekaliśmy na „Górę” aż cztery lata?

Nie. Promocja „Balu u Rafała” trwała aż dwa lata. Potem zrobiłem sobie rok przerwy, ale w tym czasie komponowałem nowy materiał. Potem nastąpił proces nagrań i realizowania teledysków, co trwało bardzo długo i zajęło mi prawie pół roku. Dlatego dopiero teraz wydaję nowy album.

„Bal u Rafała” był twoją najbardziej nowoczesną i wręcz mainstreamową płytą.

„Bal u Rafała” nie był robiony pod mainstream. To nie jest wycelowany pop do radia. To concept-album, który był dla mnie eksperymentem w zaniużeniu się w elektronice, na której tak naprawdę się nie znam i w której nigdy wcześniej się nie poruszałem w pełni. Pomyślałem po prostu, że spróbuję w tej materii zrobić coś po swojemu, może nie tak, jak powinno się robić ten rodzaj muzyki, ale tak jak ja to czuję. Poza tym była to muzyka robiona pod kątem widowniska na scenie.

Spodziewałeś się, że „Bal u Rafała” odniesie tak duży sukces?

Bardzo zaskoczyło mnie, jak szeroko poszedł ten projekt. Zagrałiśmy w telewizji m.in. na 30-lecie „Paszportów Polityki” czy na Bestsellerach Empiku. W życiu nie spodziewałem się, że „Bal” osiągnie tak duży sukces komercyjny. Nie wiem skąd się to wzięło. Na pewno ten odbiorca nie znał mnie wcześniej i nagle coś go zaintrygowało. Być może uznał, że jestem inny niż wszystko co do tej pory widział w telewizji. Wcześniej też taki byłem, ale to przy tym projekcie dostałem szansę występu na polsatowskim festiwalu w Sopocie. Nina Terentiew i Kasia Wajda zaufały mi i pozwoliły zaprezentować ten materiał, a występ ten wywołał spory szum wokół „Balu u Rafała”.

Dlaczego w takim razie nie poszedłeś za ciosem i nie nagrałeś podobnych piosenek, tylko na „Górze” wracasz do wyciszonych i akustycznych utworów, jakie śpiewałeś na początku kariery?

Po flircie z tą mainstreamową częścią show-biznesu, uznałem, że nie czuję się w tym do końca dobrze. Jasne – każdy artysta chce, żeby jego twórczość docierała do słuchaczy maksymalnie szeroko, ale ja szukam czegoś innego w muzyce. Robię piosenki do słuchania i przeżywania, a nie po to, żeby bić rekordy.

I właśnie taka jest ta nowa płyta. Pojawiają się na niej również echa muzyki ludowej – przede wszystkim w tytułowej „Górze”. Skąd taki pomysł? Kiedy komponuję, nie mam nigdy jakichś konkretnych założeń, że będę robił taką, a nie

inną muzykę. Wszystko dzieje się bardzo naturalnie. I jakiś czas temu zdałem sobie sprawę, że wpadają mi do głowy folkowe pomysły. Nic dziwnego: pochodzę z Podkarpacia, u mnie w rodzinie na posiadówkach ciotki zawsze śpiewają ludowe przyspiewki. To momentami bardzo zabawne, a momentami bardzo wzruszające teksty. Dlatego to we mnie siedzi. Już na „Balu u Rafała” pojawiła się piosenka „Ale mi smutno”, która miała tekst rodem z ludowej przyspiewki. Pracując nad „Górą”, chciałem nawiązać do koncertu fortepianowego Wojciecha Kilara, gdzie są takie szeroko grane akordy i połączyć to ze śpiewem góralskim. Miałem bowiem w zespole przez dekadę basistę – prawdziwego górala. Nie raz słyszałem więc choćby na jego urodzinach, jak on i jego kuzyni pięknie grają i śpiewają po góralsku. Brałem też udział w projekcie Miuosha „Pieśni Współczesne” z towarzyszeniem Zespołu Pieśni i Tańca Śląsk. Oszukałem się z tymi aranżacjami i teraz u mnie są podobne chóralskie partie. To zresztą bardzo charakterystyczne dla polskiej muzyki w ogóle.

Pod względem tekstów „Góra” to też powrót do twych korzeni – czyli do emocjonalnej spo-

wiedzi. Dlaczego postawiłeś ponownie na taką bardzo intymną treść?

Myszę, że w sumie na każdym albumie stawiam na intymną opowieść dla słuchacza. Wiadomo – jest ona zamknięta w poetycki język i metafory, ale czasem wprost mówię o trudnych rzeczach. Wydaje mi się, że taki rodzaj przekazu jest największą siłą piosenki i dlatego od pierwszej płyty poruszam się w tym kręgu. Również jako odbiorca sam szukam takiej muzyki – bardzo osobistej. Lubię po prostu dopuszczać słuchacza blisko siebie.

Pierwsze piosenki z płyty opowiadają o szczęśliwej miłości („Kiedy przyjdiesz do mnie” i „Pocałunki w deszczu”), potem pojawia się poczucie straty i tęsknota („Góra” czy „List z wielkiego miasta”). Skąd taka konstrukcja?

Zawsze staram się ustawiać utwory na moich płytach nie przypadkowo, tylko dramaturgicznie. Tym razem, dopiero przy masteringu tego materiału na winyl, okazało się, że „Góra” ma dwie części, które niby są ze sobą zespolone, ale jednak różnią się od siebie. Pierwsza jest bardziej minimalistyczna, głównie oparta na pianinie, a druga – folkowa, z wiodącą gitarą akustyczną, którą po raz pierwszy

tak szeroko wykorzystałem w swej twórczości. Nie było to jednak założenie. Po prostu samo się to tak ułożyło.

W piosence „Ania” to poczucie straty przyjmuje postać twej zmarłej nauczycielki śpiewu – Anny Domżańskiej. To dzięki niej jesteś dziś tym, kim jesteś?

Już wcześniej zdarzało mi się w piosenkach oddawać hołd bliskim mi osobom – choćby dziadkowi czy babci. W innych utworach przewijają się z kolei ważne dla mnie imiona. Moja nauczycielka śpiewu była dla mnie niezwykle istotną osobą – swego rodzaju „matką zawodową”. Bardzo dużo mnie nauczyła i wiele jej zawdzięczam. Jej strata była więc dla mnie bolesna. Pierwszy raz przeżyłem czyjąś śmierć na takim dorosłym poziomie. Nigdy wcześniej z nikim nie żegnałem się tak na zawsze. Spotkałem się z nią i ona otwarcie mówiła, że odchodzi. Nie było w tym żadnego udawania. Utwór „Ania” jest dla mnie wyrazem porażenia siebie ze stratą i żałobą po niej, sposobem na przetwarzanie traumy, ale też skromną próbą zapewnienia jej nieśmiertelności. Śpiewam tam: „W piosence nic ci nie grozi, piosenki są wieczne”. Sztuka zapewnia nieśmiertelność nie tylko artystom, ale też tym, którzy się w niej za ich sprawą pojawiają. Zapraszanie bliskich mi osób do teledysków, to w jakimś sensie ich uwiecznianie w danym momencie życia. To mój sposób na radzenie sobie z tym, co przemija w tej ziemskiej materii.

W kilku piosenkach, jak „Góra” czy „Ostatni dzień lata”, pojawia się motyw płaczu. Często sobie pozwalasz na łzy?

Właśnie nieczęsto. Czas promocji „Balu u Rafała” był dla mnie bardzo trudny pod wieloma względami. Dawanie koncertów pełnych choreografii nie było łatwe i stanowiło duże, fizyczne obciążenie. W takim cugu nie ma miejsca na własne emocje, dlatego kiedy się to kończy, organizm sam wyplakuje się za ten czas. Stąd w przerwie po zakończeniu promocji „Balu u Rafała” bardzo dużo płakałem. Musiało się po prostu wylać ze mnie wszystko to, co się nazbierało wcześniej. Ale nie powiedziałbym, że tak z natury bardzo się wzruszam. Kiedy jednak pracowałem nad nową płytą, to płakałem na maksa, tak, że żartowałem sobie, że chyba się od tego odwodnię (śmiech). Szedłem do kawiarni z książką i... leciały mi łzy. Cóż: natura szuka równowagi, podobnie i my w naszych emocjach powinniśmy ją zachować.

Nowy album jest dla ciebie oczyszczeniem z tych nagromadzonych emocji?

W jakimś stopniu na pewno. Ale jest też zapisem trudniej-

szego momentu mojego życia i głębokiej refleksji nad nim. W trakcie promocji „Balu u Rafała”, kiedy było jeszcze różowo, wymyśliłem sobie, że kolejna płyta będzie akustyczna, muszę więc na niej mieć pianino, gitary i waltornię, ale również, że napiszę pogodne i radosne teksty. Niestety, życie miało swój scenariusz. To nauczyło mnie, żeby nie zakładać sobie co chcę zrobić, tylko opisywać to, co się aktualnie u mnie dzieje w sposób naturalny. Jedynie mogę sobie do tego dobrać różne instrumenty.

Płytę kończy pogodna piosenka „Ostatni dzień lata”, w której śpiewasz o zmienności ludzkich losów. Znajdujesz w niej pocieszenie?

Ten utwór napisałem prawie półtora roku temu w ostatni dzień lata. Kiedy kończy się ta pora roku, zawsze włącza mi się sentyment, że szkoda, iż już mija. Rozwinąłem to i skomponowałem tę piosenkę dla siebie i dla innych na pocieszenie. Utwory z „Góry” dotyczą trudnych i bolesnych tematów, ale nie dobijają słuchacza. One mają za zadanie dać wyraz często pochowanym gdzieś głęboko, trudnym emocjom, od których mamy tendencję do uciekania. Szczególnie teraz, w zabieganym świecie, w którym nie mamy czasu, aby się zatrzymać i przeżyć to, co musi zostać przeżyte. Dlatego zależało mi, aby płytę zakończył „Ostatni dzień lata”. Co więcej: podczas obecnych koncertów, wykonuję po tej piosence cover utworu Czesława Niemena do wiersza Jarosława Iwaszkiewicza „Nim przyjdzie wiosna”. To pięknie pokazuje to, co chcę przekazać na tej płycie: że nawet największe mrozy muszą minąć. Kocham ten utwór, bo niesie piękną nadzieję.

Generalnie twoje teksty zawsze mają bardzo emocjonalny charakter. Od dziecka byłeś taką uczuciową osobą?

Z tego, co pamiętam i co słyszałem od moich najbliższych, to od zawsze byłem bardzo wrażliwy. Nadal taki jestem, ale jako dorosła osoba, uczę się jak sobie z tym radzić. Każdy twórca ma w sobie duże pokłady wrażliwości. Bez tego nie da się kreatywnie działać. Powstaje tylko pytanie: czy my sobie z tą wrażliwością radzimy? Każdy ma na to własny sposób, uczymy się tego całe życie. Ja również. Nie doradzę więc co można z tym robić, ale na pewno trzeba to chronić i uważać na siebie.

W twojej najbliższej rodzinie nie było artystycznych tradycji. Decyzja, by zając się muzyką wymagała dużej determinacji i odwagi?

Moja rodzina miała artystyczne zapędy. Mój ojciec chrześny miał genialny gust muzyczny. Podrzucił mi wspaniałe płyty, pokazywał mi kasety VHS z te-

ledyskami z poprzednich dekad. Wtedy nie było YouTube czy Spotify, sam bym więc na to nie trafił. Moja mama marzyła, aby zostać aktorką, ale żyła w małym mieście w czasach PRL-u i Warszawa czy inne duże miasto było dla niej za daleko. Świat artystyczny był dla innych ludzi, wydawało się, że trzeba mieć znajomości, żeby do niego wejść. Kiedy mój dziadek dowiedział się, że zdaję na Akademię Muzyczną, ku czemu bardzo kierowała mnie moja mama od dziecka, powiedział: „Dorota, gdzie ty go wysłałaś? Tam są same dzieci dygnitarzy”. Takie było kiedyś podejście. Już na samym początku rezygnowano z marzeń. Często zdarzało się, że słyszałem od niektórych członków rodziny pytanie, co ja będę po takich studiach robił. Wtedy była totalna moda na prawo i medycynę, a teraz okazuje się, że wcale nie gwarantuje to szczęśliwego i dostatniego życia. Jeśli kiedyś będę miał dzieci i któreś z nich zostanie rzemieślnikiem, to będę się cieszył, bo to najpewniejszy zawód, na którym dzisiaj można naprawę zarobić. (śmiej)

Studiowałeś w Gdańsku, potem trafiłeś do Warszawy, a pochodzisz z Jasła. Miałeś kompleks chłopaka z prowincji, kiedy zaczynałeś karierę?

Miałem, ale ukryty. Nie chciałem tego pokazywać. Kiedy młody człowiek słyszy od dorosłych, że czegoś mu brakuje i nie może spełniać swych marzeń, to zaczyna w końcu myśleć, że może to i prawda. Z drugiej strony na szczęście miałem przekonanie, że może i trudniej jest startować z małego miasteczka na prowincji, ale ja wam jeszcze pokażę! I to było dla mnie wielkim wsparciem. Z czasem zobaczyłem, że kiedy ma się wszystko pod nosem, to potrafi rozleniwic. Kiedy w tym zawodzie jest za prosto i odnosi się sukces za szybko, to nie jest według mnie dobre. Mam znajomych, którzy bardzo wcześnie zadebiutowali i dostali wsparcie dużej wytwórni, ale po dekadzie nic już im się nie chciało. Ja mam swoją drogę i wiem, ile ona mnie kosztowała. W tym roku, w listopadzie, minie dziesięć lat od mojej debiutanckiej płyty - i ktoś mnie spytał co uważam za swój największy sukces. Odparłem, że największym sukcesem jest dla mnie to, że po dekadzie nadal wykonuję ten zawód. Z tego się najbardziej cieszę.

Już twoja debiutancka płyta pokazała, że interesuje cię piosenka w starym stylu spod znaku Grechuty, Niemena, Wodeckiego. Nie obawiałeś się pójść pod prąd modnym trendom?

Powiem ci szczerze, że za każdym razem, kiedy coś robię, to czuję, że idę pod prąd. „Jezu, może ja powinienem inaczej?



Ralph Kaminski: Popularność nie była przyczyną mojej depresji czy nerwicy. Decydowały o tym raczej moje prywatne doświadczenia

Teraz wszyscy robią inne brzmienia” - myślałem tak przy debiucie. Bo zawsze są jakieś mody i trendy. Teraz jest znowu to samo. Robiąc „Góre”, album do słuchania w skupieniu i przeżywania, nie ułatwiłem sobie życia. Ale akurat na tym etapie coś takiego poczułem. Nie wiem, jak będzie za kilka lat - jeśli będę chciał robić same hity, to wtedy je zrobię. Teraz tego kompletnie nie czuję. Jeśli bym się do tego zmusił, to nie byłoby mi z tym dobrze. Taka totalna komercja jest czasem dobra, ale najczęściej oznacza pójście na wiele kompromisów. Ja w swojej twórczości chcę je ograniczać do minimum. Wiadomo - trzeba robić muzykę dla ludzi. I ja też staram się taką robić. Ale nie czułbym się dobrze, gdybym z góry zakładał, że muszę zrobić piosenkę, która trafi na pierwsze miejsce w RMF-ie czy w Zecie.

Twoje interpretacje mają zawsze mocno aktorski charakter. Występowałeś zresztą z sukcesami na Przeglądzie Piosenki Aktorskiej w Wrocławiu. Co cię ciągnie w tę stronę?

To wyraz mojej tęsknoty za aktorskimi przygodami, które zdarzały mi się i zdarzają od czasu do czasu. Ja nigdy nie chciałem być piosenkarzem i śpiewać piosenek. Chciałem być aktorem. Jako dziecko urządziłem w domu teatrzyk, brałem udział w przedstawieniach w przedszkolu, robiłem w podstawówce własne filmy animowane. Tylko to mnie interesowało. Ale w liceum, na zajęciach z wiersza, instruktorka bardzo mnie skrytykowała w niekonstruktywny sposób - i wtedy załamałem się. Stwierdziłem, że nie mam do tego talentu i w ogóle się do tego nie nadaję.

To skąd śpiewanie?

Kiedy robiłem te własne filmy animowane, nagrywałem do nich soundtracki na keyboardzie i w pewnym momencie zauważyłem, że wychodzą mi całkiem fajne piosenki. Okazało się, że mam do tego naturalne predyspozycje, bardziej niż do aktorstwa. Pewnie gdybym się bardzo uparł, to zdałbym do akademii teatralnej, ale dziś cieszę się, że to nie jest mój zawód. Znam wielu aktorów,

miałem też takich współlokatorów i wiem, że to przekichane. Tworząc muzykę, sam jestem w pełni odpowiedzialny za to, co wymyślam i śpiewam. A film czy spektakl to dzieło zespołowe. Dziś pozwalam sobie więc tylko na aktorskie przygody - jak choćby w serialu „Lady Love”. Moje interpretacje są więc może wyrazem tęsknoty za teatrem i filmem, a może po prostu tak tylko potrafię to przekazywać.

Pewnie te aktorskie ciagoty sprawiają również, że zawsze prezentujesz odmienny i wyrazisty image - fryzurę i ubranie.

Na pewno traktuję koncerty jako spektakle. Muzyka jest jednak dla mnie najważniejsza. Oczywiście znamy twórców, dla których ważniejsza jest cała otoczka. I OK - każdy ma swoje priorytety. Kiedy zaczynałem, nie było zbyt wielu artystów, którzy przykładali wagę do kostiumów czy scenografii na koncertach. Teraz jest już powszechne - i z pozytywnym dla publiczności. Ja staram się robić coś swojego i zawsze zadaję sobie pytanie, czy sam chciałbym to zoba-

czyć albo czy spodobałoby mi się to, gdybym to oglądał. Tak próbuję patrzeć na to, co robię.

Kiedyś powiedziałeś: „Zawsze chciałem zobaczyć jakie to uczucie być sławnym”. Po „Balu u Rafała” mogłeś już to poczuć. I jak to jest być sławnym?

Już w liceum zastanawiałem się, jak to jest być sławnym, kiedy oglądałem zdjęcia zagranicznych gwiazd, zrobione przez paparazich. „Ale to musi być śmieszne, tak się ukrywać” - myślałem. Zdobyłem pewną popularność już wcześniej, ale za sprawą „Balu u Rafała” zaczęło mnie kojarzyć niekoniecznie z muzyką. Początkowo bardzo mnie krępowało i wstydziałem się tego, że ktoś mnie rozpoznaje w miejscu publicznym. Musiałem sobie poukladać w głowie, że występowanie na scenie to moja praca i zawsze jestem na niej jakąś tam postacią. Schodzę jednak z estrady - i nie chcę odgrywać gwiazdy w życiu prywatnym. „Skoro mnie teraz ludzie rozpoznają, to nie mogę już jeździć autobusem miejskim?” - myślałem. Nie chciałem grać w tę grę poza sceną. Przemyslałem to sobie i przyzwyczaiłem się do tego z biegiem czasu. Oczywiście są bardzo nieprzyjemne sytuacje, jak stalking, wchodzenie w moją prywatną przestrzeń czy obsesja na punkcie wyobrażenia na temat mojej osoby. Zdarza się to bardzo rzadko, ale jednak przeraża. Moi przyjaciele, mimo że już się oswoili z moją rozpoznawalnością, to nie lubią, kiedy ktoś do mnie podchodzi, przerywa prywatne spotkanie i prosi o zdjęcie czy autograf. Muszę więc stawiać wyraźne granice. Generalnie nie mam najgorzej, bo jestem znany tak w sam raz. Bardzo współczuję tym, którzy są powszechnie znani w Polsce czy wręcz na świecie. To musi być koszmar.

Sukces w show-biznesie ma zawsze swoją cenę. W twoim przypadku to depresja i nerwica?

Wydaje mi się, że popularność nie była przyczyną mojej depresji czy nerwicy. Decydowały o tym raczej moje prywatne doświadczenia. Co ciekawe: zauważyłem, że sukcesy artystyczne i związana z tym sława nie stanowią żadnej rekompensaty dla moich osobistych kompleksów. To nie załatwia mi żadnych prywatnych braków. Nie tędy droga. Zrozumiałem, że nie mogę zawierzać poczucia własnej wartości osiąganym sukcesom. Bo to zawsze jest względne, raz jest góra, a raz dół. Myślę, że cena, jaką płacę za ten sukces, jest tak naprawdę minimalna. Staram się bowiem chronić siebie i nie pokazywać swego prywatnego życia tak szeroko, jak robią to niektóre osoby publiczne. Oczywiście nie dlatego, że się wstydzę mo-

ich bliskich czy przyjaciół, ale po to, by ochronić swoją najbardziej wrażliwą część. Moja twórczość jest bardzo osobista i wydaje mi się, że i tak dużo mówię w niej o sobie. Dlatego muszę mieć coś swojego, coś tylko dla siebie.

Od lat masz swych wiernych fanów, którzy otaczają cię szczerą admiracją. Uwielbienie ze strony słuchaczy nie ma terapeutycznych właściwości, dzięki którym masz większe poczucie własnej wartości?

Nie do końca. Oczywiście jest to bardzo przyjemne i moi słuchacze są dla mnie bardzo ważni. Jest to jednak bardzo specyficzna relacja. Trochę też nierówna. Zdarzało się, że byli fani totalnie wkręceni w moją twórczość, ale kiedy zmieniałem kierunek artystyczny, nagle przestawali nimi być. Dlatego nie mogę temu zawierzać. Doceniam tych, którzy poświęcają naprawdę znaczną część swego życia, aby mnie słuchać i cieszy mnie, kiedy mówią, że moja muzyka im bardzo pomaga lub pozwala poznać innych ludzi o podobnej wrażliwości. Ja stoję jednak na scenie, która odgradza mnie od publiczności. Taka to dziwna relacja i muszę trzymać ten dystans, bo nie da się inaczej. Nikt nie wymyślił lepszego sposobu. Najważniejsi są dla mnie ludzie, którzy widzą mnie bez scenicznego kostiumu. Dlatego trzeba dbać o kontakty z dobrymi osobami, bo towarzystwa wzajemnej adoracji w show-biznesie nie brakuje. To niby jest OK, ale co będzie jak się rączka omsknie i przyjdzie gorszy czas? Jak się jakiś projekt nie uda albo płyta się źle sprzeda? Wtedy wszystko się zaraz kończy. Dlatego śpiewam w „Pocałunkach w deszczu”: „Chcę być chciany nie jak idol, lecz przez ciebie”.

No właśnie: w zeszłym roku zdradziłeś w jednym z wywiadów, że jesteś szczęśliwie zamężny. Ten stan nadal trwa?

(śmiej) Szybko pożałowałem, że to powiedziałem. Dlatego nie kontynuuję tego wątku.

Jesteś w idealnym wieku na założenie rodziny. Masz takie plany?

Marzę o założeniu rodziny. Tak się złożyło, że mój młodszy brat już ją ma. Dlatego myślę o tym, ale zdaję sobie sprawę, że z chwilą jej założenia moje życiowe priorytety bardzo się zmieniają. Najważniejsza stanie się wtedy własna rodzina. Dlatego póki jeszcze mam w sobie siłę, chciałbym zrobić jeden lub dwa projekty artystyczne. Bo wiem, że jak będę miał dzieci, to maksymalnie mi odbije na ich punkcie. Widzę to po wszystkich moich znajomych, którzy założyli rodziny. A ostatnio sporo tego wokół mnie. Jak więc założyć rodzinę - to dam znać. Ale dopiero po fakcie. (śmiej)

LEKARZ OD TEMATÓW TABU: SŁYSZA, ŻE „JAK SWĘDZI, TO TRZEBA SIĘ UMYĆ, IM CZYŚCIEJ, TYM LEPIEJ”. A TO BŁĄD

Wstyd, odkładanie wizyty „na później”, leczenie na własną rękę i dopiero na końcu decyzja o konsultacji ze specjalistą. Taki scenariusz powtarza się w gabinetach proktologicznych w całej Polsce. – Przychodzą dopiero wtedy, kiedy jest dramat – przyznaje poznański proktolog

Sylwia Rycharska

Największy sprzymierzeniec choroby? Dr Łukasz Gmerek, proktolog, dyrektor do spraw leczenia i ordynator oddziału wielospecjalistycznego w Szpitalu Św. Wojciecha w Poznaniu, twierdzi, że to wstyd.

– To on jest głównym powodem, dla którego pacjenci trafiają do nas późno, i myślę, że najbardziej wstydzą się mężczyźni. Dla nich to jest bardzo krępujące, żeby zgłosić się z problemem okolicy kanału odbytu – mówi. – Kobiety też mają opory, ale zdecydowanie mniejsze. Mężczyźni często przychodzą dopiero w ostatecznym momencie, kiedy, jak ja to mówię, jest już dramat – dodaje.

Ten „dramat” ma bardzo konkretny wymiar: silny ból, nasilone krwawienia i duży dyskomfort, który utrudnia codzienne funkcjonowanie.

Krew, która straszy

Najczęstszym objawem, który powinien skłonić do wizyty u specjalisty, jest krew.

– Pacjenci widzą krew i pierwsze, co robią, to biorą smartfona i wpisują zapytanie w wyszukiwarkę. A tam najczęściej pojawia się informacja, że to może być nowotwór jelita grubego. I wtedy przychodzą, ze strachu – mówi dr Gmerek.

Nie każde krwawienie oznacza jednak najgorsze.

– Znaczenie ma to, jaka to jest krew, czy są zaparcia, czy zmienia się rytm wypróżnień. Przy chorobach nowotworowych pojawiają się też inne objawy: śluz, nieregularne, często tzw. wybuchowe stolce – wyjaśnia lekarz.

Dlatego tak ważna jest diagnostyka i profilaktyka – w tym kolonoskopia, która powinna być wykonywana regularnie po 45. roku życia, a przy obciążeniu rodzinnym po 40.

– To najlepsza profilaktyka nowotworowa, bo pozwala wykryć i usunąć polipy, zanim przekształcą się w raka – podkreśla.

Niepokój powinny wzbudzić także inne objawy: niere-

gularne krwawienia, zmiana rytmu wypróżnień, pojawienie się śluzu czy nagły spadek masy ciała. – Do tego wszelkie nowe zmiany – zgrubienia, brodawki. To sygnał, że trzeba zgłosić się do lekarza jak najszybciej – zaznacza rozmówca „Głosu Wielkopolskiego”.

Zdecydowana większość pacjentów – około 90 proc. – zgłasza się do proktologa z objawami choroby hemoroidalnej. Jeszcze kilkanaście lat temu była ona kojarzona głównie z osobami starszymi. Dziś to się zmieniło.

– To jest choroba cywilizacyjna i zaczyna dotykać coraz młodszych osób. Dzisiaj objawy mają ludzie 20-, 30-letni. Zdarzało mi się operować pacjentów, którzy mieli 18 lat i wymagali leczenia operacyjnego, bo choroba była już bardzo zaawansowana, z obfitymi krwawieniami – podkreśla dr Gmerek.

Zmienił się styl życia, a wraz z nim profil pacjenta.

– My po prostu nie jesteśmy stworzeni do tego, żeby tak dużo siedzieć. Siedzimy w drodze do pracy, siedzimy w pracy po 8-10 godzin, a potem wracamy do domu i znowu siedzimy – przed telewizorem albo z telefonem w ręku. Nawet rower to w pewnym sensie też jest siedzenie – zauważa.

Problem zaczyna się już w młodym wieku – zamiast aktywności fizycznej dominuje spędzanie czasu przed ekranami komórek lub komputerów. A to wszystko, jak mówi dr Gmerek, przekłada się na zdrowie i sprawia, że te problemy pojawiają się coraz wcześniej.

Jak wyjaśnia dalej, profilaktyka w tym przypadku sprowadza się do rzeczy prostych, choć nie zawsze łatwych do wdrożenia. – Powinniśmy jak najczęściej wstawać, ruszać się, zmieniać pozycję. Jeśli się da, warto pracować częściej na stojąco – stąd popularność biurek stojących. U młodszych kluczowy jest ruch. Natomiast są zawody, jak kierowcy, gdzie tego problemu nie da się całkowicie wyeliminować, i tych pacjentów



Dr Gmerek tłumaczy, że coraz młodsze osoby mają hemoroidy. Jest to choroba cywilizacyjna, do której w głównej mierze przyczynia się nadmierne siedzenie

też jest bardzo dużo – zaznacza dr Gmerek.

Zanim pacjent trafi do specjalisty, często próbuje radzić sobie sam. – Dzisiaj pierwszym lekarzem jest doktor Google. Pacjenci szukają informacji, kupują leki bez recepty, często wykupują wszystko, co jest dostępne w aptece. Problem w tym, że nie ma leków na hemoroidy. Są tylko leki na objawy – tłumaczy rozmówca. Pacjent przychodzi dopiero wtedy, kiedy widzi, że nic nie pomaga. – A zdarza się, że trafiają do nas osoby, które wcześniej wielokrotnie były na SORze z powodu masywnych krwawień i wymagały przetoczenia krwi. To są już stany zagrożenia życia – dodaje.

Za czysto to niezdrowo?

Jednym z największych – i najbardziej zaskakujących – problemów jest nadmierna higiena. – Pacjenci bardzo często słyszą: „Jak swędzi, to

trzeba się umyć, im czyszej, tym lepiej”. I rzeczywiście tak robią, czasem nawet z zalecenia innych lekarzy. A to błąd – mówi dr Gmerek. – Zbyt intensywne mycie, używanie mokrego papieru czy kosmetyków prowadzi do odparzeń i nasilenia objawów. W tej okolicy powinno być przede wszystkim sucho. W ciepłym i wilgotnym środowisku rozwijają się grzyby i pojawia się świąd – wyjaśnia.

Zmiana nawyków bywa dla pacjentów trudna. – Kiedy mówię im, że muszą ograniczyć higienę, robią duże oczy. To dla nich obrót o 180 stopni. Ale wracają po 2-3 tygodniach i mówią: „Miał pan rację” – dodaje.

Do błędów należy także mechaniczne podrażnianie okolicy odbytu. – Próby „dokładnego czyszczenia”, ingerowania w kanał odbytu czy nawet golenie tej okolicy mogą prowadzić do podrażnień, uczuleń i stanów zapalnych – tłumaczy proktolog.

Nie bez znaczenia pozostają także dieta i styl życia. Jak podkreśla, kluczowe są: odpowiednie nawodnienie, ograniczenie słodyczy i dieta bogata w błonnik oraz aktywność fizyczna.

„Najgorsze, co można zrobić, to zwlekać”

Choć choroba hemoroidalna dominuje, problemów proktologicznych jest więcej. – Spotykamy się także z ropniakami, przetokami, chorobą uchyłkową jelita grubego czy nieswoistymi chorobami zapalnymi jelit, jak wrzodziejące zapalenie jelita grubego czy choroba Leśniowskiego-Crohna – wylicza.

Do tego dochodzą choroby przenoszone drogą płciową. Jak wyjaśnia, kłykciny kończyste, wywołane przez wirusa HPV, to zmiany, które często wymagają leczenia operacyjnego. Preparatów dostępnych na rynku nie wolno stosować na śluzówkę kanału odbytu.

Jednym z największych mitów pozostaje sama wizyta u proktologa. – Pacjenci wyobrażają sobie różne rzeczy, a prawda jest taka, że badanie jest krótkie, niebolesne i nie jest szczególnie krępujące. Najpierw rozmawiamy, potem wykonujemy badanie i decydujemy o dalszej diagnostyce – mówi lekarz.

Jak opisuje, badanie najczęściej odbywa się w pozycji na lewym boku, która jest dla pacjentów bardziej komfortowa niż pozycja kolankowo-kociowa.

– Można powiedzieć, że tylko pierwsza wizyta jest trudna. Każda kolejna jest już znacznie łatwiejsza. Staram się rozluźnić atmosferę, żeby pacjent czuł się swobodnie – dodaje.

Jak podkreśla, w proktologii kluczowa jest nie tylko wiedza, ale i podejście do pacjenta.

– To dziedzina, w której trzeba mieć doświadczenie, trochę „nosa”, ale też umiejętność rozmowy i empatię. Pacjent musi się otworzyć, powiedzieć dokładnie, co mu dolega. Tylko wtedy możemy dobrać skuteczne leczenie – zaznacza.

Barierą pozostaje także strach przed operacją. – Pacjenci słyszą, że po zabiegu nie będą trzymać stolca, że uszkodzone zostaną zwieracze. To nieprawda. Jeśli operuje specjalista, takie ryzyko nie istnieje – podkreśla.

Sam zabieg i rekonwalescencja w praktyce okazują się mniej obciążające niż pacjenci myślą. Jak opisuje dr Gmerek, pacjent wychodzi do domu na drugi dzień, a najtrudniejsze są pierwsze dwa tygodnie, głównie ze względu na dyskomfort przy wypróżnianiu. – Ale później wszystko szybko się poprawia. Po kilku tygodniach pacjenci mówią jedno: „Dlaczego tak długo zwlekałem?” – dodaje.

Bez tabu

Jeszcze niedawno wielu pacjentów nie wiedziało nawet, że istnieje taka specjalizacja. Dziś świadomość tego, kim jest proktolog i czym się zajmuje – leczeniem chorób kanału odbytu i dolnego odcinka przewodu pokarmowego – bardzo wzrosła. Kiedyś to wcale nie było takie oczywiste – jak zauważa poznański lekarz.

Coraz większą rolę w budowaniu tej świadomości, jak i w zmianie podejścia pacjentów do samej wizyty odgrywają media społecznościowe. Dr Gmerek prowadzi profil edukacyjny, w którym w przystępny sposób, z nutą humorystyczną, mówi o problemach proktologicznych. – Bardzo dużo pacjentów przychodzi do mnie i mówi, że zobaczyli film w internecie i uznali, że to nie jest takie straszne. To naprawdę działa – przyznaje.

Internet daje też przestrzeń do zadawania trudnych pytań.

– W wiadomościach prywatnych ludzie są dużo bardziej otwarci niż w gabinecie. Pojawiają się pytania bardzo intymne, także dotyczące życia seksualnego. Piszą m.in. osoby homoseksualne, które często mierzą się z problemami, o których trudno mówić wprost. To pokazuje, jak duża jest potrzeba edukacji i rozmowy – podkreśla.

Pierwsze kilometry pod ich skrzydłami. Bo nauka jazdy to więcej niż opanowanie sprzęgła, biegów i przepisów

Mistrzowie Motoryzacji to okazja, by docenić również tych, pod których skrzydłami zaczynamy naukę jazdy - instruktorów i szkoły. Towarzyszą kursantom w ich pierwszych kilometrach.

Pamiętacie swój pierwszy raz za kierownicą? Dłonie trochę zbyt mocno zaciśnięte, wzrok skupiony bardziej niż zwykle. Próby ogarnięcia sprzęgła, gazu, hamulca... I to pytanie w głowie: „Co ludzie w tym widzą, skoro to jest takie trudne? Czy na pewno wszystko robię dobrze i czy kiedykolwiek to opanuję?”.

Możemy się założyć, że każdy kierowca pamięta takie chwile. Bo to jedno z tych do-

świadczeń, które zostają w pamięci również z innych powodów. Bo przecież nauka jazdy to coś więcej niż opanowanie sprzęgła, biegów i zasad ruchu drogowego. To również ogromna odpowiedzialność - za życie i zdrowie swoje oraz innych osób.

Kluczową rolę odgrywają tu instruktorzy nauki jazdy. To oni są obok, kiedy wszystko jest nowe i nie do końca oczywiste. Potrafią zamienić stres w skupienie, a niepewność w pierwszą pewną, świadomą decyzję na drodze. Tłumaczą, powtarzają. Czasem żartują, czasem milczą. Zawsze czujni za kierownicą. Można żartować, że w takich sytuacjach są jak drugie mózgi kursantów.

A za instruktorami stoją szkoły jazdy. Miejsca, które organizują cały proces nauki i dbają o to, by każdy kursant miał szansę w końcu poczuć się pewnie za kierownicą i zdać egzamin. Z zewnątrz to często tylko sztyld i samochody z charakterystyczną „elką”, ale w środku to codzienna praca, doświadczenie i ogromna odpowiedzialność.

Nie ma dwóch takich samych kursantów i nie ma dwóch takich samych historii. Jedni wsiadają za kierownicę z ciekawością, inni z obawą. Jedni łapią wszystko od razu, inni potrzebują czasu. Ale łączy ich jedno - moment, w którym coś kliknie. Kiedy jazda przestaje być powodem paniki, za-

daniem, a zaczyna być czymś, co sprawia przyjemność. Ba, ogromną radość! Radość z pierwszego samodzielnego manewru, z dobrze wykonanej jazdy, z poczucia, że „Dam jednak radę”.

- Plebiscyt Mistrzowie Motoryzacji to okazja, by docenić tych, pod których skrzydłami zaczyna się ta droga - instruktorów i szkoły jazdy, które każdego dnia towarzyszą kursantom w ich pierwszych kilometrach - mówi Katarzyna Borek, która odpowiada za plebiscyt Mistrzowie Moto od strony redakcyjnej. Jak dodaje: - Chcemy docenić historie ludzi i miejsc, dzięki którym te pierwsze kilometry stają się początkiem radości.

MISTRZOWIE MOTORYZACJI

Uczą prowadzić samochód, ale także rozumieć emocje



OSK Elka
Tyłmanowa, os. Kłodne 154/F

Są szkoły jazdy, które uczą zdać egzamin. I są takie, które przygotowują do prawdziwego życia na drodze.

Za OSK Elka stoi Elżbieta Ligas, która od początku swojej zawodowej drogi stawia na kompleksowe spojrzenie na kursanta. Nie tylko jako przyszłego kierowcę, ale przede wszystkim jako człowieka, który musi odnaleźć się w stresujących i wymagających sytuacjach drogowych. - Jestem instruktorem nauki jazdy z wieloletnim doświadczeniem zawodowym, które zdobywałam nieprzerwanie od 2009 roku, a także magistrem psychologii oraz psychologiem transportu. Dzięki temu oferuję kompleksowe podejście do szkolenia kierowców - uwzględniające nie tylko technikę jazdy i przepisy ruchu dro-

gowego, ale również aspekty psychologiczne, takie jak radzenie sobie ze stresem, koncentracja oraz podejmowanie decyzji na drodze - mówi Elżbieta Ligas.

To właśnie to połączenie wiedzy praktycznej i psychologicznej wyróżnia OSK Elka na tle innych ośrodków. Kursanci nie tylko uczą się prowadzić samochód, ale także rozumieć swoje reakcje, emocje i sposób podejmowania decyzji. - Moim celem jest nie tylko przygotowanie do egzaminu, ale przede wszystkim wykształcenie odpowiedzialnych i świadomych kierowców - mówi. OSK Elka oferuje zarówno zajęcia stacjonarne, jak i online, jazdy doszkalające oraz dostęp do materiałów edukacyjnych. Do tego dochodzi odpowiednie zaplecze - sala wykładowa, plac manewrowy i nowoczesna flota pojazdów.

Miejsce, w którym teoria i praktyka idą w parze



OSK Stach
Kraków, Loretańska 16

Od 23 lat szkoła rozwija się w oparciu o jedno, jasno określone założenie: uczyć nie tylko zdania egzaminu, ale przede wszystkim odpowiedzialnej jazdy.

Za sukcesem OSK STACH stoją ludzie. To zespół instruktorów, dla których nauczanie nie jest rutyną, lecz świadomą pracą z drugim człowiekiem. Doświadczenie, zaangażowanie i pasja łączą się tu z wyobraźnią - cechą szczególnie ważną w przygotowaniu przyszłych kierowców do realnych sytuacji na drodze. Kadra regularnie podnosi swoje kwalifikacje, odpowiadając na zmieniające się przepisy i wymagania rynku.

Szkoła dysponuje rozbudowaną flotą - 37 samochodami i 7 motocyklami, które są dostosowane do nauki jazdy w wymaga-

jących warunkach miejskich Krakowa i okolic. To zaplecze, które pozwala prowadzić szkolenia na wysokim poziomie, zapewniając jednocześnie komfort i bezpieczeństwo kursantom.

Jednym z wyróżników ośrodka jest także otwartość na nowoczesne rozwiązania. OSK STACH skutecznie wdraża e-learning, oferując kursantom dostęp do materiałów online, testów i ćwiczeń. Jednocześnie szkoła nie traci tego, co najważniejsze - indywidualnego podejścia do kursanta. Od początku swojej działalności kładzie nacisk nie tylko na wysoki poziom szkolenia, ale również na rozwój osób, które jej zaufały. Każdy kurs traktowany jest jako kontynuacja wieloletniej tradycji i odpowiedzialności za przyszłych uczestników ruchu drogowego.

LIDERZY W SKALI WOJEWÓDZTWA WE WSZYSTKICH KATEGORIACH

MECHANIK ROKU

1. **Daniel Koćwin**, Auto Fix Daniel Koćwin, Przecieszyn
2. **Mateusz Kutermak**, Mechanika pojazdowa i wulkanizacja Mateusz Kutermak, Rusocice
3. **Mateusz Rolak**, Mat-Cars, Zagórzany

WARSZTAT SAMOCHODOWY ROKU

1. **New Auto Plast Tetiana Kasovska**, Olkusz, al. 1000-lecia 18
2. **F.U. Auto-Kolor**, Nowy Sącz, Śniadeckich 15
3. **Moto Car**, Kraków, Romanowicza 19

INSTRUKTOR JAZDY ROKU

1. **Karol Piskorz**, Nauka Jazdy Moto Szkoła, Oświęcim
2. **Oskar Kościelniak**, OSK Dominik Stasiak, Mysłenice
3. **Stanisław Wodnicki**, OSK Stach, Kraków

SZKOŁA JAZDY ROKU

1. **OSK Stach**, Kraków, Loretańska 16
2. **Nauka Jazdy Moto Szkoła**, Oświęcim, Rynek Główny 12/27
3. **OSK Lider**, Brzesko, Szarych Szeregów 2/2

KIEROWCA ZAWODOWY ROKU

1. **Rafał Toruński**, KubasTrans, Kraków
2. **Damian Wójcik**, Saria Polska, Wielkanoc
3. **Daniel Zawadzki**, Uber, Zakopane

DORADCA DS. SPRZEDAŻY SAMOCHODÓW ROKU

1. **Konrad Stachnik**, Hyundai Autoneo, Kraków
2. **Wojciech Jarrot**, KIA Patecki, Kraków
3. **Piotr Mizera**, MINI M-Cars, Libertów

FIRMA TRANSPORTOWA ROKU

1. **TT-TAXI Tomasz Tofin**, Wieliczka, Niepołomska 17
2. **DK Medica**, Kraków
3. **Grupa Luktrans**, Owczary, Długa 41

AUTO DETAILING ROKU

1. **Gloss&Shine Co.**, Wieliczka, Krakowska 29
2. **HotPoint PPF & Detailing**, Kraków, Golikowska 54
3. **Auto Spa Bochnia DD Car Detailing**, Bochnia, Karosek 27

Sprawdź aktualne wyniki i głosuj na:
www.gazetakrakowska.pl/moto

KRYMINAŁ/THRILLER

Zirytowany Jack Reacher reguluje populację Baltimore

Trzydziesty tom przygód Jacka Reachera zatytułowany jest „Strategia wyjścia”. Trafnie, bowiem strategia realizowana przez Reachera jest zawsze taka sama - jednych postraszyć, innych obić, a jeszcze innych zatłuc. Zawsze z ironicznym komentarzem. W tym przypadku brzmi on następująco: „Jeśli dobiegniesz do pistoletu pierwszy, możesz mnie zastrzelić. Jeśli nie... sam rozumiesz”.

„Pomyśl, czy naprawdę chcesz to zrobić?”

„Lee Child po raz kolejny udowodnia, że doskonale wie, jak wciągnąć czytelników w świat pełen napięcia i niespodziewanych zwrotów akcji. Przygotuj się na niezapomniane doświadczenie”.

Tak reklamuje „Strategię wyjścia” wydawca i ma w tym absolutną rację. Spotkanie z Reacherem to zawsze „niezapomniane doświadczenie”. Można by je wręcz określić terapeutyczno-kojącym - wokół rzeczywistości staje na głowie, trzęsą się fundamenty światów, a on przybywa (tutaj akurat do Baltimore), w mig rozoznaje sytuację, a potem naprawia stan rzeczy na swój własny, niezapomniany sposób.

Jedynie co się zmienia, to onomatopeje towarzyszące eliminacji ludzi, którzy stają mu na drodze. W każdym tomie można znaleźć coś nowego na tym wciąż zaniedbanym przez pisarzy polu. W „Strategii wyjścia” mamy do czynienia z przynajmniej jedną językową perełką. Gdy Reacher zrzuca jednego ze szwarccharakterów z pomostu, rozlega się odgłos, „jaki wydaje mokry ręcznik kąpielowy lądujący na twardej kamiennej posadzce”.

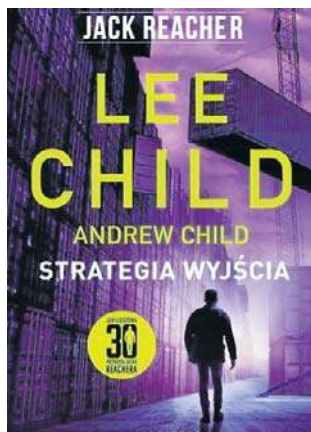
To nie tylko zasługa tłumacza (gratulacje dla Andrzeja Szulca), ale przede wszystkim talentu Lee Childa. Trzydzieści tomów, przeciętnie od kilku do kilkunastu ofiar śmiertelnych na każdy - opisanie wszystkich eksytusów sprawianych przez Reachera wymaga sporej wyobraźni.

O co ci właściwie chodzi, Reacher?

Bądźmy szczerzy: tu nie wystarczy zwykłe „trach” czy „łup”, banalne „złamał się jak zapalka”, „padł jak długi niczym kłoc drewna”, albo „jego oczy wyrzuciły się jak zepsuta busola” (odsylam do poprzednich tomów). Trzeba wymyślać wciąż coś nowego. Koncept z ręcznikiem jest świetny i otwiera nowe możliwości. Podrzucmy autorowi kilka przykładów: „fikał się jak ociekający mop”, ewentualnie „chlusnęło z niego jak z wiadra z mydlinami”.

Przydadzą się, bowiem Child (od pewnego czasu w tandemie z synem Adrewem) nie zamierzają zaprzestania - by użyć banału - orki na tym żyznym fragmencie literackiej niwy, jakim jest poprawianie świata przez Reachera. Choćby nawet na jego zadupiu, gdzieś w Baltimore.

Skąd ta wiedza? Na stronie killernashville.com wisi wywiad z Childem, przeprowadzony lekko ponad rok temu przez Bryana E. Robinsona (pisarza, psychoterapeutę i to z tytułem Ph.D.). Wynika z niego, że aby Reacher osiągnął to, czego tak usilnie poszukuje włączając się po Ameryce (stabilizacji), musi pokonać zło stojące mu na drodze. Wniosek: nieboszczyków nam nie zabraknie. Tylko czy Child ładnie opíše ich nędzne konce? **grab**



Lee Child, Andrew Child,
„Strategia wyjścia”,
wyd. Albatros,
Warszawa 2026,
cena 49,90 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

MARCELA LESZCZAK

Popłakała się Tegoroczną Wielkanoc modelka spędziła poza krajem. Wybrała się do Rzymu wraz z rodzicami, siostrą i nowym partnerem. Leszczak podzieliła się serią zdjęć ze zwiedzania Wiecznego Miasta. Mimo że wygląda na nich na szczęśliwą, nie były to w pełni radosne święta, gdyż w tym roku po raz pierwszy zabrakło u jej boku syna. Fryderyk został w Polsce z ojcem - Michałem Koterskim. „Dziś popłakałam się na śniadaniu, które było dla mnie trudne, bo było bez Frysia. I to nie tylko o niego chodzi, a o niespełnione pragnienie posiadania kompletnej rodziny. Nie chcę niczego tu wyciągać z szacunku do taty Frysia, ale gdyby było dobrze między nami, nasz związek nie byłby przerywany przez mnie dwoma rozstaniem i nasze małżeństwo trwałoby do dziś” - napisała na Instagramie.

JUSTYNA STECZKOWSKA

Nie ocenia

Piosenkarka wzięła niedawno udział w internetowym programie „Portret”. Prowadzący zapytał ją, jakie ma relacje ze swoją najstarszą siostrą Agatą, która niegdyś napisała książkę „Steczkwscy. Prawda jest taka, że na początku była miłość”. Publikacja zdradziła kilka tajemnic rodzinnych i różniła jej autorkę z bliskimi. - W ogóle nie wracam do tych chwil. Moja siostra jest dorosła, kocham ją, ale nie po drodze nam z wieloma decyzjami, które ona podjęła względem ludzi, z którymi kiedyś żyła. I to nie chodzi tylko o książkę, ale też o inne rzeczy. (...) Miała prawo do swoich decyzji, ale są to decyzje, które nie są zgodne z moimi poglądami czy sposobami patrzenia na świat - powiedziała gwiazda.

PAULINA GAŁĄZKA

Potrzebuje nadziei

Nie od dziś wiadomo, że popularna aktorka nie lubi opowiadać o swym życiu prywatnym w mediach. Wiemy jednak, że w czerwcu tego roku będzie obchodzić dziesiątą rocznicę ślubu z norweskim reżyserem Sindre Sandemo. To sprawa, że musi dzielić swój czas między dwa kraje. Zdecydowanie częściej bywa jednak w Polsce - choćby w czasie Wielkanocy, którą spędziła z mężem i z siostrą. - Święta w Norwegii są bardzo laickie. Nie mają nic wspól-



Iga Świątek wypoczywa przed rozpoczęciem Roland Garros. Start już 18 maja

nego z duchowością, a ja jednak czuję się bardziej Polką niż Norweżką i rzeczywiście to jest dla mnie czas duchowy - powiedziała w niedawnej rozmowie z „Faktem”.

DODA

Oblewała przechodniów

Podczas minionej Wielkanocy piosenkarka odwiedziła rodzinny dom w Ciechanowie, gdzie spotkała się z parą swych dawnych znajomych - kobietą o imieniu Iza oraz mężczyzną o imieniu Damian. Oprócz wspólnego zdjęcia, na Insta-Stories wokalistki pojawiło się nagranie, jak cała trójka przytuliła się do siebie i tańczy. Jakby tego było mało w Wielkanocny Poniedziałek Doda wybrała się z nimi na przejażdżkę autobusem po mieście i oblewała wodą przechodniów. Oczywiście nie wszyscy byli zachwyceni. Jeden z przechodniów, który czekał na przystanku autobusowym, wyraźnie się zirytował, gdy nagle został obalony i zaczął nawet odganiać gwiazdę nogą. Wiadro z wodą poleło się również na mężczyznę, który wychodził ze sklepu. Artystka nie robiła sobie przy tym nic z obecności radiowozów.

MAŁGORZATA SOCHA

Ma wspólny cel

Aktorka poznała swego przyszłego męża Krzysztofa Wiśniowskiego, kiedy miała zaledwie szesnaście lat. Para poobrała się w 2008 roku i doczekała się trzech pociech. Do dziś małżeństwo gwiazdy uchodzi za perfekcyjne. Tymczasem

okazuje się, że to nie do końca prawda. - Nie ma idealnych związków. Ale chyba z każdego kryzysu wychodzimy obronną ręką, bo coraz więcej dowiadujemy się nawet nie tyle o sobie, tylko o nas jako o parze. Bo my się też zmieniamy, mamy też swoje spostrzeżenia na ten temat, jak chcemy, żeby budować naszą rodzinę. Najważniejsze, żebyśmy się dogadali, bo mamy poczucie, że rodzina i dzieci to nasz wspólny cel. To jest coś, co za każdym razem na nowo nas scala - powiedziała Socha w programie „Autentyczni”.

IGA ŚWIĄTEK

Odpoczywa na wyspie

Słynna tenisistka ma starszą siostrę Agatę. Za młodu i ona trenowała na korce, ale ostatecznie ze względu na kontuzję porzuciła sport, by zostać cenią stomatolożką. Teraz siostry postanowiły spędzić trochę czasu ze sobą i wybrały się na wspólny wypad na Majorce. Na udostępnionych przez Igę zdjęciach na Instagramie widzimy, jak Iga z Agatą delektują się lodami, przechadzając się po mieście. Zapracowana sportsmenka w końcu mogła wygospodarować trochę czasu na zwiedzanie wyspy i odpoczynek w urokliwych knajpkach. W jednej z nich siostry zamówiły sobie hiszpańskie danie narodowe - paellę z owocami morza. Nie mogło zabraknąć też serii fotografii z pięknymi widokami. „Życie na wyspie to coś, do czego z pewnością mogłabym się przyzwyczaić” - napisała tenisistka.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)

Postaw na działanie, ale nie spiesz się z decyzją. Horoskop dzienny mówi, że ktoś doceni Twoją odwagę i szczerość.

Ryby (19.02 - 20.03)

Spokój przyniesie Ci najlepsze odpowiedzi. Horoskop na dziś zapowiada, że w finansach możliwa dobra wiadomość lub mały sukces.

Baran (21.03 - 19.04)

Rozmowa zmieni więcej, niż sądzisz. Horoskop dzienny na piątek mówi, że dzień sprzyja dobrym pomysłom.

Byk (20.04 - 20.05)

Zadbaj o siebie i swoje potrzeby. Horoskop dzienny wyraźnie zapowiada, że intuicja podpowie Ci, komu naprawdę możesz zaufać.

Bliźnięta (21.05 - 21.06)

Twoja energia będzie przyciągać uwagę i nowe szanse. Horoskop na dziś radzi uważać jednak, by nie dominować w każdej rozmowie.

Rak (22.06 - 22.07)

Drobny porządek w sprawach serca i pracy da Ci ulgę. Horoskop dzienny na piątek mówi, że wieczór będzie sprzyjać refleksji.

Lew (23.07 - 22.08)

Dzień przyniesie szansę na zgodę. Horoskop dzienny mówi, że warto powiedzieć głośno to, co czujesz.

Panna (23.08 - 22.09)

Nie wszystko wymaga kontroli. Horoskop na dziś wróży, że odpuszczenie jednego tematu może otworzyć Ci znacznie lepszą drogę.

Waga (23.09 - 22.10)

Dobry moment na plan, podróż lub nowy cel. Horoskop dzienny na piątek mówi, że ktoś bliski może dziś zaskoczyć Cię wsparciem.

Skorpion (23.10 - 21.11)

Twoja konsekwencja zacznie działać na Twoją korzyść. Horoskop dzienny wróży, że dziś opłaci się cierpliwość i takt.

Strzelec (22.11 - 21.12)

Nietypowy pomysł może okazać się strzałem w dziesiątkę. Horoskop na dziś to wyraźna wskazówka, by zaufać swojej oryginalności.

Koziorożec (22.12 - 19.01)

Emocje będą dziś silniejsze niż zwykle. Horoskop dzienny na piątek zapowiada, że to pomoże Ci zrozumieć ważną dla Ciebie sprawę.



Ryszard Tadeusiewicz, profesor AGH

PIERWSZY LOT CZŁOWIEKA W KOSMOS

Każde ważne wydarzenie ma jakiś kontekst polityczny. Ten kontekst sprawia, że w jednych okolicznościach wydarzenie to jest przesadnie fetowane, a w innych - niesłusznie ignorowane. Są jednak wydarzenia o tak fundamentalnym znaczeniu, że nie powinno się ich ignorować niezależnie od zmiennej koniunktury politycznej, bo są to kamienie milowe rozwoju cywilizacji. Jednym z takich wydarzeń był pierwszy lot człowieka w Kosmos.

Kosmonautą był Jurij Gagarin. W najbliższą niedzielę (12.04.2026) będzie 65. rocznica tego wydarzenia.

Przypomnijmy, że był to okres „wyścigu” kosmicznego między USA i ZSRR. Oba supermocarstwa usiłowały dowieść swojej wyższości, wysyłając rakiety na orbitę wokółziemską i w kierunku Księżyca. Jednak wiele wypraw kończyło się niepowodzeniem, co zwykle wiązało się z gigantyczną eksplozją i całkowitym zniszczeniem kosmicznego pojazdu w huraganie ognia z setek ton paliwa rakietowego. Trzeba więc wyobrazić sobie odwagę człowieka, który jako pierwszy ośmielił się wejść do pojazdu umieszczonego na szczycie takiej niebezpiecznej rakiety, a potem pozwolił się wystrzelić w małej kabinie poza granice ziemskiej atmosfery.

Dzisiaj loty na orbitę wokółziemską są niemal codziennością. Astronautami są obywatele wielu krajów, niedawno przebywał na stacji kosmicznej także Polak. Ale w 1961 roku to naprawdę było bohaterstwo!

Gagarin niewątpliwie był bohaterem. Gdy odpalono ten wulkan pod jego pojazdem i miażdżące przyspieszenie wgniotło go w fotel - powiedział: „Nu, pojechali!” jakby wybierał się na majówkę. Gdy znalazł się na orbicie, to zamiast martwić się, czy uda mu się z tego kosmosu wrócić (bo nikt przed nim tego nie dokonał!) - zachwycał się widokiem Ziemi.

Problem powrotu z orbity na Ziemię to naprawdę nie była prosta sprawa. Wiele wcześniej wystrzelonych w Kosmos stat-

ków nie udało się odzyskać. Jeśli na ich pokładzie były zwierzęta - to ginęły po pewnym czasie z braku tlenu. Gagarin też mógł nie wrócić i nikt by nie mógł mu przyjść z pomocą. Amerykanie do tego stopnia obawiali się takiego krążącego po wieczne czasy w Kosmosie astronauty - że ich pierwsze loty kosmiczne (5.5.1961 roku i 21.7.1961 roku) były lotami balistycznymi, to znaczy rakietą z astronautą docierała Kosmosu, ale nie wchodziła na orbitę, tylko sama, jak wystrzelony pocisk artyleryjski, opadała na Ziemię. Taki powrót był gwarantowany prawami fizyki. Gagarinowi nikt niczego nie gwarantował - a on znalazłszy się w Kosmosie, który mógł być jego grobem, zachwycał się: „Kak prekrasno!”

Powrót z orbity był trudny. Statek Wostok został wyniesiony na wysokość 327 km (planowano wysokość od 175 do 230 km nad Ziemią, ale zaczął się silnik napędowy). To stwarzało poważny problem, ale z kolei rekord wysokości lotu ustanowiony przez Gagarina utrzymał się potem przez wiele lat. Poruszał się na tej orbicie z prędkością 8 km/s, co też było prędkością rekordową. Ale w momencie lądowania ta prędkość była niewiele mniejsza, więc wchodząc w atmosferę statek Wostok rozgrzewał się od tarcia o powietrze, a ponadto brzydko koziołkował (był kulistego kształtu). Warto przypomnieć, że 42 lata później (1.02.2003) mimo ogromnego postępu techniki kosmicznej, rozsyłał się w momencie wejścia w atmosferę prom Columbia i zginęło 7 amerykańskich astronautów. Tak więc to, czego dokonał Gagarin, nie było ani łatwe ani bezpieczne.

Czasy się zmieniły i nie mamy już obowiązku zachwycać się osiągnięciami nauki i techniki radzieckiej, co kiedyś było przymusowe. Ale odwagą człowieka, który jako pierwszy wkroczył w Kosmos, jednak powinniśmy.

Bo to naprawdę był ważny krok, który powinniśmy doceniać, niezależnie od warunków politycznych. Tego wymaga zwykła uczciwość!

NASZE SMAKI



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Dla miłośników czekolady każda okazja jest dobra, aby po nią sięgnąć. Jeśli jednak ktoś potrzebuje do tego pretekstu, najbliższą niedzielą jest idealną datą, ponieważ to właśnie 12 kwietnia obchodzimy Dzień Czekolady. Pochodząca z ziaren kakaowca czekolada jest produktem uwielbianym na całym świecie, nie tylko przez dzieci. Jej zjedzenie to prosty sposób na dobre samopoczucie, poprawę nastroju, porcję energii, pobudzenie organizmu do działania, a przede wszystkim przyjemne doznania smakowe. Jednak często zjedzenie czekolady może powodować wyrzuty sumienia, ze względu na błędne przekonanie o jej szkodliwym wpływie na nasze zdrowie. Dlatego proponujemy zdrowy deser z czekoladą i... kaszą w roli głównej!

– Przygotowanie deserów z kasz było znane już w XVI wieku. Królowa Anna Jagiellonka uwielbiała kaszę krakowską na słodko, z dodatkiem bakalii i korzennych przypraw. W późniejszych latach robiono z kasz np. leguminy. W powiecie przeworskim panie z Koła Gospodyń Wiejskich przygotowują czekoladowe kaszaki. Masę z gotowanego mleka z dodatkiem przypraw korzennych, rozpuszczonej czekolady i kaszy manny przekłada się w ciasto kruche, ciasteczka lub wafle. Pokrojone w kwadraty idealnie nadają się na podwieczorki czy rodzinne pikniki – mówi Paweł Ochman.

Czekoladowy kaszak

Składniki
200 g kaszy manny
3 czekolady około 70%, każda po 100 g
100 g cukru
2 łyżki przyprawy piernikowej
sok z 1 cytryny
1 litr napoju owsianego
2 wafle o wymiarach około 28 na 28 cm

Do garnka wlać napój roślinny, dodać cukier i przyprawę piernikową. Podgrzać do zagotowania. Wyłączyć grzanie i dodać połamaną czekoladę oraz sok z cytryny. Wymieszać do rozpuszczenia. Wsypywać partiami kaszę, ciągle mieszając trzepaczką. Następnie włączyć grzanie i ciągle mieszając łyżką, podgrzewać, aż kasza zgęstnieje. Ułożyć 1 wafel i nałożyć czekoladową masę. Wyrównać wierzch i przykryć drugim waflem. Obciążyć równo na całej powierzchni, np. deską do krojenia. Odstawić do wystudzenia. Wstawić do lodówki na kilka godzin. Pokroić na kwadraty i ułożyć na kratce (spowoduje to, że wafle nie będą przemoczone od masy).

Przepis Pawła Ochmana, eksperta kulinarnego, autora książek z przepisami wegańskimi, autora bloga weganon.pl. (mad)

DROBNE

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

Kupię mieszkanie zadłużone, z trudnym lokatorem, komornikiem, udziały. Gotówka, 883-402-202

MIESZKANIA DO WYNAJĘCIA

N.SĄCZ Zielona (koło WSB) pokój 1 lub 2-os. bez dzieci 700zł z med. 507153124

DZIAŁKI, GRUNTY SPRZEDAM

DZIAŁKA budowlana 50 arów. Nowe Rybnie koło Limanowej sprzedam. Tel. 603-720-326.

Handlowe

INSTRUMENTY MUZYCZNE

RÓŻNE akordeony guzikowe i klawiszowe oraz heligonki pilnie sprzedam. Tel. 531-402-576

INNE

KRAJALNICE antyk Kupię 576-948-827

Nauka

KURSY/SZKOLENIA

KOMPUTEROWE kursy: 501-179-640.

Usługi

OGRODNICZE

ZABANY_OGRÓD_BEZ_WYSIŁKU! Pielęgnacja ogrodów. Tel. 790 622 685

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne w Twojej gazecie przez Internetowe Biuro Ogłoszeń. **Bez wychodzenia z domu.**

ibo.polskapress.pl

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy turnusy 60+ w maju od 1050 zł dostępny masaż leczniczy / dowóz, tel.: 501-642-492.

KRAJ - MORZE

DANA - USTRONIE MORSKIE. Tanie wczasy z wyżywieniem dla Seniorów. 601-585-510 www.danaustronie.pl

Matrymonialne

KAWALER 52 lata, rencista, majątny pozna życiową partnerkę, stanu wolnego w wieku 22-43 lata, może być z dzieckiem. Czekam na miłość. Adam z Oświęcimia, tel. 730-244-629.

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/ tona, 500-669-621

REKLAMA 0011507131

BURMISTRZ BIECZA informuje, że na tablicy ogłoszeń w Urzędzie Miejskim w Bieczu – ul. Rynek 20 – zostały podane do publicznej wiadomości wykazy nieruchomości stanowiących własność Gminy Biecz, położonych w Bugaju oraz Bieczu przeznaczonych do sprzedaży oraz oddania w użyczenie.

REKLAMA 0011507348

Wójt Gminy Skrzyszów informuje, że na tablicy ogłoszeń w budynku Urzędu Gminy w Skrzyszowie, stronie internetowej Urzędu oraz BIP na okres 21 dni począwszy od dnia 10 kwietnia 2026 roku został zamieszczony wykaz lokali użytkowych położonych w Ładnej oraz Pogórskiej Woli przeznaczonych do wynajmu. Szczegółowe informacje zamieszczono w ogłoszeniu.

REKLAMA 0011502056

KARAWAN GRUPA
FIRM POGRZEBOWYCH
TRADYCJE OD 1981 ROKU

CAŁĄ DOBĘ
12 411 11 11
12 658 21 11

również w Niedziele i Święta

Kompleksowe Usługi Pogrzebowe

www.karawan.pl

- ul. Rakowicka 26a 12 222 00 30
- ul. Reduta 3B 12 222 50 49
- Cm. Batowice 12 413 63 46
- ul. Rakowicka 33a 12 412 89 83
- ul. Wrocławska 8 12 631 77 95
- Cm. Grebatów 12 645 14 35
- Krakowskie Krematorium ul. Wielogórska 20 12 413 33 33
- Sieroszewskiego 5 12 686 61 45 cała doba
- ul. Dolnych Młynów 3 12 632 11 22
- ul. Bieżanowska 24 12 658 21 11 cała doba
- ul. Cwiklińskiej 10 606 793 279

Wisła Kraków z problemami przed wyjazdem do Bytomia

Bartosz Karcz, (ART), (ŻUK)
redakcja@polskapress.pl

ILIGA PIŁKARSKA. W 28. kolejce I ligi wszystkie małopolskie drużyny zagrają na wyjeździe. Teoretycznie najtrudniejsze zadanie czeka Wieczystą, która zmierzy się z Ruchem w Chorzowie.

Liderującą w lidze Wisłę Kraków czeka wyjazd do Bytomia na mecz z Polonią. Mecz zaplanowano na niedzielę na godz. 14.30. „Biała Gwiazda” znów spróbuje powalczyć o wyjazdowe zwycięstwo, choć tym razem zadanie będzie miało utrudnione - można powiedzieć, że podwójnie.

Po pierwsze Krakowianie w ostatnim czasie stracili dwóch napastników. Kontuzji najpierw doznał Jordi Sanchez, dwa tygodnie później Angel Rodado. Pierwszy z nich być może jeszcze wróci do gry na końcówkę sezonu. Drugi na pewno nie, gdyż na przyszyły tydzień ma zaplanowany zabieg kontuzjowanego barku i czeka go długa rehabilitacja. Jedno jest pewne - obu w Bytomiu na boisku nie zobaczymy. Kto ich zastąpi w pierwszej linii? Opcji jest kilka, ale ta najbardziej prawdopodobna to wystawienie na pozycji napastnika Frederico Duarte.

Kontuzję w niedawnym meczu z Górnikiem Łęczna odniósł również Wiktor Biedrzycki. Jego również zabraknie w Bytomiu. Tutaj jednak problem jest o tyle mniejszy, że trener Mariusz Jop ma do dyspozycji kilku nominalnych środkowych obrońców, z których może skorzystać w meczu z Polonią. Skorzysta najprawdopodobniej z Alana Urygi, który już we wspomnianym spotkaniu z Górnikiem zaliczył bardzo dobre pół godziny na boisku.

Drugim problemem po kontuzjach, z którym musi poradzić sobie Wisła, to gra na sztucznej na-



Wiele wskazuje na to, że wobec kontuzji Angela Rodado i Jordiego Sancheza w ataku Wisły zagra Frederico Duarte

wierzchni, bo takie boisko jest na stadionie w Bytomiu. Oczywiście spełnia ono wszystkie wymagania, ale faktem jest również, że wiślaczy na takiej nawierzchni na co dzień nie grają. Żeby nieco przyzwyczaić się do warunków, jakie czekają Krakowian na stadionie Polonii, Wisła będzie trenować na stadionie UJ na Kampusie przy ul. Gronostajowej na boisku, na którym na co dzień gra drużyna KS UJ w ekstraklidze kobiet.

Mimo tych wszystkich problemów, z którymi w Wiśle muszą się zmagać, Krakowianie są faworytem meczu w Bytomiu. Polonia notuje znacznie słabszą wiosnę od jesieni. Po zawirowaniach

na trenerskim stołku w tym klubie, beniaminek fatalnie punktuje na wiosnę. Polonia zdobywał raptem trzy punkty, choć nadmienić trzeba, że ma jeszcze zaległy mecz z Wieczystą. Lekceważąc jednak najbliższego rywala Wisła absolutnie nie może. Bytomianie zdają się bowiem powoli wracać do równowagi, o czym może świadczyć remis 1:1, jaki wywalczyli we wtorek w Legnicy z Miedzią. Inna sprawa, że był to mecz, po którym Legniczanie mogli odczuwać ogromny niedosyt. Jeszcze przy prowadzeniu 1:0 mieli bowiem kilka świetnych szans na podwyższenie wyniku. Świadczy to o tym, że Polonia popełnia poważne błędy w obronie.

Druga strona medalu jest taka, że w samej końcówce tego spotkania Bytomianie pokazali się z naprawdę dobrej strony jeśli chodzi o ofensywę i w doliczonym czasie wyrównali. Wisłę czeka zatem trudne zadanie, ale skoro nie wygrała ona na wyjeździe od początku listopada, to podopieczni Mariusza Jopa tym bardziej powinni mieć motywację, żeby wreszcie zgarnąć komplet punktów poza Reymonta.

Wieczysta zagra w sobotę o godz. 19.30 spotkanie, które na dłuższą nogę określi jej rolę w końcówce sezonu. Drużyna z Chałupnika przegrała trzy z czterech ostatnich spotkań, więc wypadła poza baraże o awans. Inni z czołówki też mieli potknięcia, więc strata do premiowanej strefy to tylko punkt (do bezpośredniego awansu trzeba odrobić już 7 „oczka”). Ponadto jest jeszcze mecz zaległy. Tyle że aby zwiększyć swoje szanse, trzeba zacząć wygrywać.

Starcie z Ruchem jest też o tyle ważne, że ten zespół wyprzedził Krakowian, ma teraz o 2 „oczka” więcej. Początek wiosny był słaby, ale od pięciu spotkań „Niebiescy” są niepokonani.

Pierwsza z małopolskich ekip przystąpi w tej kolejce do rywalizacji Puszczka, bo zagra ona już dzisiaj o godz. 20.30 w Opolu z Odrą.

Zespół trenera Tomasa Tułacza zbliżył się już do strefy barażowej na trzy punkty. Jeśli wygra w Opolu, marzenia nabiorą jeszcze bardziej realnych kształtów. Po pauzie za kartki wraca Iwao Kosei, ale trenerowi Tomaszowi Tułaczowi wypada Amarildo Gjoni za cztery żółte kartki. To bardzo poważne osłabienie.

Dodajmy, że Tomasz Tułacz został wybrany trenerem lutego i marca. Niepołomczanie to najlepszy zespół wiosny. W ośmiu meczach wywalczyli 19 punktów (6 zwycięstw, 1 remis, 1 porażka). ©

Znamy „rozkład jazdy” meczu Polska – Ukraina. Zaczyna Magda Linette

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

TENIS. - Cieszę się ze składu, który udało się zebrać na ten mecz, choć wiadomo, że nieobecność Igi Świątek to duża strata - stwierdził Dawid Celt, kapitan reprezentacji Polski, przed meczem z Ukrainą.

„PreZero Arena Gliwice” będzie gospodarzem wyjątkowego wydarzenia, które odbędzie się w najbliższy piątek i sobotę. Polski tenisistki - niestety bez Igi Świątek, co może mieć znaczenie - zagrają z Ukrainą o awans do turnieju finałowego Billie Jean King Cup.

Zgodnie z czwartkowym losowaniem spotkanie rozpocznie konfrontacja Magdy Linette z Martą Kostjuk. W drugiej dziesięciu singlowej Katarzyna Kawa zmierzy się z Eliną Switoliną, na co dzień żoną znanego francuskiego tenisisty Gaëla Monfilsa i mamą 3-letniej córki Skai.

Początek piątkowych gier o godz. 16.00.

Na sobotę zaplanowano debel Maja Chwalińska/Katarzyna Kawa kontra Nadija Kiczenok/Ljudmiła Kiczenok oraz single Linette - Switolina i Kawa - Kostjuk. Początek godz. 12.00.

Na pewno odbędą się cztery spotkania, a piąte w przypadku remisu.

Stawką spotkania jest awans do światowej elity drużyn narodowych, czyli turnieju finałowego 63. edycji Billie Jean King Cup, który odbędzie się w dniach 22-27 września w chińskim Shenzhen.

Mecz odbędzie się w Polsce dzięki porozumieniu z Ukrainkami, którzy pierwotnie mieli być gospodarzami.

Biało-Czerwone w pięciu poprzednich edycjach tej imprezy grały w elicie trzykrotnie. Dwa lata temu w Madrze w półfinale uległy Włoszkom, które później wygrały turniej.

Teraz zadanie jest trudniejsze, gdyż od 2025 roku do finałów kwalifikuje się tylko osiem, a nie dwanaście drużyn.

W Gliwicach zawodniczki zagrają na sztucznej mączce. ©



Od lewej: Martyna Kubka, Maja Chwalińska, Magda Linette i Dawid Celt podczas konferencji prasowej

Speedway Kraków mierzy wysoko. W tym sezonie chce walczyć o awans

Artur Bogacki
artur.bogacki@polskapress.pl

ŻUŻEL. Niedzielnym meczem u siebie z Kolejarzem Opole (godz. 14) drużyna Speedway Kraków rozpocząć ma sezon 2026 w Krajowej Lidze Żużlowej. Ekipa z Nowej Huty zapowiada walkę o awans.

Dla nowego klubu to drugi sezon w najniższej lidze. Długo trwały perypetie z potwierdzeniem umowy najmu stadionu Wandy, co było niezbędne do licencji na starty, w końcu się udało.

Zresztą klub zorganizował już zawody w świąteczny poniedziałek (sparing z duński Slangrup SK), frekwencja - nawet z poprawką na to, że wstęp dla kibiców był bezpłatny - pokazuje, że zapotrzebowanie na „czarny sport” w Krakowie jest spore.

Aby to podtrzymać, konieczne są dobre wyniki. W debiutanckim sezonie zespół zamknął tabelę KLŻ, teraz ma się poprawić. Zresztą w Nowej Hucie mówią otwarcie o tym, że mierzą wysoko.

- Chcemy walczyć o awans, klub ma się rozwijać. Wiadomo,

że to sport, a ta liga jest nieprzewidywalna. Kto by postawił, że w poprzednim sezonie awansuje Polonia Piła a nie Start Gniezno? Teraz też nie wskazywałbym faworyta - mówi trener Krakowian Adam Wegiel.

Udało się stworzyć ciekawy zespół. Z poprzedniego sezonu zostali m.in. Dawid Rempała i Richard Lawson. Pozyskano Marko Lewiszyna, który w ostatnich latach świetnie spisywał się w Unii Tarnów.

- To zawodnik typowo do jazdy w 2. Ekstralidze - nie kryje Weigel. - Cieszymy się, że

będzie u nas, potrzebowaliśmy kogoś takiego, w dodatku perspektywicznego. Przed podpisaniem kontraktu dopytywałem, jakie są nasze cele i czy po awansie widzielibyśmy go w składzie. Oczywiście tak. Duże nadzieje wiążemy również ze Stanisławem Mielniczukiem. Tak też budowaliśmy drużynę, żeby mieć już bazę pod następny sezon, ewentualnie w wyższej lidze. Dla żużlowców ważny jest taki spokój, że po sukcesie mogą zostać w tym samym miejscu.

Dodał: - Skład mamy ambitny i dający dużą uniwersal-

ność. Mamy dwóch polskich zawodników U-24, Kacpra Łobodzińskiego i Dawida Rempała. To daje możliwości taktyczne, gdyby coś się nie układało. Żeby móc o coś walczyć, to trzeba mieć wszystkie ogniwa mocne, także juniorów.

Co z tego wyjdzie? Jeszcze przed startem sezon są znaki zapytania. W tym tygodniu w mediach pojawiła się informacja, że Nicolai Klindt chce odejść i już nawet rozwiązał kontrakt. Klub nie zgłosił go do rozgrywek, a Duńczyk pojechał w barwach ROW-u Rybnik w sparingu.

- Nadal jest naszym zawodnikiem. Występ w Rybniku to była forma treningu, miał na to zgodę - uciął Mikołaj Frankiewicz, prezes Speedway Kraków.

Tyle kwestie formalne. Bo jeśli Klindt nie będzie już chciał jeździć w ekipie z Nowej Huty, to pożytku z niego będzie. A w drużynie zrobi się znacząca luka.

W rundzie zasadniczej KLŻ będzie 14. kolejek, z tym, że po wyrzuceniu z rozgrywek Unii Tarnów (nie spełniła wymogów licencyjnych) zostało 7 zespołów, ktoś w każdej serii będzie pauzował. ©

SPORT

www.sportowy24.pl

SPORT W TV
11, 13, 15, Polsat Sport 1, 16, 17, Polsat Sport 3, tenis, turniej ATP w Monte Carlo; **16, 18, Polsat Sport 1**, tenis, Puchar Billie Jean King, Polska - Ukraina; **17.30, Canal Plus 360, Canal Plus Sport 5**, żużel, FOGO Unia - KRONO-PLAST Włóknierz

(ekstraliga); **17.55, Canal Plus Sport 3**, piłka nożna, Wisła - Lechia (ekstraklasa); **17.55, TVP Sport**, piłka nożna, Polonia W. - Śląsk (I liga); **20, Canal Plus Sport**, żużel, Betard Sparta - Stelmet Falubaz (ekstraliga); **20.25, Canal Plus Sport 3**, piłka nożna, Korona - Jagiellonia

(ekstraklasa); **20.25, TVP Sport**, piłka nożna, Odra - Puszcza (I liga). (BK)

LOTTO
Czwartek, 8.04; Multi Multi (22): 2, 4, 5, 8, 14, 16, 20, 25, 27, 29, 30, 35, 40, 42, 44, 47, 62, 69, 70, 71; plus 62; **Kaskada (22):** 2,

3, 4, 5, 6, 7, 12, 14, 16, 21, 23, 24; **Mini Lotto:** 3, 12, 20, 28, 41; **Eks-tra Pensja:** 5, 12, 24, 29, 32 - 3; **Ekstra Premia:** 5, 10, 15, 18, 33 - 2; **Piątek, 9.04; Multi Multi (14):** 2, 5, 6, 10, 13, 17, 20, 26, 28, 32, 33, 34, 35, 36, 52, 56, 59, 75, 76; plus 79; **Kaskada (14):** 3, 4, 5, 8, 10, 11, 14, 16, 17, 20, 21, 24

Adam Marciniak: Cracovia ma za dobrych piłkarzy, by spaść

Jacek Żukowski
jacek.zukowski@polskapress.pl

ROZMOWA. - Arka ma fatalny bilans na wyjazdach. Także z tego powodu wydaje mi się, że Cracovia może mieć większe szanse - mówi Adam Marciniak, były zawodnik m.in. Cracovii i Arki.

Oba były pańskie zespoły są zagrożone spadkiem...

No tak, a wydawało się, że Cracovia w tym sezonie raczej będzie walczyć o wyższe cele. Był taki moment, że była wysoko. Są tam jakieś zawrowania w klubie, możemy w mediach o tym poczytać. W jakimś stopniu to przekłada się na to, co dzieje się na boisku. Wydaje mi się, że odejście Stojilkowicia było takim ubytkiem, którego nie udało się uzupełnić. I ten brak bramkowniczej „dziewiątki” jest widoczny. Cracovia dołączyła do tej licznej grupy drużyn, które do ostatnich kolejek będą walczyć o utrzymanie.

No właśnie, a teraz jest to taki mecz „za sześć punktów”.

W tym sezonie to chyba wręcz po każdej kolejce wszystko się zmienia, bo powiem szczerze, czasami się już gubię. W jednym tygodniu komentuję sytuację drużyny, która ma szansę podłączyć się do walki o czołowe lokaty, po czym po tygodniu czy dwóch odbieram telefon z pytaniem, czy się, czy się utrzyma... To jest salony sezon. Z psychologicznego punktu widzenia na pewno Arka jest w lepszej pozycji. Zmiana trenera, zwycięstwo 3:1 z Zagłębiem, na morale zespołu poszło w górę. Nadzieje odżyły, więc zawodnicy Arki naładowani podejść do tego meczu, w zupełnie innych nastrojach. Ale wszystko rozegra się na boisku. Przewidzenie rezultatu jest praktycznie niemożliwe. Mimo wszystko uważam, że większym faworytem jest chyba Cracovia. Arka na wyjazdach nie ma zbyt dobrego bilansu w tym sezonie.

To mało powiedziane! Jedno zwycięstwo, remis i aż jedenaście porażek. To koszmarny bilans.

No więc właśnie. Między innymi także z tego powodu wydaje mi



Adam Marciniak jako piłkarz Arki grał przeciwko Cracovii. W niedzielę mecz w Krakowie o godz. 12.15

się, że Cracovia może mieć większe szanse. Sezon jednak pokazuje, że możliwe są wszelakie rozstrzygnięcia. Nie ma wątpliwości, że dla jednej jak i drugiej drużyny to jest kluczowy mecz.

Chcę pana zapytać jako byłego piłkarza, jaki wpływ może mieć sytuacja „na górze” w klubie, to że nie dzieje się za dobrze na szatni. Piłkarze obserwują rzeczywistość i to może mieć decydujący wpływ?

Ze swojego doświadczenia wiem, że zwykle tak bywało, że im było gorzej, to często na boisku było lepiej. Były takie sytuacje, czy w ŁKS-ie, czy w Górniku Zabrze, kiedy z płatnościami był problem, a, jakoś to scalało szatnię, że wszyscy trochę byliśmy wtedy w podobnej sytuacji.

W Cracovii sytuacja z balaganiem na górze powinna zadziałać mobilizująco? Patrząc z perspektywy piłkarzy, że mogą się pokazać po sezonie odejść?

Generalnie nie powinno mieć to najmniejszego wpływu. Natomiast nie wiemy, jakiego typu są to problemy. Na ile sytuacja z trenerem, który podał się do dymisji

jest istotna? W jaki sposób teraz patrzą na niego piłkarze przez pryzmat tej sytuacji. Jak sam trener się zachowuje.

Zajmuje się pan komentowaniem meczów dla TVP, głównie I ligi. Ale ogląda pan też ekstraklasę?

TVP ma jeden mecz w kolejce, więc ostatnio komentowałem mecz Pogoń-Legia.

A Cracovię pan widział w tym sezonie?

Oglądałem parę spotkań. Na pewno Oskar Wójcik to jest taka postać, która rzuca się w oczy, to jest młody chłopak, który bardzo rośnie. Generalnie uważam, że Cracovia ma fajny skład, Al-Amari i Mateusz Klich dobrze wyglądają. Hasić to jest przecieź fajny piłkarz, więc gdybym miał oceniać tylko skład na papierze, to na pewno nie jest to skład na walkę o utrzymanie. Ale brakuje tej „dziewiątki”, nie ma co ukrywać.

Arka to taki dziwny zespół, bo u siebie potrafi „wyszarpnąć” punkty, a na wyjazdach nie.

Jeśli chodzi o personalia ma dużo słabszy zespół od Cracovii.

Trener Szwarga stawiał na kolektyw, na organizację gry. I ta zespołowość widoczna jest przede wszystkim w meczach u siebie.

Z czego wynika aż taka potworna dysproporcja między spotkaniami u siebie i na wyjeździe? Zespoły zwykle w domu grają trochę lepiej, ale w tym przypadku jest przepaść.

Trudno udzielić takiej jednoznacznej odpowiedzi, co jest tego przyczyną. Kiedy trzy lata temu robiliśmy awans z ŁKS-em do ekstraklasy, na wiosnę nie potrafiliśmy wygrać meczu wyjazdowego. U siebie wygrywaaliśmy wszystko. Na wyjeździe albo remisowaliśmy, albo przegrywaliśmy i nie wiem z czego to wynikało. Podchodziliśmy tak samo do meczów, mobilizowaliśmy się. Myślę, że w Arce też do końca nie wiemy, jaka jest jedna konkretna przyczyna. Ten brak punktów wyjazdowych skutkuje takim, a nie innym miejscem w tabeli, bo gdyby Arka dołożyła kilka punktów więcej zachowując tę dyspozycję z meczów domowych, to myślę, że już byśmy dawno nie mówili o niej w kontekście walki o utrzymanie.

Na pańskiego nosa, kto może spaść?

Według mnie Termalica raczej się nie wygrzebie, chociaż ma taki mecz ostatniej szansy z Widzewem, ale myślę, że jednak ona i ktoś z grupy: Arka, Widzew, Radomiak, także chyba Pogoń po tym co ostatnio widziałem.

Cracovię pan oszczędza w tych typach...

Te mecze Cracovii, które oglądałem były dobre. Jakoś nie chce mi się wierzyć, że ta drużyna jednak spadnie.

Właszcza, że niewiele potrzeba do spokoju, sześć, siedem punktów wystarczy.

O ile o Arkę nie jestem spokojny i powiedzmy, że ten spadek jest niestety możliwy, o tyle Cracovia, jeśli chodzi o personalia, pozycjonuje się zdecydowanie wyżej.

Śledzi pan z uwagą pierwszą ligę. Wisła ma awans?

Tak, Wisła już awansowała, nie ma w ogóle o czym mówić. ©©

W Łodzi mecz o wszystko! Ostatnia szansa Bruk-Betu Termaliki Nieciecza

Bartosz Karcz
bartosz.karcz@polskapress.pl

EKSTRAKLASA PIŁKARSKA.

W sobotę o godz. 14.45 zostanie rozegrany jeden z kluczowych meczów w walce o utrzymanie w ekstraklasie. W Łodzi Widzew podejmie Bruk-Bet Termalicy Nieciecza.

Oba zespoły ugrzęzły w strefie spadkowej. Widzew do bezpiecznego miejsca traci jednak tylko trzy punkty. Bruk-Bet aż osiem. „Słoniew” dały sobie jednak jeszcze cięń szansy na utrzymanie ostatnią wygraną 3:2 z Piastem Gliwice. U siebie wygrywaliśmy wszystko. Na wyjeździe albo remisowaliśmy, albo przegrywaliśmy i nie wiem z czego to wynikało. Podchodziliśmy tak samo do meczów, mobilizowaliśmy się. Myślę, że w Arce też do końca nie wiemy, jaka jest jedna konkretna przyczyna. Ten brak punktów wyjazdowych skutkuje takim, a nie innym miejscem w tabeli, bo gdyby Arka dołożyła kilka punktów więcej zachowując tę dyspozycję z meczów domowych, to myślę, że już byśmy dawno nie mówili o niej w kontekście walki o utrzymanie.

W Łodzi nastroje są również minorowe. Mimo ogromnych środków, jakie zainwestowano w drużynę, perspektywa spadku do I ligi rysuje się dla Widzewa coraz mocniej. Nervowo było po ostatnim wyjazdowym spotkaniu łodzian w Częstochowie. Przypominajmy, że Widzew strzelił gola na 1:0 w doliczonym czasie gry.



Jesienią zespół Bruk-Betu Termaliki mocno zderzył się z Widzewem. W Niecieczy Łodzianie wygrali 4:2

Wydawało się, że wygra z Rakowem bardzo ważny mecz. A jednak chwilę później Łodzianie gola stracili i skończyło się remisem 1:1. Widzewiacy mieli ogromne pretensje do sędziego Pawła Raczkowskiego, że uznał gola dla Rakowa zamiast odgwizdać faul na bramkarzu Bartłomieju Drągowskim. Protesty na nic się zdały, mecz skończył się remisem i sytuacja Widzewa jeszcze się pogorszyła, bo swoje mecze wygrały zarówno Legia Warszawa jak i Arka Gdynia. Dlatego teraz Widzew stoi pod ścianą tak samo jak Bruk-Bet.

Sytuacja obu drużyn zapowiada niesamowitą walkę w sobotnie popołudnie. Tutaj nie będzie już miejsca na kalkulację, a tylko wygrany jeszcze przedłuży swoje realne szanse na pozostanie w ekstraklasie. Przegraną zminimalizuje je bardzo mocno, prawie do zera.

W pierwszej rundzie w konfrontacji Bruk-Betu z Widzewem górą byli Łodzianie, którzy wygrali 4:2, a w Niecieczy szczególnie musieli zapamiętać Frana Alvareza, który w ciągu raptem trzynastu minut ustrzelił hat-tricka, odbierając wtedy tak naprawdę nadzieję „Słoniew” na choćby remis w tej konfrontacji. Czy teraz Niecieczanom uda się zrewanżować? Fakty są brutalne. Porażka będzie oznaczała, że w Bruk-Becie trzeba już będzie zacząć myśleć o nowym sezonie w I lidze...

Gazeta Nowosądecka

Gazeta Krakowska

www.gazetakrakowska.pl



ZWYCZAJE
**DZIADY
ŚMIGUŚNE ZNÓW
PSOCIŁY W LANY
PONIEDZIAŁEK.
NIEZWYKŁA
TRADYCJA
W DOBREJ**
str. 11

MIEJSCA

TEN ZAMEK PRZYCIĄGA UWAGĘ. POZNAJCIE WŁAŚCIELIĘ HAJDUKÓWKI

Roman Hajduk od lat młodszych marzył o swoim „zamku z bajki”. Taki postawił w Kobylance, gdzie wrócił po latach emigracji.

str. 7



FOT. HALINA GAJDA

MSZANA DOLNA

Chcą budowy wieży widokowej na górze Lubogoszcz. Napisali petycję, przeprowadzą konsultacje **str. 3**

NOWY SĄCZ

Czy Park Strzelecki doczeka się budowy parku linowego? Przetarg został unieważniony **str.4**

NOWY SĄCZ

Choć pandemię koronawirusa mamy dawno za sobą, to najczęstszą chorobą zakaźną w 2025 roku był Covid-19 **str. 5**

GORLICE

Szkoły średnie kuszą nowymi kierunkami. Stawiają na coraz większą specjalizację **str. 6**

Krystyna
Trzupek

Małe cuda

Nie kolekcjonuj zmartwień. Radość lubi być na wierzchu. Nie kolekcjonuj trosk. One nie budują domu. Co najwyższej zasłaniają okna. Troski są jak pajęczyny. Snują się pod sufitem. Wiszą w kątach, za szafą, cicho i uparcie. Z początku prawie ich nie widać, tylko światło jakby trochę słabsze, trochę mniej odważne. A potem coraz trudniej przedziera się do środka.

Nie zbieraj zmartwień, frasunków. Nie wnoś ich do domu jak błota z drogi, które przylepia się do butów i zostaje na podłodze dłużej niż trzeba. Dom nie jest od tego, żeby wszystko w nim przechowywać. Dom jest od oddychania. Od światła.

Zamiataj czasem duszę jak pokój. Poodsuwaj szafy na środek, powymiataj wszystkie kąty i zakamarki, nie tylko od święta. Zetrzyj naleciałe troski jak kurz, przewietrz szpary, w których zbiera się to, czego nie chcesz już nosić. Człowiek potrafi przyzwyczaić się nawet do ciężaru. Do tego, że coś uwiera, że coś przeszkadza oddychać. A przecież nie po to jest serce, żeby było schowkiem na wszystko, co trudne.

Otwórz okno. Niech wejdzie trochę światła, nawet jeśli nieśmiało, nawet jeśli tylko na chwilę. Niech poruszy firanką myśli, które już dawno przestały być potrzebne. Nie bój się pustych miejsc. One nie są po to, żeby straszyć, ale żeby zrobić przestrzeń. Na słowo dobre, na spokój, na radość, wdzięczność.

Zamiataj duszę nie tylko wtedy, gdy wypada. Ale wtedy, gdy czujesz, że robi się za ciasno. Troski lubią ciemne i wilgotne kąty. Zmartwychwstanie nie jest tylko raz w roku.

Ono dzieje się wtedy, gdy zamiast kolejnego zmartwienia wybierzesz – wdzięczność. Gdy zamiast zamknąć drzwi, zostawisz je uchylone dla nadziei.

Małe cuda dnia nie zmieniają całego świata.

Ale mogą zmienić twój dzień.

A czasem to wystarczy, żeby wszystko zaczęło się od nowa.

remont kładki na Ropie na Blichu. Piesi muszą się liczyć z brakiem przejścia

Halina Gajda
Gorlice

Remont kładki na Ropie na Blichu w końcu dojdzie skutku. Wiosną minionego roku miasto ogłosiło przetarg na remont, ale udało się go rozstrzygnąć dopiero w drugim postępowaniu.

To, że kładka wymaga remontu, nie trzeba nikogo przekonywać. Przede wszystkim z racji stanu wykładziny, którą pokryte jest, a raczej było, przejście. Przez dziury można było wsadzić nie tylko palec, ale wpaść kołem roweru i poważnie je uszkodzić.

W maju minionego roku w końcu ogłoszono przetarg. Chętne do wykonania określonych przez miasto pracy było dwie firmy. Jedna oszacowała ich koszt na ponad 488 tys. zł, a druga na prawie 528 tys. zł. Miasto zaś ogłosiło, że nie zamierza wydać więcej, niż 180 tys. zł. Postępowanie zostało unieważnione, a w ratuszu zaczęły się poszukiwania dodatkowej kasy.

Tymczasem na kładce co raz pojawiały się ekipy, które łączyły kolejne pęknięcia. Na krótko zdawało to egzamin, ale było wiadomo, bez generalnego remontu się nie obejdzie. Jesienią miasto ogłosiło kolejny przetarg. Tym razem w portfelu zarezerwowało 400 tys. zł. Postępowanie w trybie zaprojektuj-wybuduj wygrała firma z Jarosławia.

Zakres robót obejmuje wymianę uszkodzonych elementów konstrukcji stalowej wraz z zabezpieczeniem antykorozyjnym oraz wymianę nawierzchni kładki pieszej wraz z wykonaniem nowej powierzchni antypoślizgowej pomostu na długości około 40 m.

Jak poinformował nas Sebastian Puchajda, zastępca burmistrza miasta, firma, która wygrała przetarg, kończy projektowanie zadania. Prace ruszą lada dzień. Z racji charakteru robót, konieczne może się okazać czasowe zamknięcie przejścia. Wykonawca będzie miał czas do końca kwietnia na realizację zamówienia.

Korona Europy dla Miasta Gorlice coraz bogatsza w zdobyte szczyty. Teraz Turcja

Halina Gajda
Gorlice

Tak, jak zapowiadał Piotr Fejkiel, 32. szczyt w Koronie Europy dla Miasta Gorlice został wyznaczony w Turcji. Najwyższy punkt kontynentalnej części tego kraju to Mahya Dagi (1031 m. n.p.m.).

Piotr Fejkiel relacjonuje: Samo zdobycie góry nie nastręczało zbyt wielu trudności technicznych, mimo zimowych warunków na szczycie. Droga w górę była łatwa, dostępna dla każdego. Zresztą miejsce często odwiedzają rodziny z dziećmi, a także wszyscy ci, którzy chcą spędzić trochę czasu na swojej „niebiańskiej górze”.

Głównym celem i bazą wypadową był Sztambuł. Ta największa europejska metropolia licząca 16 mln mieszkańców, jednocześnie to jedno z największych miast świata, które rozciąga się na dwóch kontynentach po obu stronach cieśniny morskiej Bosfor, od północnego wybrzeża Morza Marmara do południowego wybrzeża Morza Czarnego. Łączy i jednocze-



Piotr Fejkiel chce zdobyć najwyższe szczyty państw Europy, a ten górski projekt zadedykował Miastu Światła

śnie rozdziela dwa światy: Wschód i Zachód.

- Plan był dopracowany, więc wydawało się, że nic nie powinno nas zaskoczyć, ale jak to w życiu bywa, najbardziej przygotowane przedsięwzięcia, lubią się skomplikować - mówi tajemniczo. - My akurat musieliśmy wziąć poprawkę na to, że na szczycie Mahya Dagi działa baza wojskowa, więc zaliczenie najwyższego punktu było niemożliwe - opowiada.

Spacerowiczom, czy turystom, którzy zdobywają Koronę Europy, zdarza się czasem dotrzeć w pobliże tejże bazy, na tak zwane szybkie selfie na tle charakterystycznych kopuł radarów na zewnątrz bazy. - Dotyczy to głównie pojedynczych osób, które nie rzucają się tak mocno w oczy - opowiada. - Nasza grupa liczyła kilkanaście osób, więc namiarzyst zainteresowali się nimi wszyscy wojskowi, którzy stacjonowali w bazie.

No i się zaczęło - kilkukrotne kontrole dokumentów, zbieranie wywiadów, a na koniec propozycja nie do odrzucenia - by zawrócić. - W efekcie dosłownie kilkadziesiąt metrów przed szczytem musieliśmy zawrócić - wspomina dalej.

Wszystkim, którzy zaraz powiedzą, że w takim razie szczyt nie można uznać za zdobyty, Piotr odpowiada stanowczo: tego szczytu nie da się zdobyć w stu procentach. Można go zaliczyć na tyle, jak dalece pozwolą wojskowi, zanim dostrzegą cywila i go po prostu pogonią. Mało jest takich osób, które chcą ryzykować i narażać się na naprawdę poważne kłopoty. - Chociaż na marginesie powiem, że miałem okazję przejechać się radiowozem żandarmerii - przyznaje po chwili. - Szczegóły jednak zostawię dla siebie - uśmiecha się.

Przejażdżka najwyraźniej nie miała poważniejszych konsekwencji, bo cała grupa wróciła bezpiecznie do Sztambułu na luźniejszą część podróży, czyli zwiedzanie, które wydaje się nie mieć końca - meczety, pałace, świątynie liczące czternaście wieków historii.

ZDJĘCIE TYGODNIA



Motocyklowa Bobowa, czyli grupa miłośników jednośladow z duszą, zaprosiła w Wielką Sobotę na święcenie, ale w ich wydaniu. Na chwilę przed południem, w kolumnie z zachowaniem wszelkich zasad bezpieczeństwa i ruchu drogowego, przejechali przed kościółek św. Zofii. Trzeba przyznać - zrobili wrażenie, bo na wielu twarzach pojawił się uśmiech. Przed kościółkiem skrywane w kufrach koszyki wreszcie ujrzały światło dzienne i zostały ustawione na kilku ławkach. Za nimi zaś ustawiała się cała zmotoryzowana grupa. Halina Gajda

Wyczerpana turystka wraz z psem nie mogła dotrzeć do schroniska na Przehybie. Ratownicy GOPR w akcji

Joanna Mrozek
Region

Ratownicy Grupy Krynickiej GOPR udzielali pomocy wycieńczonej turystce i jej psu na Przehybie. Kobieta wraz z czworonogiem nie była w stanie kontynuować wędrówki do schroniska PTTK, pomoc przyszła na czas.

Do zdarzenia doszło w środę, 1 kwietnia w nocy. Po przyjęciu zgłoszenia ratownicy GOPR wyruszyli na pomoc. Działania prowadzone były w trudnym, zimowym terenie, spadła tam duża ilość śniegu.

Po dotarciu do turystki i jej psa ratownicy udzielili niezbędnej pomocy, a następnie bezpiecznie sprowadzili ich

do Schroniska PTTK na Przehybie. - Warunki w Paśmie Radziejowej były na tyle trudne, że oboje mocno wyczerpani potrzebowali wsparcia w dotarciu do schroniska - informują ratownicy GOPR z Krynicy.

W wyższych pasmach Beskidu Sądeckiego po ostatnich opadach przybyło około 30 cm śniegu. Takie warunki znacząco wydłużają czas przejścia i zwiększają wysiłek potrzebny do pokonania trasy. Na szczęście pomoc przybyła na czas.

Ratownicy górscy apelują o ostrożność i sprawdzanie warunków pogodowych. Planując wyjście w wyższe partie gór, warto odpowiednio się przygotować. Należy także realnie ocenić swoje możliwości oraz pamiętać o aplikacji Ratunek.



Ze szczytu rozciągają się widoki na Mszanę Dolną, Kasinkę Małą i Kasinę Wielką

MIESZKAŃCY CHCĄ TAKIEJ ATRAKCJI TURYSTYCZNEJ

Wieża widokowa powstanie na Lubogoszczy? Jest petycja

Klaudia Kulak
Mszana Dolna

Czy na szczycie góry Lubogoszcz w Beskidzie Wyspowym może powstać wieża widokowa? Ponad 750 podpisów pod petycją i pozytywna reakcja samorządu to dobry prognostyk. Inicjatywa mieszkańców Mszany Dolnej nabiera realnych kształtów.

Lubogoszcz (968 m.n.p.m.) to jeden z najbardziej znanych i urokliwych szczytów Beskidu Wyspowego. Położony między Szczepłem, Śnieżnicą, Wierzbowską Górą oraz grzbietem Czarnego Działu, oddzielony jest od nich dolinami rzek Raby i Mszanki oraz potoków Kasinianka i Słomka. Ze szczytu rozciągają się widoki na Mszanę Dolną, Kasinkę Małą i Kasinę Wielką. Przebiegające tędy szlaki turystyczne sprawiają, że miejsce od lat cieszy się dużą popularnością wśród turystów.

To właśnie dlatego grupa mieszkańców Mszany Dolnej dostrzegła w Lubogoszczy potencjał turystyczny. Ich zdaniem budowa wieży widokowej mogłaby znacząco zwiększyć atrakcyjność tego miejsca.

Pod petycją w tej sprawie podpisało się ponad 750 osób. Dokument trafił do urzędu pod koniec lutego. Autorzy inicjatywy przekonują, że inwestycja mogłaby przyciągnąć więcej turystów, podobnie jak inne wieże widokowe w regionie.

To z kolei mogłoby przelożyć się na rozwój lokalnej gospodarki, zwłaszcza w sektorach turystyki, gastronomii i rekreacji.

Ich zdaniem Lubogoszcz ma wszelkie predyspozycje, by stać się jednym z turystycznych hitów Małopolski.

- Zwracamy się z prośbą o rozważenie i podjęcie działań zmierzających do budowy ogólnodostępnej wieży widokowej na masywie pasma góry Lubogoszcz. Góra Lubogoszcz stanowi jedno z najcenniejszych miejsc widokowych w okolicy i od lat jest chętnie odwiedzana przez mieszkańców i turystów oraz miłośników naszych pieszych wędrówek. Jej położenie oraz walory krajobrazowe dają wyjątkową możliwość stworzenia bezpiecznego i atrakcyjnego punktu widokowego, który mógłby stać się wizytówką regionu. Budowa zwiększyłaby atrakcyjność turystyczną samego miasta, gminy i najbliższych okolic Beskidu Wyspowego. Przyczyniłaby się do większej promocji miasta oraz regionu. Mogłaby pozytywnie wpłynąć na lokalną gospodarkę, turystykę, gastronomię, usługi i handel. Stworzyłaby nowe, ciekawe i bezpieczne miejsce rekreacji, wycieczek dla mieszkańców i osób zamieszkujących. Sprzytałaby edukacji przyrodniczej, krajoznawczej i popularyzacji naszego regionu. Wielokrotnie w innych miejscowościach podobne inwestycje okazały się sukcesem. Spotkały się z bardzo pozytywnym odbiorem społecznym. Uważamy, że również w przypadku góry Lubogoszcz taka inicjatywa ma realny potencjał i szerokie uzasadnione poparcie społeczne - napisał w petycji jej autorzy - głównie członkowie PTTK i inni miłośnicy turystyki górskiej.

Temat budowy wieży widokowej został poruszony podczas ostatniego posiedzenia Rady Miasta w Mszanie Dolnej. Radni podjęli uchwałę o rozpatrzeniu petycji i uznali wniosek mieszkańców za zasadny.

W uzasadnieniu podkreślono jednak, że przed podjęciem decyzji inwestycyjnych konieczne jest przeprowadzenie szczegółowych analiz. Mają one objąć m.in. kwestie środowiskowe, własnościowe, krajobrazowe oraz ekonomiczne.

Co istotne, podobna petycja trafiła również do władz sąsiedniej gminy Niedźwiedź. Oznacza to, że projekt ma charakter ponadlokalny i jeśli zostanie zrealizowany może być efektem współpracy obu samorządów. Taki model zwiększa szanse na realizację inwestycji, ale jednocześnie wymaga uzgodnienia wspólnej strategii działania.

Zgodnie z zapowiedziami władz, ewentualne decyzje dotyczące budowy wieży widokowej mają zostać poprzedzone konsultacjami społecznymi.

- Komisja uznaje za zasadne, aby przed podjęciem ewentualnych decyzji inwestycyjnych przeprowadzić szczegółową analizę możliwości realizacji przedsięwzięcia - czytamy w uzasadnieniu projektu uchwały.

Na razie więc projekt znajduje się na etapie wstępnym, jednak duże poparcie mieszkańców oraz pozytywne stanowisko samorządu sprawiają, że perspektywa powstania wieży na Lubogoszczy wydaje się coraz bardziej realna.

Nad Jeziorem Rożnowskim powstaną atrakcje. Będzie skate park i pumptrack

Alicja Fałek
Tęgoborze

Ponad 980 tys. zł z funduszy unijnych otrzymała gmina Łososina Dolna na realizację projektu, który podniesie atrakcyjność miejscowości Tęgoborze. Mieszkańcy i turyści za rok będą mogli skorzystać z nowoczesnego skate parku i pumptracka tuż nad Jeziorem Rożnowskim.

Gmina Łososina Dolna chce wykorzystać potencjał turystyczny i realizować kolejne zadania, które z jednej strony będą służyć mieszkańcom, a z drugiej wykorzystywane będą również przez turystów. Jedną z takich właśnie inwestycji jest budowa pumptracku i skate parku wraz z infrastrukturą towarzyszącą w miejscowości Tęgoborze.

Władze gminy niedawno podpisały umowę na dofinansowanie zadania, którego sz-

cunkowy koszt wynosi 1 429 954,11 zł. Ogłoszony został przetarg na realizację zadania.

- Powstanie profesjonalny, asfaltowy tor przeszkód, który stanie się nowym, silnym produktem turystycznym regionu. Dzięki specjalnie zaprojektowanym muldom i zakrętom, obiekt będzie dostępny dla osób o różnym poziomie zaawansowania - informuje gmina.

Zgodnie z wytycznymi zawartymi w specyfikacji przetargowej wykonawca inwestycji będzie ją wykonywał w dwóch etapach. Pierwszy potrwa do 31 sierpnia tego roku, a drugi etap do 31 marca 2027 roku. Zakres prac obejmuje budowę skate parku oraz pumptracka (toru rowerowego). Do tego wykonane zostanie oświetlenie terenu, elementy małej architektury (ławki, kosze na śmieci, stojaki rowerowe itp.), ścieżki spacerowe oraz zasadzona zostanie nowa zieleń i trawa.



Pumptrack i skate park ma powstać na działce nieopodal publicznej rampy startowej do wodowania

KRÓTKO

ROPA

Co z 92-latkiem, który miał zabić?

Prokuratura Rejonowa w Gorlicach uzyskała kompleksową opinię sądowo-psychiatryczno-psychologiczną dotyczącą 92-letniego Tadeusza S., podejrzanego o zabójstwo swojej 80-letniej siostry. Jak wynika z ustaleń biegłych, mężczyzna w chwili popełnienia czynu miał znieśloną zdolność rozumienia jego znaczenia oraz pokierowania swoim postępowaniem. Oznacza to, że w świetle obowiązujących przepisów, mógł działać w stanie niepoczytalności.

Do zdarzenia doszło 10 grudnia 2025 r. w jednym z domów w miejscowości Ropa. Jak ustalili śledczy, 92-letni mężczyzna oddał jeden strzał z broni palnej, dębeltówki, w kierunku swojej siostry, z którą mieszkał. Strzał padł z bliskiej odległości i okazał się śmiertelny. Przeprowadzona sekcja zwłok potwierdziła, że bezpośrednią przyczyną śmierci kobiety był postrzał z broni palnej.

Śledczy nie mają wątpliwości, że tragedia była finałem wieloletniego sporu rodzinnego. Jak poinformowała prokuratura, rodzeństwo od dawna pozostawało w konflikcie na tle majątkowym. W dniu zdarzenia doszło do kolejnej kłótni, której świadkiem była m.in. córka podejrzanego.

Mieszkańcy wsi przyznają, że napięcia między rodzeństwem były powszechnie znane, jednak nikt nie przypuszczał, że zakończą się w tak dramatyczny sposób.

Po zgłoszeniu postrzału na miejsce natychmiast skierowano służby. Policja zabezpieczyła teren posesji, nie dopuszczając osób postronnych. Funkcjonariusze brali pod uwagę, że sprawca nadal może być uzbrojony i stanowić zagrożenie.

Po zatrzymaniu 92-latkę na miejscu pracowali policjanci z grupy dochodzeniowo-śledczej pod nadzorem prokuratora. Czynności trwały wiele godzin i obejmowały także przesłuchania świadków oraz członków rodziny.

Tadeusz S. usłyszał zarzuty zabójstwa oraz nielegalnego posiadania broni i amunicji. Podczas przesłuchania formalnie nie przyznał się do winy, jednak, jak podają śledczy, opisał przebieg zdarzenia i potwierdził oddanie strzału.

Na wniosek prokuratury Sąd Rejonowy w Gorlicach zastosował wobec niego trzymiesięczny areszt tymczasowy, który jest nadal kontynuowany. Lech Klimek

Przywłaszczył karty płatnicze i dowód

Joanna Mrozek
Nowy Sącz

Przywłaszczył cudze karty płatnicze oraz dowód osobisty i próbował wypłacić pieniądze. Mimo wielokrotnych prób, podejrzanemu nie udało się wypłacić gotówki ani sfinalizować zakupów, ale to nie oznacza że uniknie kary. Sądccy policjanci przedstawili zarzuty mężczyźnie, grozi mu nawet 10 lat.

Do zdarzenia doszło 12 marca br. na terenie Nowego Sącza. Dwie karty płatnicze oraz dowód osobisty należące do jednej z mieszkanek miasta zostały skradzione przez 25-latkę. Sprawca dysponując cudzymi kartami, natychmiast podjął próby wzbogacenia się kosztem pokrzywdzonej.

Aż 10-krotnie usiłował wypłacić pieniądze z bankomatów oraz dokonać płatności za zakupy w sklepie. Zamierzonego celu nie osiągnął, ponieważ transakcje były odrzucane z powodu nieprawidłowego kodu PIN, a następnie zablokowania

kart przez system bankowy. Dzięki intensywnej pracy sądeckich policjantów, tożsamość mężczyzny została szybko ustalona - informuje Aneta Izworska z Komendy Miejskiej Policji w Nowym Sączu.

Jak dodaje, 30 marca br. na podstawie zgromadzonego materiału dowodowego 25-latek usłyszał zarzuty przywłaszczenia dokumentu tożsamości oraz kart płatniczych, a także 10-krotnego usiłowania kradzieży z włamaniem do systemu bankowego. Z uwagi na to, że podejrzany popełniał te przestępstwa w krótkich odstępach czasu, stosując ten sam schemat, sąd może orzec wyższy wymiar kary.

- Warto przypomnieć, że próba płatności cudzą kartą (nawet zbliżeniowo) jest traktowana przez polskie prawo jako kradzież z włamaniem, za co grozi kara od roku do dziesięciu lat pozbawienia wolności. Sprawca ponosi odpowiedzialność karną nawet, gdy transakcja się nie powiedzie - wówczas odpowiada za usiłowanie przestępstwa - wyjaśnia Izworska.

Klaudia Kulak
Nowy Sącz

Po rewitalizacji Parku Strzeleckiego władze miasta zapowiadały kolejną atrakcję dla mieszkańców i turystów - park linowy. W 2024 roku prezydent Nowego Sącza poinformował nawet o podpisaniu zarządzenia dotyczącego przetargu na stworzenie takiego miejsca. Dziś wiadomo, że kolejne postępowanie zostało unieważnione.

Jeszcze kilka lat temu Park Strzelecki nie zachęcał do spędzania w nim czasu. Zmieniła to jego rewitalizacja, która rozpoczęła się w październiku 2021 roku. Pierwszym etapem była wycinka części drzew oraz rozbiora starego amfiteatru. W miejscu dawnych ławeczek i starej muszli koncertowej powstał nowoczesny i okazały budynek amfiteatru. Zagospodarowano także przestrzeń wokół. Powstały place zabaw, siłownie pod chmurką, a także atrakcyjna fontanna i mini staw.

Odnowiony park szybko zyskał popularność wśród miesz-



FOT. ARCHIWUM POLSKA PRESS

Park linowy na terenie Parku Strzeleckiego byłby kolejną atrakcją, która przyciągałaby zwłaszcza dzieci i młodzież

kańców, a amfiteatr stał się miejscem wielu wydarzeń. Jednym z najbardziej rozpoznawalnych są wybory Miss Polski oraz Miss i Mister Supranational, które od kilku lat organizowane są w Nowym Sączu i transmitowane do widzów na całym świecie. W amfiteatrze odbywają się także koncerty w ramach Sądeckiej Jesieni Kulturalnej.

W 2024 roku władze miasta poinformowały, że chcą jeszcze bardziej uatrakcyjnić teren

parku. Jednym z pomysłów było stworzenie parku linowego. Prezydent Nowego Sącza mówił wówczas, że z magistratem kontaktowały się osoby zainteresowane realizacją takiej inwestycji.

Planowano, że park linowy powstanie w pobliżu wałów nad Dunajcem, niedaleko kortów tenisowych. Lokalizacja miała pozwolić na stworzenie atrakcji rekreacyjnej w naturalnym otoczeniu zieleni. Temat był o tyle zaawansowany, że jes-

cze w 2023 r. zgodę na utworzenie parku linowego wyraziła Rada Miasta. Zgodnie z przyjętymi założeniami teren przeznaczony pod inwestycję miał zostać wydzierżawiony operatorowi na okres 10 lat. Powierzchnia przeznaczona pod park linowy miała wynosić około 300 metrów kwadratowych.

Pierwszy przetarg dotyczący realizacji tej inwestycji ogłoszono w lutym 2024 r. Postępowanie zostało jednak po kilku dniach zamknięte bez podania przyczyny. Przeprowadzono również kolejne postępowanie, w którym zakładano, że park linowy mógłby powstać do maja 2024 r. Także i ono nie zakończyło się jednak realizacją inwestycji.

Niedawno temat wrócił, bo miasto opublikowało zawiadomienie o unieważnieniu kolejnego przetargu. Jako powód wskazano niezachowanie wymogów dotyczących sposobu oraz terminu podania ogłoszenia o przetargu do publicznej wiadomości. Czy będzie kolejne ogłoszenie? W tej sprawie skierowaliśmy pytania do Urzędu Miasta Nowego Sącza i czekamy na odpowiedź.

Dzień Traktora - jedyny w regionie

Halina Gajda
Binarowa

W najbliższą niedzielę w Binarowej szykuje się Dzień Traktora. Przyjechać może każdy. I wcale nie musi to być super nowoczesna maszyna o wartości domu. Może to być samoróbka, albo po prostu... zabawka.

Binarowskie święcenie traktorów to wyjątkowy dzień. Nikt inny takiego nie ma. I pewnie niewielu wie, że akurat w tym miejscu ta oryginalna bądź co bądź tradycja, liczy już sobie pół wieku. Co roku, w pierwszą niedzielę po Wielkanocy, przed zabytkowy, drewniany kościółek zajeżdżają ciągniki rolnicze.

W tym roku parafia wespół z sołectwem idą o krok dalej. Wpadli na pomysł organizacji Binarowskiego Dnia Traktora, który będzie połączeniem religijnego wydarzenia z integracją lokalnego, choć nie tylko, środowiska. - O godz. 11. będzie odprawiona msza św. o błogosławieństwo boże dla traktorzystów, zachowanie od nieszczęśliwych wypadków w pracach polowych oraz szacunek dla rolniczej pracy



FOT. HALINA GAJDA

Po mszy i święceniu traktorów będzie piknik

- zapowiada ks. Bogusław Jurczak, proboszcz parafii w Binarowej. - Po niej, przed Szkoła Ludową poświęcone zostaną traktory, które następnie przejadą w paradyzie przez naszą miejscowość.

Po paradyzie zaplanowano piknik. O to, by nikt nie był głodny, zadba Koło Gospodyń Wiejskich, które już szykuje cały zestaw binarowskich przysmaków. Dla dzieci przygotowywana jest strefa Junior-Traktor, więc maluchy będą mogły zabrać ze sobą swoje traktorki-zabawki oraz maszyny rolnicze.

Do odnowy pomost, brzeg stawu i roślinność

Halina Gajda
Siary

Park przyrodniczo-historyczny w Siarach przechodzi wiosenny lifting. Wykonawca w ramach gwarancji usuwa wszelkie usterki, które pojawiły się po oddaniu parku do użytku. Może nie są jakieś spektakularne, ale na pewno kiepsko wpływały na wizerunek całości. W tej chwili prace skupiają się przede wszystkim na stawie.

Park w Siarach wpisał się już w otoczenie. Trochę zapomnieliśmy, że nie tak dawno temu, była tam po prostu dzika, zakrzaczona łąka. Gmina Sękowa uznała, że czas to zmienić, zainvestowała. Z łąki zrobił się park dla całych rodzin i na pewno jedyne miejsce w regionie, gdzie najmłodszy absolutnie bez żadnych zahamowań mogą łupać ile sił w gong, plenerowe cymbałki albo krzyczeć do wielkiej słuchawki. Nikt ich nie upomni, że jest za głośno.

W całej tej becce miodu znalazło się jednak parę łyżek dziegciu, a mianowicie usterek,

czuć, w wielu miejscach uschła, albo w ogóle się nie przyjęła.

Jeszcze w kwietniu miniego roku park w parku odbyła się tak zwana wizja terenowa. Wszystkie uchybienia zostały spisane, a wykonawca zobowiązany do ich usunięcia.

- Jednocześnie w parku występują uszkodzenia wynikające z aktów wandalizmu np. w strefie słuchu parku historycznego, uszkodzenia elementów pomostu z desek kompozytowych, a także plaży nad stawem rekreacyjnym oraz uszkodzenia lamp ozdobnych. Dodatkowo zużyciu uległy hamaki i siatki. Wszystkie wymienione uszkodzenia i

braki są sukcesywnie wymieniane - informował nas wówczas Michał Diduch, zastępca wójta gminy Sękowa.

Staw i pomost były zdecydowanie najgorszą wizytówką miejsca, a ekipa remontowa pojawiła się na nim właściwie kilkanaście dni temu. Pomost dostał nową podłogę, uzupełnione zostało oświetlenie. Ze sztucznego zbiornika wypompowana została woda, a całość ma zostać wyczyszczona. Z brzegów zniknęła folia i brezent. Leżaki też są reperowane.

- Wszystkie roboty prowadzone są w ramach umowy gwarancyjnej - informuje Diduch.



FOT. HALINA GAJDA

Trwa czyszczenie stawu w parku historyczno-przyrodniczym w Siarach

Tanie mieszkania od SIM Małopolska



FOT. SIM MAŁOPOLSKA

Tak ma wyglądać osiedle mieszkaniowe, które wybudują w Korzennej. Na początek będzie to aż 30 mieszkań

Joanna Mrozek
Korzenna

W Korzennej wkrótce ruszy wycieknięcia od lat inwestycja. Spółka SIM Małopolska ogłosiła przetarg na wykonanie pierwszego etapu inwestycji, która ma zapewnić mieszkańcom dostęp do lokali na preferencyjnych warunkach. W pierwszym etapie ma powstać 30 mieszkań.

O mieszkaniach w ramach SIM Małopolska, które mają powstać w Korzennej mówi się od lat. W końcu udało się ogłosić przetarg dotyczący budowy 15 budynków jednorodzinnych dwulokalowych w zabudowie szeregowej wraz z pełną infrastrukturą techniczną na działce nr 227 w Korzennej.

Lokalizacja osiedla jest atrakcyjna. Powstanie nieopodal odnowionego dworu w Korzennej, gdzie znajduje się park i łąka solankowa. Mamy w jednym miejscu przedszkole, szkołę podstawową, halę sportową, basen, orlik, miasteczko ruchu drogowego i plac zabaw. A do tego dobre połączenia drogowe. Do Nowego Sącza dojazd zajmuje zaledwie 15 minut - mówił jakiś czas temu Leszek Skowron, wójt gminy Korzenna.

W ramach tego etapu powstanie 30 mieszkań. W każdym z nich zaprojektowano pokój dzienny z aneksem kuchennym, łazienką oraz dwoma dodatkowymi pokojami. Budynki będą miały dwie kondygnacje, a część lokali na parterze zostanie dostosowana do potrzeb osób z niepełnosprawnościami. Docelowo w ramach całego przedsięwzięcia ma powstać 50 mieszkań w zabudowie szeregowej.

Zakres zamówienia obejmuje kompleksową realizację inwestycji. Wybrana w przetargu firma wykona roboty budowlane, wszystkie niezbędne instalacje i zagospodarowanie terenu. Przewidziano m.in. sieci

wodociągowe i kanalizacyjne, przyłącza energetyczne i gazowe, miejsca postojowe oraz elementy infrastruktury towarzyszącej. Na realizację zadania przewidziano 20 miesięcy, a o wyborze wykonawcy zdecyduje cena.

Mieszkania będą przeznaczone na wynajem z możliwością późniejszego wykupu. Z programu skorzystają osoby, które nie mają zdolności kredytowej, a jednocześnie są w stanie ponieść koszty najmu. Zakłada się, że czynsze będą niższe niż rynkowe. Uczestnicy programu wnoszą opłatę partycypacyjną w wysokości około 15 procent wartości lokalu. W razie rezygnacji opłatę można odzyskać. Budowa lokali odbywa się w standardzie „pod klucz”, co pozwoli na ich natychmiastowe zamieszkanie.

Gmina Korzenna przystąpiła do spółki Społeczna Inicjatywa Mieszkaniowa Małopolska, w którą zaangażowało się 16 gmin z całego województwa, wnosząc aport w postaci hektarowej działki znajdującej się na północny-wschód od dworu na składem budowlanym. Natomiast z Krajowego Funduszu Mieszkaniowego otrzymała 3 mln zł, a środki na budowę pochodzą z Banku Gospodarstwa Krajowego i Krajowego Zastawu Nieruchomości.

Główny celem spółki jest budowa mieszkań pod wynajem na atrakcyjnych warunkach. Mieszkania będą oddawane „pod klucz” i będą wymagały jedynie umeblowania. Ponieważ spółka nie jest nastawiona na zysk, czynsze będą relatywnie niskie, a otrzymanie mieszkania nie będzie wymagało zaciągania kredytu.

Z założenia lokatorzy mieszkań wybudowanych przez SIM po 20-30 latach będzie mógł stać się właścicielem wynajmowanego mieszkania. Pod warunkiem, że wpłaci wkład w wysokości co najmniej 20-stu procent.

KRÓTKO

PIWNICZNA-ZDRÓJ

Rozlewisko zyska nowe atrakcje

Piwniczna-Zdrój położona jest około 20 km na południe od Nowego Sącza. Charakterystycznym miejscem jest Park Zdrojowy i pijalnia wód mineralnych. Urokliwe alejki parku pozwalają wyciszyć się i zrelaksować, a szum płynącego nieopodal Popradu dodaje temu miejscu wyjątkowego uroku. Ale to nie wszystko! Z roku na rok przybywa w Piwnicznej atrakcji.

Przy wjeździe do centrum Piwnicznej-Zdroju zagospodarowano właśnie teren rekreacyjny Nakła. Jak tam trafić? Zjazd jest niedaleko za stacją Orleń, w kierunku rynku w Piwnicznej, po lewej stronie będzie przejazd kolejowy. Znajdziemy tu ścieżki spacerowo-biegowe wraz z elementami małej architektury, pumphtrack oraz zurządzenia do uprawiania street workout. Dodatkowo znajduje się tam wielofunkcyjna stacja naprawy rowerów. Ciekawym elementem jest kładka pieszo-rowerowa, łącząca teren Nakła ze zdrojową częścią miasta.

Nie dawno postawiono tam figurki zwierząt, które zamieszkują lasy oraz Dolinę Popradu. Jest też ogromna ławka Kicarcza - olbrzymia, który związany jest z legendą o powstaniu góry Kicarcz.

W ramach projektu w Nakle powstanie nowoczesna przestrzeń oparta na rozwiązaniach przyjaznych środowisku. - Będą strefy zieleni, łąki kwietne oraz elementy wodne, takie jak rowy i niecki biorentencyjne, które będą wspierać retencję wody i poprawiać mikroklimat. Całość uzupełnią elementy małej architektury - miejsca odpoczynku, ławki oraz zagospodarowane punkty przy wejściach i skrzyżowaniach ścieżek - informuje burmistrz Tomasz Michałowski.

Istotnym elementem inwestycji będzie montaż ośmiu zielonych przystanków autobusowych na terenie Piwnicznej-Zdroju. Przystanki zostaną wyposażone w zielone dachy oraz elementy edukacyjne.

Miasto i Gmina Piwniczna-Zdrój otrzyma ponad 2,1 mln zł dofinansowania z budżetu Urzędu Marszałkowskiego Województwa Małopolskiego na realizację projektu „Rozwój zielonej infrastruktury na terenie Nakła w Piwnicznej-Zdroju. Całkowita wartość inwestycji wynosi 2,7 mln zł, a jej zakończenie planowane jest do końca 2027 roku.

Joanna Mrozek



FOT. MALGORZATA GENCA / POLSKA PRESS

Dzięki szczepieniom udaje się wyeliminować i ograniczyć coraz więcej chorób zakaźnych

ZDROWIE SPADŁA LICZBA CHORÓB ZAKAŹNYCH

Pierwsze miejsce wciąż dla Covid-19

Alicja Fałek
Nowy Sącz

Raport z działań Państwowego Powiatowego Inspektora Sanitarnego w Nowym Sączu w zakresie zdrowia publicznego na terenie miasta Nowego Sącza w 2025 roku przynosi ciekawe informacje. Z danych przedstawionych w dokumencie wiemy, na jakie choroby zakaźne w minionym roku zapadali mieszkańcy Nowego Sącza. Choć czas pandemii Covid-19 za nami, to wciąż najwięcej zachorowań jest wywołanych przez wirusa SARS-CoV-2.

Państwowy Powiatowy Inspektor Sanitarny w Nowym Sączu w pierwszym kwartale nowego roku przygotowuje i przedstawia raport z działań w zakresie zdrowia publicznego na terenie miasta w minionym roku. To kompendium wiedzy i analiza wybranych zagadnień związanych z sytuacją epidemiologiczną na terenie miasta Nowego Sącza.

Jak się okazuje w 2025 r. Powiatowa Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna w Nowym Sączu odnotowała 1979 zachorowań na choroby zakaźne wśród mieszkańców Nowego Sącza. To o 459 zachorowań mniej niż w 2024 r. Porównując rok do roku odnotowano spadek zachorowań na wirusowe zakażenia jelitowe, ospę wietrzną, płonicę, różę, krztusiec i wirusowe zakażenia wywołane SARS-CoV-2. Wzrost zachorowań obejmował:

bakteryjne zakażenia pokarmowe, biegunki o nieznannej etiologii oraz boreliozę.

Wśród chorób zakaźnych, na które w minionych latach zapadali Sądeczanie, a w 2025 r. nie było ani jednego przypadku założyły się: wirusowe zapalenia wątroby typu A, dur brzuszny i dury rzekome, różyczki, czy inwazyjnej choroby meningokokowej.

Poprawa sytuacji epidemiologicznej w zakresie zachorowań na różyczkę jest wynikiem wprowadzenia do obowiązku programu szczepienia dzieci szczepionką skojarzoną przeciw odrze, śwince i różyczce - czytamy w raporcie z działań Państwowego Powiatowego Inspektora Sanitarnego w Nowym Sączu. Istotne znaczenie w zapobieganiu chorobom zakaźnym mają szczepienia ochronne zwłaszcza u osób wyjeżdżających do krajów o odmiennym poziomie epidemiologicznej w zakresie chorób zakaźnych oraz niższym standardzie sanitarno-higienicznym. W czasach wzmóżonej migracji i przepływu ludności utrzymanie wysokiego poziomu wyszczepialności stało się ważnym zagadnieniem w zakresie zdrowia publicznego.

Z danych sanepidu wynika, że istotne znaczenie w zapobieganiu chorobom zakaźnym mają przede wszystkim szczepienia ochronne

W minionym roku 46 mieszkańców Nowego Sącza musiało poddać się szczepieniu przeciw wściekliznie. Osoby te zostały pogryzione przez zwierzęta, u których nie można było wykluczyć tej choroby.

Choć pandemię Covid-19 mamy już dawno za sobą, to wciąż plasuje się ona na pierwszym miejscu wśród chorób zakaźnych, na które najczęściej w minionym roku zapadali mieszkańcy Nowego Sącza. Z tego 27 osób zostało objętych hospitalizacją. Infekcja COVID była przyczyną czterech zgonów na terenie miasta Nowy Sącz i powiatu nowosądeckiego. W sumie wskutek chorób zakaźnych zmarło 29 osób.

Liczba zachorowań na wybrane choroby zakaźne w 2025 roku w Nowym Sączu:

- Covid-19 - 446
- Ospa wietrzna - 301
- Borelioza - 168
- Biegunki i zapalenia żołądkowo-jelitowe - 142
- Bakteryjne zatrucia pokarmowe ogółem - 83
- Wirusowe zakażenia jelitowe ogółem - 78
- Płonica - 60
- Narażenie na wściekliznę - 46
- Gruźlica - 21
- Róża - 21
- Krztusiec - 17
- Kiła - 9
- Świnka - 3
- Zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych nieokreślone - 3.

EDUKACJA ZARZĄD POWIATU GORLICKIEGO ZATWIERDZIŁ JUŻ LISTĘ NA NOWY ROK SZKOLNY 2026/2027

Takich kierunków w szkołach średnich nie było. Już stawiają na specjalizacje

Agnieszka Nigbor-Chmura
Gorlice

Jeszcze tylko trzy miesiące i 1170 uczniów opuści mury podstawówek w powiecie gorlickim. Z analizy wynika, że większość absolwentów wybiera szkoły średnie w granicach powiatu gorlickiego. Do wyboru mają dziewięć placówek prowadzonych przez Starostwo Powiatowe w Gorlicach i dwie rolnicze szkoły ministerialne - w Bystrej i Hańczowej. Wszystkie przedstawiły już swoją ofertę edukacyjną na rok szkolny 2025/2026.

Wszystko wskazuje na to, że w tym roku absolwenci podstawówek znów będą walczyć o miejsca w wybranych przez siebie profilach gorlickich szkół średnich. Drugi rok z rzędu mamy bowiem do czynienia z zupełnie odmienną sytuacją niż jeszcze przed dwoma laty, gdy z klas ósmych w całym powiecie wychodziło zaledwie 740 absolwentów. W tym roku absolwentów będzie aż 1170.

Zanim ruszy nabór do szkół średnich trzeba wiedzieć, że rekrutacja w 2024 roku była specyficzna, bo z klas ósmych w całym powiecie wyszło zaledwie



Szkoły średnie proponują uczniom coraz bardziej specjalistyczne kierunki kształcenia

740 absolwentów. To aż o połowę mniej niż w 2023 roku. Wówczas jednak mieliśmy do czynienia z kumulacją roczników 2014 i 2015, które rozpoczęły naukę w podstawówkach w jednym roku.

Całemu zamieszaniu winna była oczywiście reforma edukacji, którą objęte zostały dzieci urodzone do końca czerwca 2008 roku. To one poszły

do szkoły w 2014 roku obowiązująco, jako sześciolatki razem z urodzonymi w 2007 i siedmiolatkami. Doszło więc do sytuacji, w której w klasach ósmych w 2022 roku uczyło się półtora rocznika. Ta sama sytuacja powtórzyła się w 2023 roku, kiedy do klas ósmych uczęszczał uczniowie urodzeni od lipca do grudnia 2008 roku oraz cały rocznik urodzonych

w 2009 roku. Co więcej, rocznik ten był jedynym, który w całości w 2015 roku poszedł do szkół.

W 2023 roku szkoły podstawowe w powiecie gorlickim kończyło 1400 uczniów. W 2024 tych absolwentów było 740, czyli o połowę mniej. To z kolei o blisko 300 uczniów mniej niż w „zwykłych” rocznikach, gdzie podstawówkę koń-

czy około 1000 uczniów. W ubiegłym roku wszystko po raz pierwszy wróciło do normy, a liczba uczniów wskazywała, że mamy do czynienia z wyżym demograficznym. Tak samo będzie i w roku szkolnym 2026/2027.

Tym samym i oddziałów w nadchodzącym roku szkolnym 2026/2027 będzie więcej. Przy 1400 uczniach starostwo powiatowe organizowało nabór do 44 oddziałów. Gdy uczniów było około tysiąca, powoływano od 33 do 35 klas. W minionym roku liczba oddziałów stopniała do 22, a w ubiegłym (2025/2026) znów wzrosła, ale tylko do 33 oddziałów. W roku szkolnym 2026/27 oddziałów będzie znów 33. Trudno się dziwić, skoro liczba uczniów jest podobna jak w ubiegłorocznej rekrutacji.

Rekrutacja na nowe kierunki odbędzie się w tym roku w Zespole Szkół nr 1 w Gorlicach i Zespole Szkół Zawodowych w Bieczu, gdzie chcemy kształcić w zawodzie technik cyberbezpieczeństwa - mówi Tadeusz Mikrut, dyrektor Wydziału Wydziału Edukacji, Kultury i Sportu Starostwa Powiatowego w Gorlicach.

Technik cyberbezpieczeństwa to specjalista odpowiedzialny za ochronę systemów

informatycznych, sieci komputerowych oraz danych przed nieautoryzowanym dostępem, atakami hakerskimi i awariami. Do jego głównych zadań należy konfiguracja zabezpieczeń, monitorowanie infrastruktury IT, analiza ryzyka, reagowanie na incydenty oraz testowanie podatności systemów na zagrożenia.

W Zespole Szkół Technicznych w Gorlicach odbędzie się rekrutacja w drugim nowym zawodzie - technik technologii chemicznej. To drugi nowy kierunek w szkołach średnich prowadzonych przez powiat - dodaje dyrektor Mikrut.

Technik technologii chemicznej to specjalista nadzorujący i obsługujący przemysłowe procesy produkcji substancji chemicznych m.in. tworzyw, leków, kosmetyków. Zajmuje się eksploatacją maszyn, kontrolą jakości produktów oraz optymalizacją produkcji. Praca odbywa się głównie w sektorze produkcyjnym, laboratoriach oraz rafineriach.

W technikum Zespołu Szkół Ogólnokształcących w Bobowej po raz pierwszy odbędzie się rekrutacja w zawodzie technik spedytor. Kształcenie w tym zawodzie odbywa się już w innych powiatowych placówkach.

Julia Wieniawa i Małgorzata Kożuchowska w reklamie lodów Koral

Klaudia Kulak
Nowy Sącz

Dwie rozpoznawalne aktorki, dwa pokolenia i jedna marka z Sądeczyny. Julia Wieniawa i Małgorzata Kożuchowska zostały ambasadorkami najnowszej kampanii reklamowej firmy Koral z Nowego Sącza. Producent lodów po raz kolejny sięga po znane nazwiska, by przyciągnąć uwagę klientów w całej Polsce.

Nowa odsłona kampanii to nie tylko promocja produktów, ale także kolejny krok w budowaniu silnej, która od lat kojarzona jest z Nowym Sączem. Jak informuje firma Koral, w sezonie lodowym 2026 obie aktorki będą reprezentować różne linie produktów.

W sezonie lodowym 2026 ambasadorką marki Koral jest

Julia Wieniawa, z hasłem: „Wybieram Koral”, natomiast marki Bracia Koral - Lody Jak Dawniej Małgorzata Kożuchowska, z hasłem: „Chwile, do których wracasz” - mówi dyrektor marketingu firmy Koral - Piotr Gąsiorowski.

To jednak nie wszystko. Obie gwiazdy pojawiają się także razem w materiałach promocyjnych, spotach reklamowych oraz billboardach. Hasło przewodnie dla tej koncepcji to: „Przełamujemy lody”.

Sądecka marka na ogólnopolskiej scenie

Koral to jedna z najbardziej rozpoznawalnych firm w Polsce wywodzących się z Nowego Sącza. Od lat skutecznie buduje swoją pozycję na rynku, a jednocześnie przyczynia się do promocji regionu w skali całego kraju.



Małgorzata Kożuchowska (z lewej) i Julia Wieniawa to gwiazdy tegorocznej kampanii reklamowej lodów Koral

Obecność znanych aktorek w kampanii tylko wzmacnia ten efekt. Dzięki takim działaniom Nowy Sącz regularnie pojawia się w ogólnopolskich me-

diach oraz przestrzeni reklamowej.

To nie pierwszy raz, kiedy firma Koral decyduje się na współpracę z polskimi

gwiazdami. W przeszłości w reklamach marki pojawiały się największe nazwiska polskiej sceny muzycznej, filmowej i telewizyjnej.

W kampaniach Korala występowali m.in. Dorota Rabczewska (Doda), Maryla Rodowicz, Artur Żmijewski, Maciej Musiał czy Marcelina Zawadzka. Wcześniej z marką współpracowali także Katarzyna Zielińska, Katarzyna Figura, Jan Frycz, Joanna Koroniewska, Joanna Krupa, Daniel Olbrychski, Zbigniew Wodecki, Joanna Liszowska, Beata Kozidrak, Małgorzata Jeżowska, Natasa Urbańska, czy dziecięcy zespół Arka Noego. Koral sięgnął też po Helenę Vondráčkovą, czeską piosenkarkę.

To pokazuje, że firma od lat konsekwentnie stawia na rozpoznawalne twarze i emocje, które budują relację z odbiorcami.

Influencerzy i rekordowa sprzedaż

Jedną z najgłośniejszych kampanii ostatnich lat była współpraca Korala z influencerami, w tym z ekipą Friza. Projekt odbił się szerokim echem w internecie i - jak podkreślano - przełożył się na rekordowe wyniki sprzedaży w historii firmy. To dowód na to, że marka potrafi łączyć tradycyjne formy reklamy z nowoczesnymi kanałami komunikacji i trafić do różnych grup odbiorców. Jak podkreśla firma, wybór ambasaderek w tym roku nie był przypadkowy.

Wybór artystek był podyktowany dorobkiem, popularnością i potencjałem, ale naszym najważniejszym kryterium jako prywatnej firmy rodzinnej jest niezmiennie przykładna osobowość, postawa i charakter w życiu codziennym - dodaje Piotr Gąsiorowski.

PRYWATNY ZAMEK W KOBYLANCE. KIM JEST GOSPODARZ HAJDUKÓWKI? „BUDOWA TRWAŁA SIEDEM LAT”

Roman Hajduk od dziecka marzył o swoim „zamku z bajki”. Przynajmniej tak twierdzi w rozmowie z nami, ale lekko się przy tym uśmiecha i spogląda na żonę, która wybrała ostateczną wersję projektu. Gdy pytamy go, ile w tym zamczysku jest pokoi - macha ręką: kto by się nad tym zastanawiał. Zdarza mu się odbierać telefony od chętnych, którzy chcieliby zrobić u niego przyjęcie, bo są przekonani, że to dom weselny.

Halina Gajda

Każdy, kto choć raz przejechał przez Kobylankę, na pewno zastanowił się, co to za zamczysko stoi tuż przy drodze powiatowej. Miejscowi już się do jego widoku przyzwyczaili, a gospodarzy znają doskonale. Mówią o nim Hajdukówka, choć nie brak też różnych humorystycznych skojarzeń.

- Niektóre domysły sam trochę podsyciałem - opowiada gospodarz. - Bo ludzie rzeczywiście frapowało, co ja tutaj buduję. Byli i tacy, którzy gromy na mnie sypali, że krajobraz szpecę. To ripostowałem, że drugi kościół w Kobylance tu będzie stał, a w zasadzie taka trochę większa kaplica - wspomina.

Do dzisiaj się więc zdarza, że dzwonią do niego narzeczeni z pytaniem, czy są wolne terminy na przyjęcie weselne. Inni pytają, do której kurii dzwonić, bo chcieliby z kolei wziąć ślub w zamkowej kaplicy.

Zamek to wprawdzie, ale skarbów brak

Stojąc przed Hajdukówką rzeczywiście można poczuć się trochę, jak w bajce. Kuta brama z orłem na szczycie otwiera się samoczynnie. Do zamku prowadzi szeroki trakt. Im bliżej, tym gość bardziej zdaje sobie sprawę ze skali miejsca. Trzy wieże, miejsce na fontannę, duży dziedzińiec i ogród za nim. W niewielkim lasku stado danieli. Ponoć jedzą z ręki, ale tylko z ręki gospodarza. Na widok obcych chowają się w między drzewami. Zdecydowanie bardziej chętne do zapoznania się są zamkowe koty. Leniwie przechadzają się po dziedzińcu niczym książęta. Mruczą przymilnie, dają się nawet podrapać za uchem. Gospodarz zaprasza do środka.

Od progu wiadomo, że miejsce zwykle nie jest. Nie, nie dlatego, że ocieka złotem czy kryształowymi żyrandolami albo antykami. Przy drzwiach stoją wprawdzie dwie broje, wzorowane na średniowiecznych, ale raczej nie przesadzają,



FOT. HALINA GAJDA

że jest to muzeum. Bo najważniejsze są tutaj myśliwskie trofea wszelkiego rodzaju. Roman Hajduk jest z nich dumny, choć zaznacza, że małżonka niezbyt tę dumę podziela. Więc poszli na kompromis - on ma swoją część zamczyska, gdzie wieszają sobie i ustawia, co chce, ale w domowej, w której spędzają większość czasu, na wszelkie dowody myśliwskiej dumy, miejsca nie ma. I oboje się w tym układzie doskonale mają.

- Często ktoś pyta, co skłoniło mnie, żeby wrócić do Polski na stałe po prawie czterdziestu latach pobytu w Chicago, gdzie miałem dobrze prosperujący biznes - opowiada gospodarz z miejsca. - Ja wtedy odpowiadałem poetycko, że jedna jest dzisiaj kraina taka, w której jest trochę szczęścia dla Polaka. To kraj rodzinny. On zawsze zostanie miły i słodki, jak pierwsze kochanie.

Pierwszą kawę postawiła żona

Przez blisko cztery dekady pobytu w Stanach Zjednoczonych aktywnie włączał się w życie tamtejszej Polonii, piastował różne ważne funkcje, ale z tyłu głowy cały czas siedziała myśl, że kiedyś wróci do korzeni. Emigracja, poza pracą, dochodami, obowiązkami przyniosła mu również... żonę. Historia znajomości mogłaby być kanwą komedii romantycznej. Bo wszystko w niej jest: spontaniczność, szczypta tajemniczości, sporo humoru i happy end.

- Któregoś dnia, po robocie wstąpiłem z kolegami do polskiego sklepu na jakieś drobne zakupy, a Bogusia już tam była. Rozmawiała z koleżanką, która była tam kasjerką. Umawiali się na wspólny powrót do domu, a ponieważ owa koleżanka miała jeszcze trochę obowiązków, to Bogusia



FOT. HALINA GAJDA



FOT. HALINA GAJDA

oświadczyła, że zaczeka w pobliskiej kawiarni - opowiada.

Pierwsze spojrzenie na piękną Polkę wystarczyło, żeby Romanowi zaczęło lekko ścisnąć żołądek. Uznał, że trzeba działać od razu. Wtrącił się więc do rozmowy, że on chętnie jej w tej kawie potowarzysty. Zapomniał tylko o jednym, że koledzy byli mniej romantycznie nastawieni i pojechali do domu. On zaś został w tym, w czym wysiadł z auta. Czyli, bez portfela...

- Poszliśmy na tę kawę, bardzo miło nam się gawędziło. O tym, że nie mam dolara przy duszy okazało się, gdy kelner przyniósł rachunek - wspomina ze śmiechem.

Stało na tym, że Bogusia zapłaciła, a on zapisał jej na serwetce numer telefonu do siebie z zastrzeżeniem, że gdyby kiedyś potrzebowała towarzystwa do małej czarnej - on chętnie się zrewanżuje. On zaś ser-

wetkę schowała, ale do zgłębiania kontaktu, tak od razu się nie rwała. Raz tylko wybrała numer, by sprawdzić, czy rzeczywiście należy do niego. Gdy usłyszała znajomy głos, natychmiast się rozłączyła. Kazała na siebie poczekać.

- Tak naprawdę odezwała się po ponad miesiącu, a ja w odruchu zaskoczenia powitałem ją mniej więcej takimi słowami: no wreszcie znalazła się moja zguba - dodaje wesoło.

Połączenie lokalnej historii i marzeń

A jaka jest historia kobylańskiego zamku? To swoisty konglomerat lokalnej historii, wyboru żony, własnych marzeń. Wszak jak wieść niesie, Roman Hajduk w dzieciństwie marzył o własnym zamku. Później, gdy już trochę odrósł, a właściwie dorósł i wziął się z życiem za bary, chciał stworzyć muzeum myślistwa. I tutaj jest

miejsce na wspomnianą historię. Wielopolscy zbudowali w Kobylance dwór, w dawnych czasach powszechnie zwany zamkiem. Jego wygląd opisał Jan Benisz w pracy „Sanktuarium Jezusa Ukrzyżowanego w Kobylance”.

- Zamek rodu Wielopolskich zbudowany był niedaleko dzisiejszego kościoła z kamienia i drewna. Posiadał skrzydła parterowe z małą nadbudową w środku frontu z trzema wielkimi oknami i małym tarasem, podpartym czterema słupami kamiennymi. Otoczony był murem kamiennym z jedną basztą w kształcie wieży. Wnętrze zamku zawierało kilkanaście małych sal po kilkadziesiąt kroków długości. Ściany ozdobione były obrazami przedstawiającymi chwałę polskiego oręża i sławnych mężów z rodu Wielopolskich. Po prawej stronie zamku mieściła się kaplica, w której odbywały się nabożeństwa dla rodziny Wielopolskich, zarządców, służby folwarcznej i ludności okolicznej - czytamy.

Hajdukowi zamarzyło się, że połączy własne marzenie z szczyptą historii, a opis nieistniejącego dworu będzie kanwą, na której powstanie projekt jego zamku. Jak sam przyznaje, miał w głowie wiele pomysłów. Czasem w pracy, w wolnych chwilach projektował różne jego wersje. A później pytał żonę, który jej się najbardziej podoba. Ona patrzyła, kręciła głową, machała ręką, że żaden.

- Aż w końcu trafiłem w jej gust - opowiada. - I pokazała: ten.

Skoro wybór został dokonany, trzeba było brać się za realizację. Żona była w lekkim szoku, bo chyba nie przewidywała, że szanownemu małżonkowi przejście od słów do czynów zajmie tam mało czasu. Ona zaś wybór żony uznała, że rozkaz. Budowa się zaczęła.

- Trwała mniej więcej siedem lat - wspomina. - Trochę działo się na telefon, sporo doglądali moi rodzice. Ostatecznie w 2010 roku uznaliśmy, że wracamy i zaczynamy spokojne emeryckie życie - dodaje.

ŁUDZIE DRUHOWIE OSP SĄ WYSZKOLENI I PRZYGETOWANI DO DZIAŁANIA

Strażacy ochotnicy filarem bezpieczeństwa. Zawsze gotowi do akcji

Lech Klimek
Gorlice

System ratowniczy w powiecie gorlickim w dużej mierze opiera się na współpracy strażaków zawodowych z ochotnikami. Jednostki Ochotniczych Straży Pożarnych od lat stanowią ważny element zabezpieczenia mieszkańców, szczególnie w regionie o trudnym ukształtowaniu terenu i rozproszony zabudowie.

Na terenie powiatu gorlickiego funkcjonuje rozbudowana sieć OSP, z których część została włączona do Krajowego Systemu Ratowniczo-Gaśniczego. Ich działalność opiera się na porozumieniach zawieranych z samorządami i Państwową Strażą Pożarną, a przynależność do systemu nie jest dana raz na zawsze - podlega okresowej weryfikacji.

Jak podkreśla komendant powiatowy PSP w Gorlicach, Waldemar Krok, kluczowe znaczenie ma nie tylko formalny status jednostki, ale jej rzeczywista zdolność do podjęcia działań ratowniczych.

- Najważniejszym kryterium oceny jednostek OSP jest ich realna gotowość operacyjna. Nie ograniczamy się wyłącznie do analizy dokumentów. Sprawdzamy, czy dana jednostka faktycznie jest w stanie bezpiecznie i skutecznie prowadzić działania ratownicze - zaznacza komendant.

Regularne kontrole i alarmy próbne

Komenda Powiatowa PSP w Gorlicach regularnie prowadzi analizy zabezpieczenia operacyjnego całego powiatu. Pozwala to ocenić, czy rozmieszczenie sił i środków jest wystarczające oraz gdzie potrzebne jest dodatkowe wsparcie sprzętowe lub szkoleniowe.

Jednym z elementów takiej oceny są inspekcje gotowości operacyjnej. W ich trakcie strażacy sprawdzają stan techniczny pojazdów pożarniczych i sprzętu ratowniczego, wyposażenie indywidualne strażaków, a także aktualność badań



Strażacy OSP biorą udział w manewrach, żeby przećwiczyć swoje umiejętności

lekarskich, poziom wyszkolenia druhów oraz dokumentację operacyjną. Weryfikowana jest również faktyczna dyspozycyjność ratowników. Dodatkowo organizowane są niezapowiedziane alarmy próbne, które pozwalają sprawdzić, w jakim czasie jednostka jest w stanie wyjechać do zdarzenia.

Jak podkreśla komendant Waldemar Krok, ma to szczególne znaczenie w powiecie o specyficznych warunkach terenowych. - W regionie górskim, przy rozproszonej zabudowie i dużych odległościach, niezwykle ważna jest przewidywalność działań. Musimy mieć pewność, że po zadysponowaniu jednostka wyjedzie w wymaganym czasie i w składzie, który pozwoli bezpiecznie prowadzić akcję ratowniczą - wyjaśnia.

Trzy filary systemu ratowniczego

System ochrony przeciwpożarowej w powiecie gorlickim ma charakter trójstopniowy. Tworzą go jednostki Państwowej Straży Pożarnej, jednostki OSP włączone do Krajowego Systemu Ratowniczo-Gaśniczego oraz jednostki OSP pozostające poza systemem.



Wiosną druhowie OSP najczęściej wyjeżdżają by gasić pożary traw, które mimo apeli wzniciają mieszkańcy



Usuwanie skutków intensywnych opadów śniegu czy wichur, jak połamane drzewa, to także zadanie dla OSP



W Wielki Piątek tradycyjnie druhowie OSP pełnili warty przy grobie pańskim w wielu kościołach w regionie

Podstawę zabezpieczenia operacyjnego stanowią strażacy PSP oraz ochotnicy działający w ramach KSRG, którzy utrzymują najwyższy poziom gotowości i są najczęściej dysponowani do zdarzeń. Jednostki spoza systemu również odgrywają istotną rolę, zwłaszcza podczas długotrwałych działań lub akcji o większej skali.

Strażacy podkreślają jednocześnie, że obecna struktura systemu nie powoduje fałszywego poczucia bezpieczeństwa, ponieważ jest realna gotowość jednostek, a plany dysponowania sił i środków dostosowywane są do ich faktycznych możliwości.

W każdej gminie jednostka systemowa

Istotnym elementem organizacji systemu jest to, że w każdej gminie powiatu gorlickiego działa przynajmniej jedna jednostka OSP włączona do KSRG. To ona odpowiada za utrzymanie wysokiego poziomu gotowości operacyjnej i zapewnienie mieszkańcom możliwości uzyskania pomocy w możliwie najkrótszym czasie.

Docelowo pierwsze siły ratownicze powinny docierać na miejsce zdarzenia w ciągu około piętnastu minut i być przygotowane do prowadzenia podstawowych działań ratowniczych, obejmujących między innymi ratownictwo techniczne, działania chemiczne w podstawowym zakresie, ratownictwo wysokościowe, wodno-lodowe oraz działania poszukiwawczo-ratownicze.

Strażacy nie tylko do gaszenia pożarów

Specyfika powiatu gorlickiego sprawia, że część jednostek rozwija również dodatkowe kompetencje. Dotyczy to przede wszystkim ratownictwa wodnego i działań przeciwpożarowych przy długotrwałych akcjach czy zabezpieczania zdarzeń o charakterze masowym.

Takie profilowanie jednostek, jak podkreślają strażacy,

pozwala lepiej dopasować potencjał ratowniczy do rzeczywistych zagrożeń występujących w regionie.

Nowoczesny sprzęt i system alarmowania

Jak podkreślają strażacy, ochotnicze jednostki w powiecie gorlickim są dziś dobrze przygotowane do realizacji zadań ratowniczych. Druhowie dysponują nowoczesnymi samochodami ratowniczo-gaśniczymi oraz specjalistycznym sprzętem. We wszystkich jednostkach funkcjonuje także system selektywnego alarmowania, który znacząco skraca czas powiadomienia ratowników i mobilizacji sił do wyjazdu.

Prowadzony jest również szeroki program szkoleń dla członków jednostek operacyjno-technicznych. Obejmuje on zarówno kursy podstawowe dla nowych strażaków, jak i szkolenia specjalistyczne z zakresu ratownictwa technicznego, działań przeciwpożarowych, kwalifikowanej pierwszej pomocy czy obsługi sprzętu specjalistycznego. Regularnie organizowane są także ćwiczenia i manewry międzygminne.

Współpraca na wysokim poziomie

Współpraca pomiędzy strukturami Ochotniczych Straży Pożarnych a Państwową Strażą Pożarną w powiecie gorlickim oceniana jest jako bardzo dobra i opiera się na partnerstwie oraz wspólnym planowaniu rozwoju systemu.

- Jednostki OSP są niezbędnym elementem systemu bezpieczeństwa powiatu. Ich zaangażowanie, dyspozycyjność i chęć ciągłego podnoszenia kwalifikacji sprawiają, że system ratowniczy funkcjonuje stabilnie i skutecznie - podsumowuje komendant powiatowy PSP w Gorlicach, Waldemar Krok.

Dzięki współpracy zawodowych i ochotniczych strażaków mieszkańcy powiatu gorlickiego mogą liczyć na szybką i profesjonalną pomoc w sytuacjach zagrożenia.

czasami dostawało się od dziadków grę, z którą nie za bardzo wiadomo było co zrobić - żartuje duchowny. - No, ale przecież rozpakowywało się ją z uśmiechem, instalowało i grało, prawda?

Ksiądz dr Paweł Rybka ma 34 lata, aktualnie służy w bydgoskiej parafii św. Maksymiliana Kolbego. Przedstawia się po prostu jako moderator Ruchu Światło-Życie w diecezji bydgoskiej.

Tę historię można też zacząć inaczej: Józef ma 19 lat i posiada niezwykle dar. Trochę jak superbohater, ale taki bez trykotów. No, chyba że to jakaś nowa postać z uniwersum Marvela, tylko nosząca się „po cywilnemu”. Żadnych peleryn, żadnych masek. Ta jego supermoc to umiejętność naprawiania urządzeń. W ogóle wiele w nim z MacGyvera (dla wielu mileniśców był to serial niemal formacyjny). Przywrócił do stanu użyteczności ekspres do kawy, kosiarkę i... Właściwie nie tylko urządzenia. Złamane serce też. Choćby serce jego siostry, która właśnie rozstała się z chłopakiem. Józef jest ministrantem i wrócił do domu na wsi na wakacje. Jego tata właśnie kończy pisanie powieści sensacyjnej, a Józef jeszcze nie wie, jaka przygoda go wkrótce czeka.

To wprowadzenie do fabuły nowej gry, zatytułowanej „The Altar Boy Adventures”. Po polsku można ją przetłumaczyć jako „Przygody ministranta”. Gra dopiero co ukazała się w wersji demo na platformie Steam. Napisał ją właśnie Paweł Rybka.

Programista został księdzem czy ksiądz programistą?

- Księża mają różne pasje i hobby. Jest taki ksiądz w diecezji pelplińskiej, Tomek Borek, który robi gry planszowe. Kolega ze studiów, Indonezyjczyk, obecnie też ksiądz, w każdy weekend wyjeżdżał w góry się powspinać. Każdy potrzebuje jakiegoś odskoczni - mówi ks. Rybka. - Ja z kolei jestem po mat-infie w liceum, chciałem potem iść na studia informatyczne, ale poszedłem do seminarium, bo tak mnie Pan Bóg prowadził. Pasja jednak została. Przedtem robiłem strony internetowe i grafiki. Programowałem jeszcze w Pascalu.

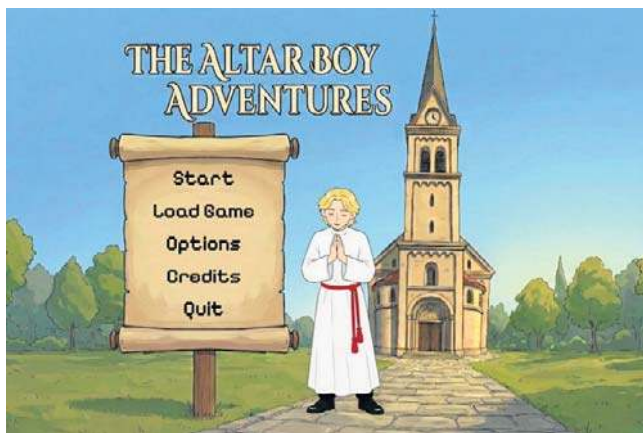
Na uwagę, że w tamtych latach na informatyce w szkole uczono obsługi nakładki systemowej Norton Commander, ksiądz uśmiecha się: - No, w Nortonie to trzeba było umieć komendy. To było. A jeszcze pamiętam, jak mieliśmy dyskietki. Kiedy jakiś steronnik zajmował trzy nośniki, a jeden źle się załadował, to trzeba było zacząć instalowanie od początku. Łatwo nie było.

Ta rozmowa mileniśców, księdza i dziennikarza, dzieci

PROGRAMISTA W SUTANNIE, CO NIE BOI SIĘ AI

- Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie grałem w Counter Strike'a - mówi bydgoski ksiądz Paweł Rybka. Śmieje się, kiedy rozmawiamy o grach. I o tym, jak dzieciaki lat 90. spędzały święta. Wiadomo, grało się nawet nocami. Z rodzeństwem, z kuzynem. Bo, jak inaczej? Skoro często prezentami też były gry

Maciej Czerniak



Bohaterem gry jest ministrant Józef



Gracz ma do rozwiązania też życiowe problemy

Neostrady (usługi jednego z operatorów, z której korzystanie stało się niemal pokoleniowym doświadczeniem), zaczyna przypominać konwersację boomerów. A nie tak miało być. Miało być na poważnie.

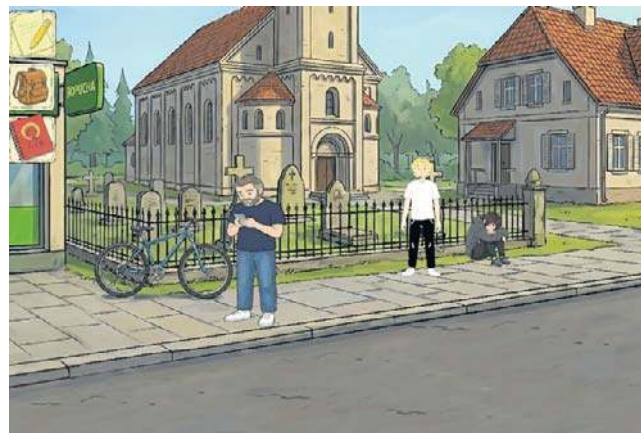
I znów wspominki. Święta też często spędzało się przy komputerze, na graniu z rodzeństwem, kuzynostwem. - Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie grałem w Counter Strike'a - mówi bydgoski ksiądz.

Solo dev w sutannie osiadł AI

Krótką notką o autorze gry: Urodzony w 1992 roku w Bydgoszczy, absolwent VIII LO, później bydgoskiego Wyższego Seminarium Duchownego. Święcenia kapłańskie w 2017

roku, potem Studia Specjalistyczne w Rzymie z zakresu Historii Kościoła oraz Historii Sztuki - ukończone w 2021. Tworzy internetowy kanał na YouTube „Pajda Chleba” z rozważaniami, jest animatorem oazowym, obecnie moderatorem wspomnianego ruchu diecezjalnego. Prowadził też rozmowy z dziećmi w emitowanym w telewizji programie „Bliżej Nieba”.

- Często mówimy, że świat jest zły, internet jest zły, a tak naprawdę to jedna z tych przestrzeni, w której młodzież czuje się jak w domu. Warto przez to narzędzie dotrzeć do młodych ludzi, a przynajmniej warto próbować - mówi ksiądz Rybka. - Wiem, że dla młodych influencerzy stają się punktami odniesienia. Właściwie nie ma



Rozgrywka w „The Altar Boy...” osadzona jest na wsi



Twórca gry, ksiądz dr Paweł Rybka

już w ich słowniku terminu „autorytet”. To słowo się zastarzało. Z drugiej strony, mówimy tak o młodych, a czy sami jeszcze potrafimy wskazać, kto jest dla nas autorytetem?

- Jeszcze kilka lat temu, jako kleryk, byłem na bieżąco z czołowymi youtuberami. Wiedziałem, kim jest Friz i inni z Instagrama czy TikToka. Teraz już sam się w tym gubię. Tego jest po prostu za dużo - zauważa.

Oczywiście, zaznacza, jest wiele dzieciaków, które nie zamierzają się w swoim pokoju z telefonem w ręce. - Są dzieciaki z różnymi pasjami. I nie mówię tylko o tych, które wybierają się na wyjazdy oazowe. Co do zasady, jednak z nadużywaniem technologii wśród młodzieży jest problem. - My, dorośli powinniśmy próbować

dotrzeć do nich. A to trudne, by przekaz dorosłych, rodziców, ale i księży, był tak atrakcyjny, jak to, co oferuje YouTube.

Ksiądz podjął próbę i - spełniając też swoje dziecięce marzenie - napisał oraz udostępnił grę w internecie. - Programowanie to też pasja. Sam to uwielbiam i choć nie jestem zawodowym programistą ani elektronikiem, to kocham zabawę w te rzeczy.

Grę „The Altar Boy...” napisał jako „solo dev”, czyli niezależny twórca. Tak to się określa w przemyśle gamingowym. Dzieło jest jednak przedstawiane jako produkcja wytwórni KsRybkaStudio. W informacji o autorze, dostępnej w menu głównym, czytamy: „Ta gra to dowód na to, co można stworzyć, łącząc ludzką

kreatywność z potęgą sztucznej inteligencji (AI), która wspierała mnie na każdym etapie produkcji”. Od grafik 2D po optymalizację kodu.

Pierwszy święty od routera

Ksiądz tworząc grę, sam jeszcze uczy się pracy przy użyciu silnika Godot (języka programowania). Jak sam zaznacza, gracz wciela się w postać głównego ministranta, który w wolnym czasie jest lokalną „złotą rączką”. Rozgrywka to miks przygodówki i logicznych minigier. Z jednej strony, gracz naprawia domowe sprzęty (jedno z zadań to układanie ścieżek elektronicznych), z drugiej - przygotowuje zakrytę do mszy.

- To, generalnie, tzw. point clicker. Kiedyś takich gier powstawało dużo. Grałem w „Hopkins FBI”, „Syberię” - wymienia. Wspomnieć można o innych podobnych, jak „The Secret of Monkey Island”, „Indiana Jones”. Wśród wirtualnych „itemów”, czy „artefaktów” gracz odnajduje m.in. plakat z postacią św. Carlo Acutisa, pierwszego milenialisa na ołtarzach, który sam był komputerowym geekiem. Warto wyjaśnić, że zmarłego w wieku 15 lat Acutisa papież Leon XIV kanonizował we wrześniu 2025 roku. Chłopak tworzył strony internetowe, dokumentujące cuda eucharystyczne. Poza tym był typowym nastolatkiem - grał na Playstation, nagrywał filmiki na YouTube. Jest nazywany „bożym influencerem”.

- Dedykuję wiele dzieł, jakie podejmuję. Przypomina mi się taki mem, który mi przysłał kiedyś kolega: Jak się zabezpiecza sieci internetowe w naszej słowiańskiej sferze? Zdjęcie: Zwój kabli ethernetowych z doczepioną ikoną Matki Bożej - opowiada ks. Rybka. - Wierzę, że to byłaby też droga, którą on by nam dzisiaj pokazywał. Zachwygam się za każdym razem, kiedy myślę o tym młodym człowieku, który w latach dwutysięcznych tworzył strony internetowe o cudach. Warto pamiętać, że wszystkie rzeczy, które mamy, cała ta technika, komputer, internet to są narzędzia. One są czymś obojętne moralnym, ale od nas zależy, jaką im wartość nadamy. Czy one będą nam służyć, czy my im będziemy służyć. Tego my się cały czas uczymy.

Demo gry na Steamie jest bezpłatne. Ksiądz liczy na uwagi i komentarze, jak można rozwinąć rozgrywkę. „The Altar Boy...” jest w trzech językach: polskim, angielskim i włoskim. Wersja demonstracyjna miała jak dotąd około 1700 pobrań. Pełna wersja będzie płatna?

- Jeszcze nie wiem. Jeśli tak, to może w cenie BigMaca. Żeby nie było szkoda - żartuje. ©©

RADEK I ERYK ROBIĄ TO W MGNIENIU OKA, ZAJMUJE IM TO... SEKUNDY

Rekordziści w układaniu kostki Rubika uczą się w liceum w Tarnowie!

Paweł Chwał
Tarnów

Dla Radka i Eryka - uczniów II Liceum Ogólnokształcącego w Tarnowie ułożenie całej kostki Rubika to kwestia sekund. Radek dodatkowo nie ma sobie równych w kraju w tej, cieszącej się znowu ogromną popularnością logicznej grze zręcznościowej, w konkurencji polegającej na układaniu tradycyjnej kostki... jedną ręką. Eryk sięgnął po tytuł Mistrza Polski w konkurencji „Clock”.

Radosław Marcinek pochodzi z Lubczy. Kostkę Rubika w klasycznym układzie 3x3x3 zaczął układać pięć lat temu. Nastąpiła akurat pandemia, nauka odbywała się zdalnie, a on w związku z tym więcej czasu spędzał w domu.

Kostka Rubika stała się dla niego alternatywą dla spędzania czasu przed komputerem czy ze smartfonem w ręce.

W świecie speedcubingu

- Trochę z nudów, a trochę z ciekawości wziąłem kostkę do ręki i zacząłem zastanawiać się nad tym, jakie ruchy należy wykonać, aby ułożyć chociaż jedną ściankę, a później kolejne. Z czasem coraz mocniej mnie to wciągnęło - przyznaje piętnastolatek.

Z pomocą w opanowaniu technik układania kostki i stosowaniu odpowiednich algorytmów przyszedł... internet oraz cenne porady i liczne filmiki, umieszczane w sieci przez entuzjastów tej logicznej gry zręcznościowej, wymyślonej przez Erno Rubika blisko pół wieku temu.

Na rynku dostępnych jest obecnie kilkadziesiąt rodzajów kostek o różnych kształtach, ale Radek jest fanem tradycyjnej (3x3x3).

Po przetarciu w turniejach on-line, postanowił spróbować swoich sił w realu i od razu było to spektakularne wejście

do świata speedcubingu. Z debiutanckich zawodów w Jaśle w 2022 roku wrócił opromieniony sławą, plasując się w ścisłej czołówce na świecie w kategorii debiutantów i na pierwszym miejscu w historii polskich nowicjuszy.

W tym samym roku sięgnął po tytuł wicemistrza Polski, aby na następnych mistrzostwach sięgnąć po tytuł najlepszego kostkarza w kategorii 3x3x3. W finale pokonał wtedy wieloletniego dominatora w tej konkurencji - Tymona Kolańskiego, uzyskując średnią z pięciu prób - 6,54 s, o jedną setną lepszą od faworyta mistrzostw.

Ułamki sekund

Radek stale podnosi sobie poprzeczkę. Najlepszy jego czas w ułożeniu całej kostki, osiągnięty na oficjalnych zawodach, to... 3,96 s, co jest drugim wynikiem w kraju i szóstym w Europie.

Od dwóch lat mocno skoncentrował się na trudniejszej

konkurencji, która polega na układaniu kostki nie dwoma, ale jedną ręką. Podczas mistrzostw kraju w 2024 r. zajął trzecie miejsce, a z ubiegłorocznych, rozegranych w Warszawie wrócił z tytułem Mistrza Polski. To właśnie do Radka należy najlepszy wynik w kraju w tej konkurencji - 6,28 s.

- Jestem praworęczny, ale akurat w tym przypadku łatwiej układa się kostkę trzymając ją w lewej ręce. Dużo ćwiczę. To nawet kilka godzin dziennie. Na początku trochę bolało, trzeba było wyćwiczyć palce, ale teraz nie odczuwam już dyskomfortu z tego powodu. Wręcz przeciwnie, jak dłuższą chwilę nie mam kostki w ręce,

Rekordowe wyniki nie biorą się z niczego. Eryk przed mistrzostwami ćwiczył nawet po pięć-sześć godzin dziennie

to dziwnie się czuję, brakuje mi tego - przyznaje Radek.

W klasycznej formule (3x3x3 dwoma rękami) mistrzostwa ukończył z brązowym medalem ze średnią 5,72 s.

O tym, że kostka Rubika przeżywa swój renesans świadczą najlepiej zawody, które organizowane są w całej Polsce. Biorą w nich udział setki osób, przede wszystkim dzieci i młodzież, ale rywalizują z nimi również dorośli. W Mistrzostwach Polski w Speedcubingu (13-16 listopada w Warszawie) wzięła udział rekordowa liczba 333 zawodników. Rywalizacja toczyła się w 17 konkurencjach.

Rubikowe wariacje

Eryk Kasperek z podtarnowskiej Brzozówki podczas mistrzostw również rywalizował w układaniu kostki Rubika, zajmując w generalnej klasyfikacji ostatecznie 26 miejsce. Najlepsze ułożenie Eryka zajęło mu 5,63 sekundy, co jest jego rekordem życiowym na oficjalnych zawodach.

Ale Eryk to przede wszystkim król „Clocka”, czyli nietypowej kostki, w której zadaniem układającego jest ustawienie na wszystkich zegarkach (jest ich w sumie 18, po 9 na jeden i drugiej stronie) godziny dwunastej za pomocą umieszczonych na niej pokręteł i mechanizmów blokujących.

- Zaczynałem od tradycyjnej kostki Rubika. Jeżdżąc na zawody spodobał mi się „Clock” i z czasem mocno wciągnąłem się właśnie w ten specyficzny rodzaj kostki. To jedna z podstawowych konkurencji w Speedcubingu. W jej układaniu decydującą rolę odgrywa logiczne

myślenie - trzeba szybko zanalizować problem i wybrać optymalną strategię, która pozwoli osiągnąć cel w możliwie jak najkrótszym czasie - tłumaczy Eryk Kasperek.

Nastolatek z Brzozówki doszedł w jej układaniu do perfekcji. Podczas zawodów w Warszawie obronił nie tylko tytuł Mistrza Polski, ale ustanowił także nowy rekord kraju. Jedno z ułożeń zajęło mu jedynie 1,90 sekundy!

Dominator w „Clocku”

Eryk dużo startuje w zawodach odnosząc sukcesy nie tylko w kraju, ale również za granicą. W lipcu ub.r. reprezentował Polskę podczas Mistrzostw Świata w Seattle w Stanach Zjednoczonych, zajmując w stawce kilkuset zawodników siódme miejsce.

- Cieszę się z tego wyniku, ale mimo wszystko odczuwam pewien niedosyt. Gdyby nie jeden błąd i chwila zawahania to mogłem wrócić z mistrzostw z medalem. W układaniu kostki na czas, również „Clocka”, zwłaszcza na zawodach trzeba być mocno skupionym. Często o wygranej decydują bowiem szczegółowe i setne sekundy. Mnie „zjadła” trema, wiedziałem bowiem o tym, że gra toczy się o wielką stawkę - mówi Eryk Kasperek.

Jego wielkim kibicem jest tata Zbigniew.

- Każdy, kto choć raz kiedyś wzięła kostkę do ręki przyzna z pewnością, że to wielka sztuka jest ułożyć jedną, dwie ścianki, a co dopiero wszystkie naraz. Podobnie wygląda sprawa w „Clocku”. Osiągane przez najlepszych rekordowe wyniki, wynoszące dwie, trzy, cztery sekundy nie biorą się z niczego. Poprzedzone są godzinami treningów i przygotowań w domu. Eryk przed mistrzostwami ćwiczył nawet po pięć-sześć godzin dziennie - przyznaje Zbigniew Kasperek.

Stolica speedcubingu

Eryk jest starszy od Radka o rok. Poznali się podczas zawodów i zaprzyjaźnili ze sobą. Obaj chodzą w tym momencie do II LO w Tarnowie - Eryk do drugiej, a Radek do pierwszej klasy.

Jak mówią, w Tarnowie i regionie coraz więcej osób układa kostkę Rubika, ale wciąż brakuje u nas zawodów dla entuzjastów tego typu logicznych gier i łamigłówek zręcznościowych.

Najbliższej Tarnowa - zawody speedcubingowe rozgrywane są cyklicznie w Dębicy. Przy tamtejszym II LO prężnie działa m.in. Klub Kostki Rubika. Eryk i Radek myślą o tym, aby podobną inicjatywę przyczepić na grunt tarnowski.

Z Tarnowa pochodzi także Maciej Skowroński, który ma na swoim koncie rekordy Polski i tytuły mistrzowskie w „Clocku”.



Eryk Kasperek (na zdjęciu z lewej) i Radek Marcinek to stali bywalcy zawodów speedcubingowych. Systematycznie odnoszą na nich sukcesy

FOT. PAWEŁ CHWAŁ

Niezwykła tradycja Dziadów Śmiguśnych

Klaudia Kulak
Dobra

W Dobrej koło Limanowej w Poniedziałek Wielkanocny pojawiają się postacie owinięte słomą, wydające jedynie gardłowe dźwięki.

To tzw. Dziady Śmiguśne - bohaterowie jednej z najbardziej widowiskowych form ludowego „wielkanocnego kolędowania”. Choć dla przyjezdnych może to być zaskakujące widowisko, dla mieszkańców to element tożsamości.

Najbardziej przejmującym jest sposób komunikacji dziadów. Nie mówią - wydają jedynie bełkotliwe, gardłowe dźwięki: „uha”, „wrr”, „turkot”. Według legendy ma to swoje źródło w dramatycznych wydarzeniach z 1259 r., kiedy to najazd tatarski

dotarł na te tereny. Jeńcom, którzy przeżyli, odcięto języki, by nie mogli opowiedzieć o dokonanych zbrodniach. Pozbawieni mowy, okryci słomą dla ochrony przed zimmem, mieli błąkać się po okolicy. To właśnie ich los upamiętniają Dziady Śmiguśne.



FOT. GOK DOBRA



FOT. GOK DOBRA



FOT. GOK DOBRA



FOT. GOK DOBRA



FOT. GOK DOBRA



FOT. GOK DOBRA



FOT. GOK DOBRA

Gazeta Tarnowska

Gazeta Krakowska

TYGODNIK
Brzesko-Bochnia



SPORT
**ALEKSANDRA
I NATALIA
KAŁUCKIE ZNÓW
NA PODIUM
MISTRZOSTW
POLSKI WE
WSPINACZCE!**
str. 7

www.gazetakrakowska.pl

TARNÓW

Prababcia i wujek byli krawcami. Teraz kolekcja mody od Oli zawojowała prestiżowy konkurs

Uczennica szkoły Szczepanika sama zaprojektowała, a potem uszyła wyjątkowe kreacje **str. 3**



TUCHÓW



Matka Boża z Lipowego Wzgórza odśłania swoje dawne oblicze

Liczący około pięćset lat wizerunek Matki Bożej Tuchowskiej był wielokrotnie zmieniany **str. 5**

TARNÓW

Egzamin na prawo jazdy zdał za... 139 razem! Co sprawiło kłopot przyszłemu kierowcy? **str. 2**

INTERWENCJA

Spacer po osiedlu Kolejowym? Po zmroku to tylko z latarką! Latarnie przy kilku ulicach zgasty i nikt awarii nie naprawia **str. 3**

TARNÓW

To ma być patent na tańsze paliwa. Reaktywacja miejskiej stacji MPetrol coraz bardziej realna **str. 4**

TARNÓW

Nagroda Fryderyka dla Tarnowian? Młodziutki zespół znalazł się wśród nominowanych **str. 4**

Andrzej Skórka



Kampania wisi w powietrzu

Wiosna co prawda aktualnie nieco przygasła, ale już czytam prognozy długoterminowe o 30-stopniowym skwarze jeszcze w kwietniu. Ale co tam pogoda! W polityce temperatura też już zwyzkuje. Wszak półtora roku do wyborów minie jak z bicza strzelił.

Punktem rozpalającym głowy politykom ostatnio stały się Azoty. Zaraz po tym, jak prezes spółki na sejmowej komisji wytknęła mościckiej fabryce, że jest najmniejszą w grupie i w ogóle to Tarnów został siedzibą Grupy Azoty z konieczności. Momentalnie rozbudził lęki o zerwanie więzi giganta polskiej chemii z miastem. Giganta wprowadźcie teraz na glinianych nogach, ale który kiedyś okrzepnie i podałyby finansową kroplówkę miastu w którym odprowadza podatki.

No więc w poniedziałek w Mościcach gromy na prezesa i rząd ciskała ekipa działaczy PiS różnego szczebla, na czele z europosem z Nowego Sącza. Gwoli ścisłości dodać muszę, że swoje niepokoje w tej samej grupce wyrażali związkowcy i to niekoniecznie sympatyzujący z prawą stroną politycznego teatru.

We wtorek prezes w asyście posła rządzącej koalicji i prezydenta miasta przed budynkiem dyrekcji Azotów odkręcał famę o rychłych przenosinach. W dość jednak oryginalny sposób, bo stwierdził, że nie będzie mówił, iż przenosin nie będzie, bo nigdy nie powiedział, że przenosiny będą. I kropka. Proste?

Będzie się działo. No co działaczom KO marzy się w przyszłorocznych wyborach o jeden mandat poselski więcej niż obecnie, a ci z PiS najchętniej dodaliby dodatkowy sobie, najchętniej kosztem KO właśnie. Ale nie zapominajmy jeszcze o Władysławie Kosiniaku-Kamyszu. Ten z kolei przyjął inną strategię - nie protestuje, nie protestuje, tylko od początku obiecuje. Szczu-cinkę, zamówienia na „potwora z Tarnowa”, nowe jednostki wojskowe. Bo wiadomo, że gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta. To będzie długi serial. Idę kupić popcorn.

BOCHNIA

Spotkanie z podróżniczką

Jeszcze dziś o godz. 18 w Muzeum im. Stanisława Fischera Bochni odbędzie się spotkanie ze znaną podróżniczką, zdobywczynią Korony Ziemi i czterech ośmiotysięczników. Monika Witkowska weszła m.in. na Mount Everest i K2, ale z plecakiem przemierzyła również ponad 180 krajów!

Jest autorką kilkunastu książek górskich, żeglarskich i podróżniczych. Na koncie ma też trzykrotne opłynięcie Przylądka Horn i arktyczną trasę z Grenlandii do Alaski. Jak mówi, w Himalajach czuje się jak w swoim drugim domu. Podczas spotkania opowie nie tylko o swoich wyprawach, ale również o motywacji, spotkanych po drodze ludziach oraz momentach dramatycznych. (PAMI)

TARNÓW

Bazarek i wyprzedaż z bagażników

W niedzielę na Burku w Tarnowie kolejna edycja Bazaru na tarnowskiej Starówce. Na placu nie zabraknie staroci, rękodzieła, książek, zabawek, ubrań, błyskotek, aż po domowe przetwory. Równolegle Rada Osiedla Starówka zaprasza na Plac Łazienny obok na wyprzedaż z bagażników. To najnowszy

pomysł społeczników, który spotkał się z dużym zainteresowaniem ze strony mieszkańców. Przy ul. Łaziennej będzie można znaleźć m.in. sprzęt AGD, meble, narzędzie ogrodnicze i wszystko to, co tylko zmieści się do bagażników samochodów. Początek wyprzedaży o godz. 9. (KOMA)

Dziewięć lat zdawał egzamin na prawo jazdy. Udało się dopiero za... 139 razem!

Paulina Marcinek-Kozioł
Tarnów

Kandydat na kierowcę w Małopolskim Ośrodku Ruchu Drogowego w Tarnowie do egzaminu teoretycznego podchodził aż 139 razy. Z praktyką poradził sobie za drugim podejściem!

Młodemu mężczyźnie zdającemu teorię w tarnowskim MORD do absolutnego rekordzisty Polski, który 163 razy próbował uporać się z egzaminem teoretycznym, niewiele brakowało.

Rekordzista z regionu tarnowskiego do zaliczenia wiedzy teoretycznej podchodził aż 139 razy. I więcej już nie będzie, bo ta ostatnia próba, w połowie marca tego roku zakończyła się wynikiem pozytywnym.

Skąd tyle problemów? Jak słyszymy, kandydat na kierowcę nie miał dostępu do wszystkich pytań egzaminacyjnych, a korzystał jedynie z wersji demonstracyjnej testów.

O ile teoria była sporym wyzwaniem, to praktyka rekordzi-



FOT. ARCHIWUM

O ile teoria była sporym wyzwaniem, to praktyka rekordziste nie sprawiła takich kłopotów

ście z tarnowskiego MORD nie sprawiła już tak wielkich problemów.

Miał dwa podejścia. Pierwszy egzamin zakończył się wynikiem negatywnym na placu manewrowym, za to za drugim razem uzyskał wynik pozytywny. W części praktycznej to nawet lepiej mu poszło niż średnia statystyczna - mówi Paweł Gurgul, dyrektor Małopolskiego Ośrodka Ruchu Drogowego w Tarnowie. - Ten przy-

kład doskonale pokazuje, że niekoniecznie ten, który będzie miał problemy z teorią, nie poradzi sobie z jazdą na mieście i nie będzie dobrym kierowcą. Trzeba tę osobę podziwiać naprawdę za determinację, niejedną by dawno by się na jego miejscu poddał - dodaje.

Okazuje się, że egzamin na placu manewrowym jest niemałym problemem dla kandydatów na kierowców zdających egzamin w Tarnowie.

W ubiegłym roku w tarnowskim MORD przeprowadzono ponad 10 tysięcy egzaminów teoretycznych i ponad 16 tysięcy praktycznych. Na kategorię B. 69 procent przystępujących do egzaminu zdało teorię za pierwszym razem, praktykę ponad 45 procent, z tego co czwarta osoba nie wyjechała na miasto, bo nie poradziła sobie z zdaniami na placu manewrowym.

Niedługo jazda między pacholami i namalowanymi liniami czy ruszanie „pod górkę” nie będzie już spędzało sen z powiek kandydatom na kierowców. Rząd planuje zmiany w systemie egzaminów na prawo jazdy. Praktyka na kategorii B ma już nie być prowadzona na placu manewrowym.

- Dostrzegamy minusy jak i plusy tego pomysłu. Tych ostatnich jest zdecydowanie więcej. Sporo osób uczy się placu na pamięć i jeździ automatycznie. Przy okazji marnuje co najmniej dziesięć godzin, żeby się tego wszystkiego nauczyć - mówi dyr. Gurgul. - Sądzę, że likwidacja placu spowoduje wzrost zdawalności. ©@

ZACHWYCAJĄCA MAGNOLIA!



FOT. PAWEŁ CHWAŁ

Idealnie na święta zakwitła reprezentacyjna tarnowska magnolia, która rośnie na skwerze przed siedzibą Poczty Głównej przy ulicy Mickiewicza. Tarnów na kilka dni zyskał przepiękną, naturalną atrakcję. To trzeba zobaczyć, a przy okazji zrobić sobie przy niej zdjęcia! To jeden z najbardziej okazałych krzewów magnolii w Tarnowie, który sięga już trzeciej kondygnacji pobliskiego gmachu poczty. W tym roku roślina zakwitła wyjątkowo intensywnie. (PACH)

Podróż w czasie dzięki wyjątkowej wystawie pamiątek w Muzeum Historii Tarnowa i Regionu przy Rynku

Paweł Chwał
Tarnów

Dawne szyldy reklamowe tarnowskich zakładów, zdjęcia, świadectwa, zeszyty szkolne, przedmioty użytkowe to niektóre z najnowszych nabytków Muzeum Ziemi Tarnowskiej, które prezentowane są właśnie na wystawie.

Tylko w latach 2020-2025, Muzeum Ziemi Tarnowskiej weszło w posiadanie blisko 5 tysięcy nowych obiektów muzealnych, z których ogromna część stanowiła darowiznę osób prywatnych.

- Niejednokrotnie są to cenne pamiątki rodzinne, przechowywane od pokoleń, co

tym bardziej podnosi wartość ofiarowanych obiektów - podkreśla Dorota Lewicka z tarnowskiego muzeum.

Sporą część najnowszych nabytków muzeum można po raz pierwszy publicznie zobaczyć na wystawie, którą zainaugurowano „Gdy przedmiot staje się zabytkiem. Nowości w zbiorach Muzeum Ziemi Tarnowskiej.”

To niezwykła opowieść o przedmiotach związanych z historią Tarnowa i regionu - o rzeczach, które jeszcze niedawno znajdowały się w prywatnych domach, a teraz stały się częścią wspólnego dziedzictwa. Wystawa będzie czynna do 30 sierpnia w Muzeum Historii Tarnowa i Regionu przy Rynku 20-21. ©©

Zjawiskowa kolekcja młodej projektantki wygrała ogólnopolski konkurs mody!

Paweł Chwał
Tarnów

Przygotowane przez Aleksandrę Smutek kreacje nie miały sobie równych w rywalizacji młodych projektantów z całego kraju. Uczennica z Tarnowa zwyciężyła w ogólnopolskim konkursie modowym „Kreacje Prowokacje”.

Na konkurs napłynęło blisko 70 zgłoszeń z całej Polski. Jego tegoroczne hasło brzmiało: „Tulowy look”. W finałowym pokazie, w Radomiu, rywalizowało dziesięciu zaproszonych projektantów.

- Za temat przewodni wybrałam „kobiecość”. W swojej kolekcji chciałam pokazać, że kobiety są bardzo ambitne, zdaniowe i zdecydowane w dążeniu do celu - tłumaczy Aleksandra Smutek. Na konkurs przygotowała trzy różne, choć mające wspólne elementy kreacje.



Kolekcja przygotowana przez Aleksandrę Smutek zrobiła furorę na ogólnopolskim konkursie modowym

Sama je zaprojektowała oraz uszyła.

Laureatka pierwszej nagrody jest uczennicą IV klasy o profilu technik stylisty w Zespole Szkół Ogólnokształcących i Technicznych im. Jana Szczepanika w Tarnowie. To pierwszy jej udział w ogólnopolskim konkursie modowym. Wcześniej projektowała stroje na wydarzenia szkolne.

- Od dziecka się tym interesuję. Mój wujek i moja prababcia byli krawcami, ja też lubię szyć, a przede wszystkim projektować. Chciałabym w przyszłości realizować się w tej pasji - przyznaje.

Udział w wygranej Oli na konkursie w Radomiu miały również: modelki - Anna Królkowska, Julia Mirek i Julia Biga oraz wizażystki: Aleksandra Wolak i Oliwia Wrona, które przygotowały je do pokazu, a także opiekujące się nimi nauczycielki: Anna Bator i Barbara Marek. ©©

TAURON ANI MIASTO NIE KWAPIĄ SIĘ DO USUWANIA AWARII. DLACZEGO?

Uliczny blackout na osiedlu trwa już blisko miesiąc. A światełka w tunelu ani widu

Andrzej Skórka
Tarnów

Mieszkańcy sporej części os. Kolejowego w Tarnowie po zmroku chodzą po omacku albo z latarkami. Zgłaszanie awarii ulicznego oświetlenia nic nie daje. Miasto jej nie usuwa, bo latarnie są własnością Taurona, a Tauron - bo nie ma na to nowej umowy z miastem.

W połowie marca na kilku ulicach osiedla latarnie się nie zaświeciły. Lista przedstawia się następująco: Ogrodowa - cała, Ks. Skorupki - cała, Kassali - cała, Prusa - od skrzyżowania z ul. Św. Katarzyna do skrzyżowania z Ks. Skorupki, Św. Katarzyny - od skrzyżowania z Prusa do końca.

Latarnie bez prądu

- Wyjrzałem przez okno i widzę, nie świecą się. Zgłosiłem awarię do Taurona przez formularz internetowy. Dzień później dostałem informację, że naprawa została przeprowadzona z podjętowaniami za zgłoszenie. Ale była też adnotacja, że Tauron nie ma umowy z miastem - mówi jeden z mieszkańców os. Kolejowego w Tarnowie.

Awaria nie została usunięta, mimo że zgłoszenia były nie tylko indywidualne. Sygnały od mieszkańców otrzymywała także rada osiedla, skargi napływały do Zarządu Dróg i Komunikacji.

- Brak oświetlenia może prowadzić do zwiększonej liczby kradzieży, zagrożenia dla pieszych oraz wzrostu potencjalnych wypadków komunikacyjnych - wyliczają mieszkańcy. - Co istotne, oświetlenie nie działa również przy ulicy Księdza Skorupki w bezpośrednim sąsiedztwie szkoły podstawowej! Stwarza to bardzo duże zagrożenie dla dzieci, nie każde dziecko jest wyposażone w latarkę, czy telefon komórkowy, przez to dzieci są narażone na bezpośrednie zagrożenia wynikające z potencjalnych wypadków. Nieoświetlona droga do szkoły znacząco obniża bezpieczeństwo najmłodszych.

ZDiK okazał się w tej sprawie równie bezsilny jak oni.

Jak nie wiadomo o co chodzi...

Niesprawne latarnie są własnością spółki Tauron Nowe Technologie. Ta jednak ani nie usuwa awarii, ani nie podaje



Tak wyglądają po zmroku ulice na osiedlu, gdzie wysiadło oświetlenie uliczne

informacji o jej przyczynie. Powód? Z końcem roku wygasła umowa miasta z energetykami, na utrzymanie ulicznego oświetlenia.

„Spółka nie wyraża zgody na podpisanie nowej umowy na warunkach cenowych będących cenami rynkowymi i wymusza na Gminie Miasta Tarnowa opłaty będące mniej więcej dwukrotnością tych, jakie miasto ma zapisane w umowie na utrzymanie oświetlenia będącego własnością Gminy Miasta Tarnowa” - czytamy w piśmie z ZDiK do Rady Osiedla Krakowska.

Miasto ma związane ręce, bo w tej sytuacji nawet w własnym zakresie i na własny koszt nie może usunąć awarii ulicznego oświetlenia.

- Jesteśmy wciąż na etapie negocjacji zapisów nowej umowy z firmą Tauron - mówi Maciej Włodek, zastępca prezidenta Tarnowa.

Do światła nic się w materii umowy nie zmieniło. Gracjan Respondek, rzecznik prasowy Tauron Nowe Technologie, dodaje, że negocjacje rozpoczęły się przed końcem minionego roku. - Miasto nie zgadza się na podpisanie takiego dokumentu na warunkach przedstawionych przez naszą spółkę. W tej chwili, nie realizujemy więc żadnych działań związanych z serwisowaniem urządzeń oświetleniowych będących własnością Taurona - dodaje z rozbijającą szczerością.

... to chodzi pieniądze

Magistrat twierdzi, że przeanalizował kwestię kosztów

eksploatacji oświetlenia zarówno latarni w Tarnowie będących własnością samorządu, jak i w sąsiednich gminach.

- Są one prawie o połowę mniejsze niż to, co proponuje nam Tauron. Nie zgadzamy się, żeby Tauron ze swojej pozycji monopolistycznej dyktował nam takie warunki cenowe, czyli mamy pat - mówi wiceprezydent Włodek.

„Przedstawiciele naszej Spółki wielokrotnie jednak wyjaśniali miastu jakie elementy składają się na stawkę przedstawioną wraz z propozycją podpisania nowej umowy. Do tego miasto otrzymało pełną informację o poziomie kosztów, które poniosła Spółka realizując poprzednią umowę oświetleniową. Z tej analizy wynikało jasno, że obsługa oświetlenia na terenie Tarnowa, wedle stawki z poprzedniej umowy, przynosi Spółce realne straty. Dlatego zaproponowana została nowa stawka urealnijająca koszty ponoszone przez TAURON Nowe Technologie z tytułu obsługi sieci oświetleniowej” - czytamy w oświadczeniu TAURON Nowe Technologie. - „(...)nie można porównywać dużego miasta do okolicznych samorządów, w większości większych, gdzie struktura majątku oświetleniowego znacząco się różni. W okolicznych gminach mamy dużo mniejszą ilość zgłoszeń i samych interwencji jest nieporównywalnie mniej. Koszty ponoszone przez naszą Spółkę na terenie miast są wyższe niż w samorządach większych.”

Niekończące się negocjacje

Obie strony sporu zgadzają się co do jednego: do czasu zawarcia nowej umowy takie awarie jak na os. Kolejowym usuwane nie będą. A mogą się zdarzyć także w innych częściach Tarnowa, bowiem większość latarni w mieście jest własnością Taurona.

Wyjątkiem są sytuacje, w których urządzenia mogłyby zagrażać bezpieczeństwu mieszkańców. Tauron zapewnia, że interweniuje bezzwłocznie, gdy dochodzi do zerwania kabli pod napięciem, zabezpiecza urządzenia oświetleniowe po kolizjach drogowych, czy uszkodzenia sieci w wyniku zjawisk atmosferycznych.

- Mamy świadomość, że to sytuacja trudna dla części mieszkańców, dlatego Zarząd Dróg i Komunikacji w Tarnowie otrzymał od nas propozycję zawarcia umowy po tzw. kosztach rzeczywistych. Konstrukcja takiej umowy zakłada, że to ZDiK będzie decydował, które usterki na oświetleniu ulicznym mamy realizować. A TNT będzie otrzymywało do realizacji zlecenia. Czekamy na informację z ZDiK, czy akceptują naszą propozycję. Zaznaczam jednak, że to rozwiązanie doraźne, które w dłuższej perspektywie nie zastąpi właściwej umowy - zastrzega Gracjan Respondek.

- Liczymy na to, że Tauron tutaj wykaże się swoją empatią i również poczuje swoją misję, do której jest powołany i te usterki oświetlenia zostaną usunięte - mówi Maciej Włodek. ©©

W KO już szykują się do kolejnych wyborów

Andrzej Skórka
Tarnów

Poseł Robert Wardzała wygrał wybory na przewodniczącego Koalicji Obywatelskiej w Tarnowie. W powiecie tarnowskim liderem partii został Marcin Kiwior, wójt gminy Skrzyszów.

Wybory w KO w regionie tarnowskim przyniosły jedną zasadniczą nowość - zmianę warty w strukturach powiatowych partii. Po dwóch kadencjach na stanowisku przewodniczącej, w wyborach tym razem nie wystartowała tam posłanka Urszula Augustyn.

Następca został wybrany jednogłośnie - został nim Marcin Kiwior, od 16 lat wójt gminy Skrzyszów i od dłuższego czasu bliski współpracownik Urszuli Augustyn. Deklaruje się jako zwolennik dialogu ponad politycznymi podziałami.

Dał tego przykład choćby ostatnio przy okazji sporu z miastem wokół udziałów w Tarnowskich Wodociągach, gdzie za sojusznika ma wójta gminy Tarnów Grzegorza Ko-

ziola z... PiS. - Trzeba osiągnąć consensus i działać na rzecz kraju, województwa, powiatu czy gminy. Nie wydaje mi się, żeby istniały jakieś dwie różne rzeczywistości. Co więcej, poglądy różnych stron sporu politycznego, nawet tych skrajnych, wbrew pozorom wcale nie są od siebie jakoś strasznie odległe - podkreśla.

W tarnowskiej odnodze KO można mówić o status quo. Po raz czwarty z rzędu bowiem na czteroletnią kadencję przewodniczącym w Tarnowie został poseł Robert Wardzała, były żużlowiec, komentator sportowy, a także przedsiębiorca i były prezes Tarnowskiego Klastera Przemysłowego.

On również był jedynym kandydatem w wyborach, a wszyscy biorący udział w głosowaniu udzielili mu poparcia.

- Naszym celem na najbliższy czas są wybory parlamentarne. Na jaki wynik liczymy? W okręgu to co mamy plus jeden - mówi Robert Wardzała.

Obecnie KO w okręgu tarnowskim w parlamencie ma dwuosobową reprezentację.

Ceny paliw w mieście będą niższe? Coraz bliżej powrotu taniej stacji Mpetrol!

Robert Gąsiorek
Tarnów

Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne zrobiło kolejny krok w kierunku ponownego uruchomienia miejskiej stacji paliw Mpetrol. Spółka ogłosiła przetarg na dostawę paliwa do obiektu. Otwarcie stacji planowane jest na połowę roku.

Wojna na Bliskim Wschodzie wywindowała ceny paliw, a podwyżkę złagodził nieco wprowadzony przez rząd mechanizm ceny maksymalnej.

Kilkanaście lat temu, gdy w Tarnowie ceny benzyny i oleju napędowego zwiększały się w zastraszającym tempie, uruchomiono miejską stację paliw, która działała pod szyldem Mpetrol. W 2009 roku oferowała ceny o kilkanaście groszy niższe niż konkurencja. Z biegiem czasu te różnice stopniały, ale klientów nie brakowało.

W 2024 roku stacja została zamknięta wskutek zmiany przepisów. W ubiegłym roku zarząd MPK zapowiedział, że



FOT. ROBERT GAŚIÓREK

Stacja Mpetrol została zamknięta w lutym 2024 roku. Jej ponowne otwarcie zaplanowane jest w czerwcu

stacja Mpetrol ponownie zostanie otwarta. Zadeklarowano wtedy, że obiekt przy ul. Okrężnej mógłby zostać otwarty w trzecim kwartale 2025 roku. Planów tych nie udało się do tej pory zrealizować.

Spółka nie porzuciła jednak sprawy i wszystko wskazuje na to, że stacja Mpetrol wkrótce znów będzie dostępna dla kierowców. MPK ogłosiło już przetarg na dostawę benzyny i oleju napędowego do sprzedaży de-

talicznej właśnie na stacji przy ul. Okrężnej.

- Zgodnie z naszym planem na ten rok pojawiło się postępowanie na zakup paliw i uruchamiamy stację w połowie roku. Plan jest taki, żeby w czerwcu stację otworzyć - mówi Robert Pacana, prezes tarnowskiego MPK.

Na miejskiej stacji ma być oferowana benzyna oraz olej napędowy. Początkowo planowano, że otwarty na nowo

obiekt będzie działał w formie bezobsługowej, a płatności będzie można wykonywać przy pomocy terminali.

- Jeszcze analizujemy takie rozwiązania, zobaczymy, jakie spłyną oferty postępowaniu przetargowym na nowe dystrybutory. Jak będą te oferty obiecujące, to na pewno taki sposób tankowania bezobsługowy też będzie wdrożony - zaznacza prezes Pacana.

Gdy w 2009 roku pierwszy raz uruchomiono miejską stację paliw, ceny były niższe niż na innych tarnowskich stacjach. Czy po ponownym otwarciu Mpetrol kierowcy też mogą się spodziewać niższych cen za paliwo?

- Taki był zamysł, że stacja miejska i ma być bardziej konkurencyjna od pozostałych. Natomiast ceny reguluje rynek, na chwilę obecną nie powiem, jaka by była cena paliwa na stacji paliw Mpetrol, bo takich analiz jeszcze nie robimy. Wiadomo też, że nie możemy działać na niekorzyść przedsiębiorstwa i ta stacja musi zapewniać jakiś przychód - podkreśla prezes MPK.

Sad Smiles z szansą na Fryderyka!

Paulina Marcinek-Kozioł
Tarnów

Młody tarnowski zespół Sad Smiles ma szansę sięgnąć po prestiżową nagrodę muzyczną. Grupa otrzymała nominację do nagrody Fryderyka w kategorii „Fonograficzny Debiut Roku”!

W Sad Smiles nastroje znakomite, członkowie zespołu wciąż nie dowierzają, że zostali nominowani do Fryderyka! Co prawda sami zgłosili się do rywalizacji o najbardziej prestiżowe nagrody muzyczne, ale zupełnie się nie spodziewali, że ich grupa będzie miała szansę na takie wyróżnienie.

- Oglądałem konferencję prasową, gdzie podawali listę nominowanych bez żadnych nadziei, piłem sobie kawę i nagle słyszę, że padła nasza nazwa. Byłem w szoku i szczerze, ta informacja jeszcze chyba do mnie nie dotarła. Nominacja jest ogromnym wyróżnieniem, chyba to nasz największy sukces do tej pory. To są takie polskie Oscary tylko muzyczne - opowiada Szymon Jarmuła, wokalista zespołu Sad Smiles.



FOT. ARCHIWUM ZESPÓLU

Członkowie zespołu mają po 18-19 lat

Muzycy, choć bardzo młodzi, mają już niemałe koncertowe doświadczenie. Zespół zagra w tym roku na festiwalu w Jarocinie, a Szymon Jarmuła zaśpiewa we wspólnym projekcie Jarocin Festiwal 2026 i Męskiego Grania obok Krzysztofa Zalewskiego, Wojciecha Waglewskiego czy Roberta Gawlińskiego.

Niedawno grupę mogliśmy oglądać w jednym z odcinków programu „Must Be The Music” ze swoim autorskim numerem „Dziwny film”. ©©

Wstydliva droga doczeka się remontu

Paweł Chwał
Tarnów

Ulica Błotna w Gumnickach nie będzie już wyglądać tak, jak wskazuje jej nazwa. Miasto zdobyło rządowe środki i niedługo przystąpi do przebudowy drogi, przy której powstało niedawno nowe osiedle.

Wyłożona betonowymi płytami droga stanowiła dotąd dojazd do szkoły podstawowej i przedszkola. Korzystali z niej także uczestnicy zajęć na strzelnicy TKKF „Delfin”, a także osoby, które chciały dostać się do Zakładu Aktywności Zawodowej Słoneczne Wzgórze.

Od jesieni, wraz z ukończeniem budowy sześciu bloków i oddaniem ponad setki mieszkań, Błotną odbywa się także dojazd do nowego osiedla Tarnowskiego Towarzystwa Budownictwa Społecznego o nazwie Słoneczny Stok.

Sfatygowane betonowe płyty są popękane, w wielu miejscach zapadnięte, a gdy pada deszcz ulica tonie w kałużach wody, bo nie posiada kanalizacji burzowej.

Złożony przez magistrat wniosek o przebudowę ulicy został wysoko oceniony i może liczyć na dofinansowanie z Rządowego Funduszu Rozwoju Dróg. To ponad 1,4 mln zł, co pokryć ma połowę kosztów planowanej inwestycji.

- Przygotowujemy przetarg, który wyłoni wykonawcę, aby można było jeszcze wiosną ru-

czyć z pracami - tłumaczy Grzegorz Wałęga, dyrektor Zarządu Dróg i Komunikacji w Tarnowie. Droga dojazdowa oraz ścieżka rowerowa zostaną wykonane z masy bitumicznej. Chodnik zaś będzie miał nawierzchnię z kostki betonowej. Wzdłuż nowo powstałego szlaku zostanie zamontowane ekologiczne oświetlenie. Z uwagi na sąsiedztwo Strusinki, zadaniem wykonawcy będzie umocnienie brzegów potoku, budowa przepustu drogowego oraz zabezpieczenie sieci uzbrojenia podziemnego.

Do Rządowego Funduszu Rozwoju Dróg, poza wnio-

skiem o środki na remont ulicy Błotnej miasto zgłosiło także przebudowę ulicy Rady Europy.

Wniosek znajduje się w tym momencie na liście rezerwowej, ale jest duża szansa na to, że - dzięki oszczędnościom na przetargach - uda się wygospodarować pieniądze również na tę kolejną, wymagającą również pilnych prac, ulicę w mieście.

Podobnie było z ulicą Batorego, która również jest aktualnie remontowana przy udziale środków z funduszu, mimo że pierwotnie była na liście rezerwowej.



FOT. PAWEŁ CHWAŁ

Betonowe płyty, którymi jest wyłożona ulica Błotna, zastąpi nakładka asfaltowa

Matka Boża z Tuchowa odzyskała jaśniejszą twarz i... rumieńce. Prace konserwatorskie przyniosły niejedno ciekawe odkrycie

Paweł Chwał
Tuchów

Z bardziej wyrazistymi wizerunkiem, rumieńcami na policzkach, lepiej widocznymi rysami wróci do sanktuarium na Lipowym Wzgórzu Matka Boża Tuchowska w cudownym obrazie.

„Ciemniejsza karnacja” Maryi na tuchowskim obrazie, do której wielu obecnych czcicieli się przyzwyczało, była w głównej mierze wynikiem... brudu i starzenia się warstwy ochronnej.

W trakcie prac konserwatorskich okazało się, że liczący około 500 lat wizerunek Matki Bożej Tuchowskiej był przez wieki stopniowo zmieniany przez licznych malarzy.

Zmieniały się pokolenia ludzi, którzy z naturalnych racji nie mogli pamiętać pierwszego, oryginalnego wizerunku. A kolejne renowacje polegały po prostu na dalszym uzupełnianiu i przemalowywaniu obrazu - mówi o. Grzegorz Gut, kustosz sanktuarium w Tuchowie.



FOT. SANKTUARIUM W TUCHOWIE

Słyszycy łaskami obraz powróci do tuchowskiego sanktuarium na wielki odpust

Ilość dodanych warstw zaczęła już zagrażać integralności ikony, a w przyszłości nawet jej istnieniu.

Niespodzianki odkryte w trakcie konserwacji

Prace konserwatorskie, poprzedzone badaniami na Wydziale Fizyki i Chemii Konserwatorskiej ASP w Krakowie.

Powstał 74-stronicowy protokół wykazujący obecność pierwiastków chemicznych oraz nawarstwienia pigmentów zawartych w obrazie. Na tej podstawie można było stwierdzić kolejne przeróbki, ale jednocześnie dostrzec zarysy oryginału.

Bez specjalnych badań, „gotym okiem”, prof. Marta Gera-

towska-Lemparst stwierdziła, że obecne włosy zostały domalowane później, a podejmując próbę zdjęcia niewielkiej warstwy, zauważyła, że pod spodem widnieją namalowane włosy oryginalne, nieco jaśniejsze, ale przedstawione z wielką precyzją.

Niespodzianką okazało się bardzo dobrze zachowane dru-

gie ucho Matki Bożej. Idąc nieco niżej, na bordowej sukni uwidoczniła się linia przecinająca krzyżyk znajdujący się na kuli ziemskiej, którą trzyma Jezus. Tutaj również okazało się, że górna część sukni ze złotą obwolutą oplatającą szyję jest późniejszym domalowaniem. Po zdjęciu tego fragmentu, okazało się że Matka Boża ma piękną czerwoną suknię ze złotymi ornamentami. Wierzchni płaszcz, którym okryta jest Maryja, wydobył z siebie błękitno-zielony kolor, a jego część okrywa ciało Jezusa, czego wcześniej nie było widać. Innym odkryciem jest oryginalna różowo-biała rozłożysta róża, ukryta pod czwartą warstwą przemalowań.

Obraz nabierze blasku i wyrazistych rysów, których nie było widać wcześniej w wyniku zabrudzenia i werniksu. Zartęta było między innymi przejście pomiędzy szyją a włosami. A teraz wiemy, gdzie są uszy, widzimy wyraźniej rysy twarzy, a także gdzie zaczynają i kończą się policzki, które na dodatek są bardziej rumiane - wylicza o. Gut.

Skąd pochodzi wizerunek Maryi?

Za sprawą konserwacji obraz ma być zbliżony do pierwotnej formy, z pierwszej połowy XVI wieku, ale - jak uspokaja - wizerunek Matki Bożej Tuchowskiej tak naprawdę niewiele się zmienił po powrocie... „na pewno ją rozpoznamy”.

Niektórzy badacze sugerowali, że obraz pochodzi z polskiej szkoły malarstwa z Bodzentyna. Przeprowadzone obecnie badania raczej wykluczają ten kierunek, a wskazują na Węgry lub benedyktynów - dodaje o. Grzegorz Gut.

Prace konserwatorskie polegają one w tym momencie na wypełnieniu ubytków i rekonstrukcji pierwotnego wizerunku Matki Bożej Tuchowskiej.

Obraz ma wrócić do sanktuarium na lipcowy Wielki Odpust. Wykonywana jest jednocześnie nowa suknia wotywna dla Maryi, która będzie ozdobiona podarowaną przez wierznych biżuterią, szlachetnymi kamieniami i perłami.

©©

Motocykliści dosiedli stalowych rumaków

Paweł Michalczyk
Bochnia

W Poniedziałek Wielkanocny motocykliści rozpoczęli w Bochni nowy sezon. Była msza święta w ich intencji i pokropienie maszyn.

Na wydarzenie organizowane przez Marka Rynowskiego z Bochni przybyli nie tylko mieszkańcy Małopolski, ale i z dalszych regionów kraju, nawet z Rumii nad Bałtykiem. Nie zabrakło m.in. członków Kapańskiego Klubu Motocyklo-

wego God's Guards. - Nie spodziewaliśmy się aż takiej frekwencji - przyznaje Marek Rynowski. Tradycyjnie na czas mszy świętej motocykliści ułożyli swoje kaski przed ołtarzem Bazyliki św. Mikołaja. Po zakończonym nabożeństwie miało

miejsce symboliczne pokropienie wodą święconą motocyklistów oraz ich pojazdów.

To moment, gdy użytkownicy jednośladów dają o sobie znać: było głośno i widowiskowo, nie brakowało dymu z palonych opon.



FOT. PAWEŁ MICHALCZYK



FOT. PAWEŁ MICHALCZYK



FOT. PAWEŁ MICHALCZYK



FOT. PAWEŁ MICHALCZYK



FOT. PAWEŁ MICHALCZYK



FOT. PAWEŁ MICHALCZYK

PRYWATNY ZAMEK W KOBYLANCE. KIM JEST GOSPODARZ HAJDUKÓWKI? „BUDOWA TRWAŁA SIEDEM LAT”

Roman Hajduk od dziecka marzył o swoim „zamku z bajki”. Przynajmniej tak twierdzi w rozmowie z nami, ale lekko się przy tym uśmiecha i spogląda na żonę, która wybrała ostateczną wersję projektu. Gdy pytamy go, ile w tym zamczysku jest pokoi - macha ręką: kto by się nad tym zastanawiał. Zdarza mu się odbierać telefony od chętnych, którzy chcieliby zrobić u niego przyjęcie, bo są przekonani, że to dom weselny.

Halina Gajda

Każdy, kto choć raz przejechał przez Kobylankę koło Gorlic, na pewno zastanowił się, co to za zamczysko stoi tuż przy drodze powiatowej. Miejscowi już się do jego widoku przyzwyczaili, a gospodarzy znają doskonale. Mówią o nim Hajdukówka, choć nie brak też różnych humorystycznych skojarzeń.

- Niektóre domysły sam trochę podsycam - opowiada gospodarz. - Bo ludzi rzeczywiście frapowało, co ja tutaj buduję. Byli i tacy, którzy gromy na mnie sypali, że krajobraz szpecę. To ripostowałem, że drugi kościół w Kobylance tu będzie stał, a w zasadzie taka trochę większa kaplica - wspomina.

Do dzisiaj się więc zdarza, że dzwonią do niego narzeczeni z pytaniem, czy są wolne terminy na przyjęcie weselne. Inni pytają, do której kurii dzwonić, bo chcieliby z kolei wziąć ślub w zamkowej kaplicy.

Zamek to wprawdzie, ale skarbów brak

Stojąc przed Hajdukówką rzeczywiście można poczuć się trochę, jak w bajce. Kuta brama z orłem na szczycie otwiera się samoczynnie. Do zamku prowadzi szeroki trakt. Im bliżej, tym gość bardziej zdaje sobie sprawę ze skali miejsca. Trzy wieże, miejsce na fontannę, duży dziedziniec i ogród za nim. W niewielkim lasku stado danieli. Ponoć jedzą z ręki, ale tylko z ręki gospodarza. Na widok obcych chowają się w między drzewami. Zdecydowanie bardziej chętne do zapoznania się są zamkowe koty. Leniwie przechadzają się po dziedzińcu niczym księżęta. Mruczą przymilnie, dają się nawet podrapać za uchem. Gospodarz zaprasza do środka.

Od progu wiadomo, że miejsce zwykle nie jest. Nie, nie dlatego, że ocieka złotem czy kryształowymi żyrandolami albo antykami. Przy drzwiach stoją wprawdzie dwie broje, wzorowane na średniowiecznych, ale raczej nie przesadzają,



FOT. HALINA GAJDA



FOT. HALINA GAJDA

że jest to muzeum. Bo najważniejsze są tutaj myśliwskie trofea wszelkiego rodzaju. Roman Hajduk jest z nich dumny, choć zaznacza, że małżonka niezbyt tę dumę podziela. Więc poszli na kompromis - on ma swoją część zamczyska, gdzie wiesza sobie i ustawia, co chce, ale w domowej, w której spędzają większość czasu, na wszelkie dowody myśliwskiej dumy, miejsca nie ma. I oboje się w tym układzie doskonale mają.

- Często ktoś pyta, co skłoniło mnie, żeby wrócić do Polski na stałe po prawie czterdziestu latach pobytu w Chicago, gdzie miałem dobrze prosperujący biznes - opowiada gospodarz miejsca. - Ja wtedy odpowiadałam poetycko, że jedna jest dzisiaj kraina taka, w której jest trochę szczęścia dla Polaka. To kraj rodzinny. On zawsze zostanie miły i słodki, jak pierwsze kochanie.

Pierwszą kawę postawiła żona

Przez blisko cztery dekady pobytu w Stanach Zjednoczonych aktywnie włączał się w życie tamtejszej Polonii, piastował różne ważne funkcje, ale z tyłu głowy cały czas siedziała myśl, że kiedyś wróci do korzeni. Emigracja, poza pracą, dochodami, obowiązkami przyniosła mu również... żonę. Historia znajomości mogłaby być kanwą komedii romantycznej. Bo wszystko w niej jest: spontaniczność, szczypta tajemniczości, sporo humoru i happy end.

- Któregoś dnia, po robocie wstąpiłem z kolegami do polskiego sklepu na jakieś drobne zakupy, a Bogusia już tam była. Rozmawiała z koleżanką, która była tam kasjerką. Umawiali się na wspólny powrót do domu, a ponieważ owa koleżanka miała jeszcze trochę obowiązków, to Bogusia

oświadczyła, że zaczeka w pobliskiej kawiarni - opowiada.

Pierwsze spojrzenie na piękną Polkę wystarczyło, żeby Romanowi zaczęło lekko ścisnąć żołądek. Uznał, że trzeba działać od razu. Wtrącił się więc do rozmowy, że on chętnie jej w tej kawiarni potowarzymy. Zapomniał tylko o jednym, że koledzy byli mniej romantycznie nastawieni i pojechali do domu. On zaś został w tym, w czym wysiadł z auta. Czyli, bez portfela...

- Poszliśmy na tę kawę, bardzo miło nam się gawędziło. O tym, że nie mam dolara przy duszy okazało się, gdy kelner przyniósł rachunek - wspomina ze śmiechem.

Stano na tym, że Bogusia zapłaciła, a on zapisał jej na serwetce numer telefonu do siebie z zastrzeżeniem, że gdyby kiedyś potrzebowała towarzystwa do małej czarnej - on chętnie się zrewanżuje. On zaś ser-

wetkę schowała, ale do zgłębiania kontaktu, tak od razu się nie rwała. Raz tylko wybrała numer, by sprawdzić, czy rzeczywiście należy do niego. Gdy usłyszała znajomy głos, natychmiast się rozłączyła. Kazała na siebie poczekać.

- Tak naprawdę odezwała się po ponad miesiącu, a ja w odruchu zaskoczenia powitałem ją mniej więcej takimi słowami: no wreszcie znalazła się moja zguba - dodaje wesoło.

Połączenie lokalnej historii i marzeń

A jaka jest historia kobylańskiego zamku? To swoisty konglomerat lokalnej historii, wyboru żony, własnych marzeń. Wszak jak wieść niesie, Roman Hajduk w dzieciństwie marzył o własnym zamku. Później, gdy już trochę odrósł, a właściwie dorósł i wziął się z życiem za bary, chciał stworzyć muzeum myślistwa. I tutaj jest

miejsce na wspomnianą historię. Wielopolscy zbudowali w Kobylance dwór, w dawnych czasach powszechnie zwany zamkiem. Jego wygląd opisał Jan Benisz w pracy „Sanktuarium Jezusa Ukrzyżowanego w Kobylance”.

- Zamek rodu Wielopolskich zbudowany był niedaleko dzisiejszego kościoła z kamienia i drewna. Posiadał skrzydła parterowe z małą nadbudową w środku frontu z trzema wielkimi oknami i małym tarasem, podpartym czterema słupami kamiennymi. Otoczony był murem kamiennym z jedną basztą w kształcie wieży. Wnętrze zamku zawierało kilkanaście małych sal po kilkadziesiąt kroków długości. Ściany ozdobione były obrazami przedstawiającymi chwałę polskiego oręża i sławnych mężów z rodu Wielopolskich. Po prawej stronie zamku mieściła się kaplica, w której odbywały się nabożeństwa dla rodziny Wielopolskich, zarządców, służby folwarcznej i ludności okolicznej - czytamy.

Hajdukowi zamarzyło się, że połączy własne marzenie ze szczyptą historii, a opis nieistniejącego dworu będzie kanwą, na której powstanie projekt jego zamku. Jak sam przyznaje, miał w głowie wiele pomysłów. Czasem w pracy, w wolnych chwilach projektował różne jego wersje. A później pytał żonę, który jej się najbardziej podoba. Ona patrzyła, kręciła głową, machała ręką, że żaden.

- Aż w końcu trafiłem w jej gust - opowiada. - I pokazała: ten.

Skoro wybór został dokonany, trzeba było brać się za realizację. Żona była w lekkim szoku, bo chyba nie przewidywała, że szanownemu małżonkowi przejście od słów do czynów zajmie tam mało czasu. On zaś wybór żony uznał, za rozkaz. Budowa się zaczęła.

- Trwała mniej więcej siedem lat - wspomina. - Trochę działo się na telefon, sporo doglądali moi rodzice. Ostatecznie w 2010 roku uznaliśmy, że wracamy i zaczynamy spokojne emeryckie życie - dodaje.

Pod koszami aż kipi od wielkich emocji

Roman Kieroński
Koszykówka

Na sportowych arenach w Mokrzkach, Bochni i w Tarnowie zacięte boje toczyły młode adeptyki basketu z całego regionu.

Dziewczęta z Międzyszkolnego Klubu Sportowego Pałac Młodzieży Tarnów zwyciężyły w rozegranym w Dragon Arenie w Mokrzkach V Jubileuszowym Wiosennym Turnieju Koszykówki i zdobyły główne trofeum Puchar Ziemi Brzeskiej.

W eliminacjach w grupie „A” zwyciężył zespół UKS-u Żak Nowy Sącz przed MOSiR-em Bochnia i InfoCemp Kraków. W grupie „B” MKS PM Tarnów przed Wisłą Kraków i gospodyniami: UKS-em Dragon Mokrzeska. W półfinale UKS Żak - Wisła Kraków 45:42, MKS PM - MOSiR Bochnia 69:42.

W meczu o piąte miejsce: UKS Dragon - InfoCemp 42:22. W spotkaniu o miejsce trzecie: Wisła - MOSiR 61:15. W finałowym spotkaniu koszykarki Pałacu pokonały 46:36 zespół Żaka z Nowego Sącza.

Organizatorzy turnieju: Urząd Miejski w Brzesku, Powiat Brzeski i Brzeski Ośrodek Sportu i Rekreacji wyróżnili także najlepsze zawodniczki turnieju. Do drużyny „Gwiazd” trafiły: Hanna Sieroń (MKS PM), Amelia Wójs (UKS Żak), Katarzyna Motyl (Wisła), Natalia Stachura (MOSiR) i Łucja Kaleńczuk (InfoCemp).

Puchary, medale, dyplomy, statuetki MVP oraz nagrody wręczyli wicestarosta Maciej Podobiński, dyrektor SP w Mokrzkach Marek Kossoń oraz Waldemar Pytka.

Prawie jak NBA

Zawodniczki Miejskiego Ośrodka Sportu i Rekreacji z Bochni wygrały rywalizację w rozgrywkach młodzieżowej

koszykówki w Dywizji Pacific Konferencji Zachodniej Jr. NBA.

Spotkania rozgrywane są na wzór amerykańskiej ligi basketu, a zespoły występują pod nazwami popularnych zawodowych klubów. Podopieczne trenera Rafała Sroki występujące pod nazwą Golden State Warriors wygrały wszystkie spotkania. W decydujących meczach pokonały kolejno: SP 1 Goczałkowice Zdrój/Los Angeles Lakers 57:9, Akademię Basketu Katowice/Los Angeles Clippers 27:12 i Wisłę Kraków/Sacramento Kings 53:12.

Bochnianki awansowały do półfinałów rozgrywek z udziałem najlepszych zespołów z innych regionów Polski. Turniej rozegrany zostanie 11 kwietnia w Krakowie.

Koszycki triumf

Reprezentantki Szkoły Podstawowej z Koszyc Wielkich triumfowały w szóstym turnieju VII edycji Pucharu Tarnowa w koszykówce o Puchar Prezydenta Tarnowa. Na drugim miejscu uplasowały się uczennice SP nr 24 z Tarnowa. Kolejne lokaty zajęły: 3. SP 3 Tarnów, 4. SP 8 Tarnów, 5. SP 9 Tarnów, 6. SP 10 Tarnów, 7. SP 17 Tarnów, 8. SP 10 Tarnów, 9. Siódemka Tarnów.

W zwycięskim zespole występowały: Zuzanna Sutkowska, Emilia Wawrzonek, Ewa Jermak, Izabela Dyja, Milena Malig i Inga Plebanek. Trenerem jest Paweł Michalik.

W klasyfikacji generalnej prowadzą koszykarki SP 18 - 77 pkt.; przed SP 17 - 69 pkt. i SP 24 - 67 pkt. - Kolejny turniej VII edycji Pucharu Tarnowa rozegrany zostanie w hali sportowej Pałacu Młodzieży przy ul. Gumniskiej 18 kwietnia. Będzie to „Sobota Gwiazd” czyli turniej najlepszych zawodniczek Pucharu Tarnowa - mówi pomysłodawca i główny organizator Mariusz Siedlik. ©©



W spotkaniach młodych koszykarek emocje na parkiecie często sięgają zenitu

KRÓTKO

SZACHY

Królewskie granie w Tarnowie

Jakub Suder - reprezentant klubu MAT Myślenice triumfował w rozegranym w Tarnowie I Królewskim Turnieju Szachowym o Laur Spycimira Lewity.

W imprezie zorganizowanej przez działający od dwóch lat Klub Szachowy Królewscy Tarnów przy współudziale Małopolskiego Związku Szachowego do rywalizacji przystąpiło 101 uczestników, reprezentantów wielu klubów naszego kraju.

- Szachiści rozgrywali swoje partie systemem szwajcarskim-kontrolowanym na dystansie dziewięciu rund. Czas gry na jedną partię wynosił 10 minut i 5 sekund - informuje arbiter główny turnieju-sędzia klasy państwowej Wiesław Kasperek.

Zwycięzca turnieju Jakub Suder zdobył 8 punktów.

W ścisłej czołówce uplasowali się także: 2. Mirosław Lewicki (Ludowy Klub Szachowy GC-KIP Czarna) - 7,5 pkt. 3. Jerzy Kyć (Kraków) - 7 pkt. 4. Olaf Grądalski (Ksz Skoczek Czerwionka Leszczyny) - 7 pkt. 5. Kamil Gierulski (Rzeszowski Klub Szachowy) - 7 pkt. 6. Kamil Kaliszczuk (Hetman Częstochowa) - 6,5 pkt. 7. Arkadiusz Babiarz (AZS AGH Kraków) - 6,5 pkt., 8. Hubert Zięba (Rzeszów) - 6,5 pkt. 9. Łukasz Kumor (MKS Centrum Kraków) - 6,5 pkt., 10. Kamil Wolak (GKSz Hetman Pilzno) - 6,5 pkt., 11. Damian Bednarczyk (UKS Goniec Staniątki) - 6 pkt., 12. Bartosz Dźwierzyński (Ksz Gambit Przeworsk) - 6 pkt., 13. Kamil Smusz (MKSz Gryf Dębica) - 6 pkt., 14. Witold Klepek (AZS AGH Kraków) - 6 pkt., 15. Jakub Cichoń (MKS Centrum Kraków) - 6 pkt. Przy równym dorobku punktowym o kolejności decydowała dodatkowa tabela Buholza.

Organizatorzy wyróżnili także: najlepszą zawodniczkę - Oliwię Mirowską, najlepszego juniora do lat 18 - Huberta Ziębę, najlepszego szachistę w kategorii 60+ Ryszarda Kasperka oraz najlepszych z rankingiem szachowym 1600 i 1800: Adama Wągłusza i Mateusza Jaszczuka. Organizatorzy za pomoc, wsparcie i zaangażowanie w organizację dziękują Radzie Osiedla Starówka Tarnów oraz dyrektorce I LO w Tarnowie Małgorzacie Dulęba Szpala za udostępnienie hali sportowej, w której można było przeprowadzić stojący na wysokim poziomie turniej Roman Kieroński



Siostry Aleksandrę i Natalię Kałuckie przedzieliła na podium tylko Polina Khalkevych

KONKURENCJA NA CZAS TO TARNOWSKA WIZYTÓWKA

Tarnowianki błyszcząły na ścianie wspinaczkowej

Roman Kieroński
Wspinaczka sportowa

Reprezentanci tarnowskich klubów dominowali w rozegranych w hali Akademii Tarnowskiej Mistrzostwach Polskiego Seniorów i Młodzieżowców oraz Pucharu Polski Juniorów, Juniorów Młodszych i Młodzików w konkurencji na czas.

Rywalizację toczyły zawodniczki i zawodnicy reprezentujący dwanaście klubów stanowiących absolutną czołówkę - medaliści MŚ, Europy, Igrzysk Olimpijskich.

Znakomita obsada

Wśród nich siostry Aleksandra i Natalia Kałuckie, Anna Brożek, Patrycja Chudziak, a także Marcin Dzieński oraz zawodnicy młodego pokolenia, medaliści Młodzieżowych MŚ: Maria Szwed i Oskar Szalecki.

- Poziom sportowy potwierdził, że była to najmocniejsza krajowa obsada w tym sezonie - mówi dyrektor zawodów Arkadiusz Kamiński.

O zwycięstwie decydowały setne części sekundy.

Tarnowianki górą

W kategorii kobiet triumfowała brązowa medalistka IO w Paryżu Aleksandra Kałucka (KU AZS ANS Tarnów), przed Poliną Khalkevych (Skarpa Bytom). Brązową medalistką została Natalia Kałucka, czwarta była Anna Brożek. Siódmą lokatę zajęła Natalia Bibro (MKS Pałac Młodzieży), dziewiąta - Antonina Tarczoń (Sportiva Tarnów), czternasta Liliana Luby (KU AZS ANS).

Rywalizacja mężczyzn zakończyła się sukcesem Yaroslava Tkacha (Skarpa Bytom). Miejsca na podium zajęli ponadto Oskar Szalecki i Marcin Dzieński (obaj KU AZS ANS), na piątym miejscu uplasował się kolejny zawodnik KU AZS ANS Mikołaj Wróblewski.

Medaliści i miejsca tarnowian

Juniorzy: 1. Mateusz Muzaj (UKA), 2. Robert Zając (Korona 1919 Kraków), 3. Michał Muzaj (UKA).

Juniorzy: 1. Mateusz Muzaj (UKA), 2. Robert Zając (Korona 1919 Kraków), 3. Michał Muzaj (UKA).

Juniorzy: 1. Mateusz Muzaj (UKA), 2. Robert Zając (Korona 1919 Kraków), 3. Michał Muzaj (UKA).

Juniorzy: 1. Maksymilian Myśliwiec (Skarpa Bytom), 2. Antoni Marcisz (Korona 1919 Kraków), 3. Antoni Szewczyk (Pol-Inowex Skarpa Lublin).

Młodziczki: 1. Klara Noga (MKS Pałac Młodzieży Tarnów), 2. Alicja Szpura (Pol-Inowex Skarpa Lublin), 3. Matylda Kołodziej (MKS Pałac Młodzieży Tarnów).

- Mistrzostwa nieprzypadkowo rozgrywane są w naszym mieście. Tarnów od lat uznawany jest za krajową stolicę

To właśnie z tarnowskich klubów wywodzi się najwięcej medalistów imprez najwyższej rangi we wspinaczce sportowej.

wspinaczki sportowej. Z tarnowskich klubów wywodzi się najwięcej medalistów imprez najwyższej rangi - podkreśla Arkadiusz Kamiński.

Ambasadorka mistrzostw

Taką ważną rolę pełniła Edyta Ropek - wielokrotna medalistka najważniejszych imprez międzynarodowych, trenerka związana z tarnowskim środowiskiem wspinaczkowym. Tarnowianka uczestniczyła w międzynarodowym seminarium zorganizowanym przez International Federation of Sport Climbing, funkcjonująca pod nową nazwą World Climbing. Spotkanie w amerykańskim Salt Lake City zgromadziło kluczowych oficjeli oraz delegatów technicznych odpowiedzialnych za organizację najważniejszych zawodów wspinaczkowych na świecie. Szkolenie było częścią programu przygotowującego do pełnienia funkcji delegata technicznego federacji - jednej z najważniejszych ról w strukturze zawodów międzynarodowych.

Edyta Ropek znajduje się w wąskim gronie kandydatów szkolonych do tej funkcji i jednocześnie drugą w tej grupie kobietą na świecie. Program szkoleniowy trwa dwa lata i obejmuje udział w seminariach oraz praktykę podczas międzynarodowych zawodów.

Tarnowianka będzie w tym sezonie kontynuować szkolenie m.in. podczas jednej z najważniejszych imprez młodzieżowej na świecie - zawodów Youth World Championships które rozegrane zostaną w lipcu w Arco we Włoszech. ©©

Gazeta Podhalańska

Gazeta Krakowska

www.gazetakrakowska.pl



HISTORIA

**MROCZNA
HISTORIA WILLI
PRZY SKOCZNI.
WYCHOWAWCY
HITLERJUGEND
SZKOLILI TU
DZIECI**

str. 4

TATRY

RETRO ZAWODY O WIELKANOCNE JAJO

Jubileuszowe „Wielkanocne Jajo” pokazało, że pod Giewontem tradycja ma się świetnie, a dystans do samego siebie jest ważniejszy niż złoty medal.

str. 5



FOT. MARCIN SZKODZIŃSKI

KONTROWERSJE

Zakopane ma dość takich budynków jak willa Monte. Zabytków, które stają się... No właśnie! **str. 2**

HANDEL POD WIELKĄ KROKWIĄ

Co dalej ze straganami pod skocznią? Jest sposób na ogarnięcie bałaganu? **str. 3**

ZAKOPANE

Anna Schumacher nową dyrektorką Galerii Sztuki. Wybór oznacza kontynuację misji i otwarcie na nowe **str. 4**

PASJE

Programista w sutannie, co nie boi się AI. Poznajcie księdza, który tworzy gry **str. 6**

Łukasz Bobek



Jestem po stronie człowieka

Co zrobić z psami na Podhalu? Jak ogarnąć temat opieki nad bezpańskimi kotami? Gdzie i w jakich warunkach je trzymać? Kto ma za to zapłacić i ile? To temat, który w ostatnich tygodniach grzeje na Podhalu. Wypłynął oczywiście na kanwie głośnej sprawy schroniska w Sobolewie. Był protest w Nowym Targu, było pełno rolek w mediach społecznościowych. I co dalej?

Przyznam, że nie jestem zagorzałym obrońcą zwierząt. Nie to, że akceptuję znęcanie się i nieludzkie warunki dla zwierząt. Nie. Ale najwyraźniej mój poziom empatii jest nieco inny niż osób, które całym sercem walczą o zwierzęta. Nie dyskredytuję ich walki. Doceniam i popieram - mają serce, mają wolę, mają czas i środki - niech walczą. Chwała im za to.

Rozumiem jednak też argumenty drugiej strony, która niejednokrotnie na pomysły aktywistów prozwierzęcych reaguje obronnie. Rozumiem, że w mniemaniu tej drugiej strony oni nie krzywdzą zwierząt - dbają o nie tak jak zostali nauczeni, tak jak uważają za stosowne. I jeśli nie zabijają zwierząt, jeśli nie znęcają się nad nimi w jakiś inny sposób, a serwują czworonogom mniejszy komfort niż by tego oczekiwali żarliwi obrońcy - też nie ma co ich za to potępiać, a tym bardziej obrzucać inwektywami, że są zwyrodnialcami i organizują „Auschwitz dla zwierząt”. Posługiwanie się przykładem Auschwitz w tym temacie jest dla mnie karygodne, wskazujące na totalny brak szacunku dla tych co zginęli z rąk Niemców.

Różnimy się - pojmowaniem świata, poziomem empatii, doświadczeniem, sposobem bycia, życia. Ale to dobrze. Bo się w jakiś sposób uzupełniamy. Ale to nie znaczy, że jesteśmy gorsi jeden od drugiego. Każdy zasługuje na szacunek i dialog. Nie łatwy, nie szybki, być może nie do końca skuteczny. Ale dialog - to jedyna droga.

Ja osobiście uważam, że zwierzęta bezpańskie zasługują na godny dom. Co to znaczy godny? Tutaj zapewne będą największe różnice z interpretacji. Mój poziom empatii jest jednak po stronie człowieka. I to istota ludzka i jej potrzeby będą dla mnie na pierwszy miejscu. Jeśli miałbym wybierać czy zapłacić 2 tys. zł za pobyt psa w schronisku z pełną opieką weterynaryjną i behawioralną, czy przekazać tę pieniądze na psychologa dla dzieci - bez żadnego zastanowienia wybrałbym dzieci. To jest mój punkt widzenia, mam do niego prawo.

ZAKOPANE

Stracił prawo jazdy za prędkość

Policjanci drogówki zatrzymali kolejnego kierującego, który w terenie zabudowanym znacznie przekroczył dozwoloną prędkość. 20-letni kierowca z powiatu tatrzańskiego, stracił prawo jazdy, otrzymał wysoki mandat oraz punkty karne. Przekraczanie dozwolonej prędkości o więcej niż 50 km/h w obszarze zabudowanym jest bardzo niebezpieczne i ma konsekwencje prawne. Przekonał się o tym kierujący audi w wielkanocną niedzielę zatrzymany w okolicach osiedla Walkosze. Prędkość audi jaką zarejestrowali policjanci była o 62 km/h większa niż pozwalały na to przepisy. Za znaczne przekroczenie dozwolonej prędkości w terenie zabudowanym 20-letni kierujący stracił prawo jazdy, otrzymał 14 punktów karnych oraz mandat w wysokości 4000 zł. Łukasz Bobek

FESTIWAL W ZAKOPANEM

Złote Kierpce po raz pierwszy międzynarodowe!

19 kwietnia 2026 r. o godz. 9:30 w auli Zakopiańskiego Centrum Edukacji odbędzie się XVII Tatrzański Festiwal Zespołów Góralskich „Złote Kierpce”. To święto młodych talentów, które w tym roku zyskuje rangę międzynarodową dzięki gościom ze Słowacji - zespołowi DFS Podtatrzańców. Wydarzeniu towarzyszy finał konkursu plastycznego „Moje Kierpce Podrygujom” oraz wystawa fotografii Jana Janoska „Harda młodość” przy Oczku Wodnym na Krupówkach. To okazja do podziwiania pasji i przywiązania do tradycji młodych górali z obu stron Tatr. Łukasz Bobek

Zakopane nie chce już takich budynków. Zabytek, który stał się... Właśnie, czym?

Łukasz Bobek
lukasz.bobek@polskappress.pl

Czy zmiany w planach zagospodarowania przestrzennego uwolnią Zakopane od kolejnych realizacji w stylu słynnej willi Monte?

Niefortunne przepisy wciąż obowiązują, a urzędnicy liczą na zmianę wraz z koniecznością uchwalenia do końca sierpnia tzw. planu ogólnego, czyli dokumentu planistycznego porządkującego decyzję przestrzenną w skali całego miasta. Ale w zakopiańskim urzędzie jednocześnie zastrzegają: „To będzie długa i kosztowna praca, porównywalna z uchwalaniem nowych planów”.

Willę Monte przy ul. Zaruskiego w Zakopanem potraktujmy tu jako przykład. Był zabytek, nie ma zabytku. Tzn. jest, ale schowany gdzieś w betonowo-szklanej skorupie. To był jeden z najbardziej kuriozalnych remontów konserwatorskich w Zakopanem. Zabytkowego budynku z zewnątrz w ogóle nie widać. Wszystko odbyło się zgodnie z prawem. Inwestor,



Willi Monte w Zakopanem. Z lewej strony stan obecny. Z prawej: rok 2017, budowa.

dysponując zabytkiem, nie mógł po prostu zburzyć. Znalazł jednak lukę: wystąpił o pozwolenie na „przebudowę i rozbudowę”. Efekt końcowy to trzy dodatkowe piętra i elewacja, z której ocalała... jedna ściana. Całość została szczelnie obudowana szkłem i betonem. Mieszkańcy mówili o skandalu.

Jak to możliwe, że urzędnicy przyłożyli do tego rękę? Odpowiedź kryje się w pokrętej terminologii lokalnego prawa.

Problemem Zakopanego od lat są niefortunne zapisy w planach zagospodarowania, które pozwalają niemal całkowicie zmienić charakter chronionych obiektów. Chodzi o zapisy takie jak „odbudowa konserwatorska” czy „odbudowa z nadbudową”. Jak oceniała to swego czasu dr Monika Bogdanowska, była małopolska konserwator zabytków, to konstrukcje pojęciowe „nieznane w cywilizowanym świecie”. W praktyce po-

zwalają one postawić w miejscu małej willi wielki betonowy kłoc z podziemnym garażem, maskując go jedynie spadzistym dachem czy „parzenicą ze sklejki”. Przykładem jest nie tylko Monte, ale i Willa Mak przy ul. Zamoyckiego, gdzie do odtworzonego frontu dobudowano ogromne zaplecze komercyjne. Choć w tym ostatnim przypadku zachowany został wygląd frontu budynku.

Choć od „remontu” willi Monte minęło parę lat, kontrowersyjne zapisy w planach zagospodarowania przestrzennego pozostały niezmienione. Co potwierdza Marta Gratkowska z biura planowania przestrzennego UM Zakopane przynajmniej, że kontrowersyjne zapisy wciąż są w mocy.

Urząd pokłada nadzieje w zmianach 33 planów zagospodarowania przestrzennego. Te mają nastąpić po uchwaleniu tzw. planu ogólnego, który sam w sobie nie będzie dotykał aż tak dużych szczegółów jak kwestie odbudowy, czy remontu konserwatorskiego. Sama zmiana planów będzie to jednak zadanie długotrwałe.

ZDJĘCIE DNIA



W sercu Podhala, tam gdzie tradycja spleta się z głęboką wiarą, dźwięk kościelnych dzwonów i donośna góralська muzyka obwieściły światu radosną nowinę. Niedziela Zmartwychwstania Pańskiego w Parafii św. Marii Magdaleny w Poroninie stała się manifestacją wspólnoty, która w niezwykle uroczysty sposób uczciła największe święto chrześcijaństwa. Ważnym momentem uroczystości była procesja rezurekcyjna. Trzykrotne obejście kościoła z Najświętszym Sakramentem stało się symbolicznym ogłoszeniem zwycięstwa życia nad śmiercią. Łukasz Bobek

Zakopianka mogła stać się najpiękniejszą drogą w Polsce. Zostały tylko plany i wspomnienia

Marcin Szkodziński
marcin.szkodziński@polskapress.pl

Miał być tunel pod Gubałówką, estakady nad dolinami i punkty widokowe, a z nich widok na całą panoramę Tatr. Zamiast tego mieszkańcy Podhala i kierowcy otrzymują modernizację „pchaną kolaniem”, która zamiast rozwiązywać problemy, generuje nowe konflikty.

W latach 70. i 80. ubiegłego wieku w głowach samorządowców i planistów tlił się projekt, który dziś brzmi jak scenariusz z rozmachem alpejskim. Nowa Zakopianka miała nie schodzić do dolin, lecz bieć grzbietami wzgórz między Białym, a Czarnym Dunajcem. Trasa prowadząca przez okolice Zębu, Sierockiego i Skrzypnego miała wykorzystywać tzw. drogi wicrowe i tereny polne.

Dzięki temu rozwiązaniu budowa czteropasmowej arterii byłaby znacznie tańsza - grunt rolny wymagał mniejszych nakładów na wykup niż tereny zurbanizowane, a konieczność wyburzeń praktycznie by nie istniała. Prawdziwą „wisienką na torcie” miał być tunel wydrążony pod Gubałówką, którym samochody wjeżdżałyby bezpośrednio do stolicy Tatr. Z okien aut rozciągałaby się niezakłócona niczym panorama gór, czyniąc z samej podróży atrakcją turystyczną regionu.

Marzenie o nowoczesnej arterii prowadzącej przez Ząb i Skrzypne przepadło w archiwach, ustępując miejsca rzeczywistości pełnej ekranów akustycznych i wywłaszczeń.

Obecny projekt modernizacji Zakopianki na odcinku od Nowego Targu do Zakopa-

nego budzi ogromne kontrowersje. Zamiast płynnego ruchu, kierowcy muszą liczyć się z kolejnymi sygnalizacjami świetlnymi, które już teraz - przy zaledwie jednej takiej instalacji - generują codzienne zatory. Projekt zakłada wprawdzie pasy do lewoskrętów, ale tylko tam, gdzie pozwoli na to szerokość terenu.

Dla mieszkańców Białego Dunajca i Poronina oznacza to brutalną ingerencję w ich własność. Płoty przesuwają się pod same okna domów, a ruchliwa, hałaśliwa trasa podchodzi coraz bliżej domowych okien. Ludziom zabiera się cenne metry ziemi, byle tylko móc ogłosić, że modernizacja „najsłynniejszej drogi w Polsce” dobiegła końca.

Jednym z najbardziej absurdalnych punktów obecnego planu jest ograniczenie możliwości skrzyżowania z posesji i bocznych dróg ma posiadać jedynie nakaz skrętu w prawo. Problem ten dotyka bezpośrednio lokalnych przedsiębiorców. Podczas spotkań z projektantami przedstawiciele hoteli, do których regularnie przyjeżdżają autokary, stawiali proste pytanie: jak taki pojazd ma bezpiecznie włączyć się do ruchu w stronę Zakopanego, jeśli ma zakaz lewoskrętu?

Odpowiedź, która sugeruje jazdę z Białego Dunajca aż do ronda w Poroninie tylko po to, by zrobić „nawrotkę”, brzmi jak żart, ale dla przewoźników to realna strata czasu i paliwa oraz zagrożenie bezpieczeństwa. Wygląda na to, że w pogoni za „odfajkowaniem” modernizacji, zapomniano o funkcjonalności i ludziach, którzy przy tej drodze muszą żyć i prowadzić biznes.



Stragany pod Wielką Krokwią. Problem nierozwiązalny?

KONTROWERSJE CO ZE STRAGANAMI POD KROKWIĄ?

Nikt nie jest w stanie poradzić sobie z tym bałaganem

Łukasz Bobek
Zakopane

Przed najważniejszą sportową areną Zakopanego nadal kwitnie miasteczko straganów. Rok temu nowe władze miasta zapowiadały pospolite ruszenie w kwestii porządków: najpierw Krupówki, potem Gubałówka i rejon skoczni. Jak dotąd nic się nie zmieniło. Poza tym, że wyrastają nowe stragany i punkty handlowo-gastronomiczne.

Z drugiej strony, dla dziesiątek rodzin te stoiska to jedyne źródło utrzymania. Będących bronić z całej siły i trudno im się dziwić. Może więc najwyższy czas, by władze miasta i urzędnicy prawnie usankcjonowali handel w tym miejscu?

Rejon ulic Bronisława Czecha i Piłsudskiego to jedno z najatrakcyjniejszych miejsc dla turystów, którzy chcą zobaczyć miejsca, gdzie skakali najlepsi na świecie - z Adamem Małyszem czy Kamilem Stochem na czele. W sezonie turystycznym, zarówno letnim, jak i zimowym, codziennie spacerują tędy tysiące osób.

Gdy wybuchła „małyszomania”, pod skocznią zaczęły wyrastać stragany. Teraz są to całe ciągi obiektów. Większość to drewniane budy, z których wiele lata świetności ma już dawno za sobą. Wszystkie stoją nielegalnie. Plan zagospodarowania przestrzennego określa przeznaczenie tego terenu jako rolnej łąki i pastwiska.

Co najmniej od kilkunastu lat urzędnicy z Zakopanego próbują walczyć o uporządkowanie tego

miejsca. Gdy burmistrzem był Janusz Majcher urząd miasta postawił drewniany płot między chodnikiem a straganami. Miało to utrudnić dojście spacerowiczów do stoisk. Niewiele to dało.

Za czasów kolejnego burmistrza, Leszka Doruli, urzędnicy zaczęli kontrole i wysyłali zgłoszenia do nadzoru budowlanego. - My nie mamy narzędzi prawnych, by karać tych ludzi za wystawienie straganów. Możemy jedynie zgłosić sprawę do inspektoratu nadzoru budowlanego - wyjaśniał ówczesny burmistrz Leszek Dorula.

Już wtedy do PINB trafiło kilkadziesiąt wniosków. Nadzór sprawdził 30 obiektów. - Powstały bez wymaganego pozwolenia na budowę - mówił Jan Kęsek, szef zakopiańskiego nadzoru budowlanego. Zapowiadał wszczęcie postępowań, które zgodnie z prawem najpierw musiały dać właścicielom możliwość zalegalizowania samowoli.

Rok temu obecny burmistrz, Łukasz Filipowicz, zapowiedział wielkie porządki. Miały objąć Krupówki, Gubałówkę i rejon skoczni. Pod Wielką Krokwią nic się nie zmieniło. Stragany stoją. Stan prawny się nie zmienił - nadal są nielegalne, nadal stoją na „łąkach i pastwiskach”. - Postępowania toczą się zgodnie z przepisami. Od naszych decyzji właściciele składają odwołania do Wojewódzkiego Inspektoratu Nadzoru Budowlanego. To przedłuża procedurę, mimo że niezgodność z planem zagospodarowania jest ewidentna - mówi Jan Kęsek. Dodaje, że PINB musi wyczerpać ciężką legalizacyjną, nawet jeśli jest ona

z góry skazana na niepowodzenie. Odwołania na każdym etapie skutecznie paraliżują system. - Po co urząd miasta i nadzór budowlany wypychają się na nie swoje tereny? Nie stoimy na gruncie miejskim, tylko prywatnym - mówi nam jeden ze sprzedających. - To nasze źródło utrzymania. Ludzie wydali na to sporo pieniędzy. Jeśli urząd nas nie chce, to niech da inną pracę i pensję - dodaje mężczyzna.

Trudno nie odnieść wrażenia, że mamy do czynienia z przypadkiem prawa, które stało się martwe. To sytuacja, w której przepis jest tak masowo ignorowany, że traci swoją społeczną moc wiążącą. Może więc czas na „ucieczkę do przodu”? Skoro stragany stały się już stałym elementem krajobrazu Zakopanego, miasto powinno przestać udawać, że ich tam nie ma, i przejąć nad nimi kontrolę.

Legalizacja nie musi być kapitulacją, lecz formą ucywilizowania chaosu. Zamiast „łak i pastwisk”, które od 20 lat są nimi tylko na papierze, miasto mogłoby wyznaczyć tam oficjalną strefę handlową. Oczywiście, pojawi się argument o niebezpiecznym precedensie, który może zachęcać do kolejnych samowoli. Jednak w historii urbanistyki to właśnie sformalizowanie „dzikiego” handlu okazywało się jedyną drogą do zaprowadzenia realnego porządku.

Może pora przyznać, że pod Wielką Krokwią rzeczywistość już dawno wygrała z przepisem, a jedynym sensownym wyjściem jest dopasowanie prawa do życia. A nie odwrotnie...

KRÓTKO

DO MORSKIEGO OKA

Kto będzie woził turystów busami?

Elektryczne busy do Morskiego Oka prawdopodobnie wyjadą na szlak na długi weekend majowy. Nie wiadomo, kto je będzie obsługiwał. TPN ogłosił przetarg na firmę, która ma zająć się obsługą pojazdów.

W lutym 2025 roku, w obecności minister klimatu i środowiska Pauliny Hennig-Kloski, podpisano historyczne porozumienie. Zakładało ono wprowadzenie transportu łączącego: konie miały obsługiwać pierwszy odcinek trasy, a dalej turyści mieli przesiadać się do ekologicznych busów elektrycznych. Kluczowym elementem tej układanki było Stowarzyszenie Przewoźników do Morskiego Oka. To właśnie lokalni fiakrzy, po zawiązaniu spółki, mieli stać się operatorami nowych pojazdów, co gwarantowałoby im stabilność zatrudnienia w obliczu zmian wymuszonych m.in. naciskami organizacji prozwierzęcych.

Dziś te ustalenia stoją pod znakiem zapytania. TPN ogłosił otwarty przetarg na „Obsługę e-busów w 2026 r. - mobilną usługę edukacyjną”, co w praktyce oznacza, że operator może zostać wyłoniony z wolnego rynku, całkowicie pomijając dotychczasowych przewoźników konnych.

Z dokumentacji przetargowej wynika, że TPN szuka profesjonalnego podmiotu, który zajmie się obsługą czterech posiadanych przez park pojazdów elektrycznych. Rozstrzygnięcie postępowania planowane jest na początek kwietnia. - Ogłosiliśmy przetarg na obsługę busów do Morskiego Oka. Jak tylko przetarg się rozstrzygnie, będziemy już mieli wyłonioną firmę transportową, to będziemy się starać, żeby na długi weekend majowy ta usługa już działała - mówi Szymon Ziobrowski, dyrektor TPN.

Miniona zima p obnażyła słabość posiadanej floty. Warte 3,2 mln zł busy przez 3,5 miesiąca stały nieużywane w Kuźnicach. Jak przyznają sami mieszkańcy i zawodowi kierowcy, ciężkie pojazdy z napędem na tył nie radzą sobie na zaśnieżonej i oblodzonej górskiej drodze, nawet przy użyciu łańcuchów. Z

Lokalna społeczność z Bukowiny Tatrzańskiej czuje się pominięta. Wójt gminy, Andrzej Pietrzyk, zwraca uwagę, że nowe warunki dyktowane przez park odbiegają od ustaleń z listu intencyjnego. Fiakrzy obawiają się, że zwiększenie floty e-busów (TPN planuje zakup kolejnych 16 pojazdów) całkowicie wyprze transport konny. **Łukasz Bobek**



Zakopianka między Szaflarami, a Białym Dunajcem

Nowa dyrektorka Galerii Sztuki

Łukasz Bobek
Zakopane

Miejska Galeria Sztuki im. Władysława hr. Zamoyskiego w Zakopanem wchodzi w nowy etap swojej działalności. Zakończony właśnie proces rekrutacyjny wyłonił dyrektorkę - została nią Anna Schumacher, ceniona artystka, doktor sztuki i rodowita zakopianka, która od lat aktywnie współtworzy krajobraz kulturalny Podhala.

Decyzja Komisji Rekrutacyjnej była poparta nie tylko doskonałym przygotowaniem merytorycznym kandydatki, ale także jej wizją rozwoju placówki. Anna Schumacher to postać o imponującym dorobku. Jest absolwentką dwóch prestiżowych wydziałów uczelni: Historii Sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz Malarstwa na Akademii Sztuk Pięknych. W 2022 roku obroniła doktorat z wyróżnieniem na temat „Gabinetów Osobliwości”, uzyskując tytuł doktora sztuki i konserwacji.

Jako twórczyni jest niezwykle wszechstronna. Zajmuje się

malarstwem sztalugowym, colagem oraz unikalną techniką litografii, którą doskonalili w pracowniach w Pradze i Krakowie. Jej dorobek to m.in. 40 wystaw indywidualnych w całej Europie oraz liczne nagrody, w tym trzykrotna Nagroda Publiczności zakopiańskiego ZPAP. Prace nowej dyrektorki znajdują się w kolekcjach prywatnych na całym świecie oraz w zbiorach Muzeum Tatrzańskiego.

Anna Schumacher to jednak nie tylko artystka, ale i doświadczona organizatorka. Jako kuraorka międzynarodowych projektów udowodniła, że potrafi budować mosty między lokalnym środowiskiem a europejską sceną artystyczną.

Dla Miejskiej Galerii Sztuki w Zakopanem wybór ten oznacza kontynuację misji promowania dziedzictwa regionu przy jednoczesnym otwarciu na nowe, autorskie inicjatywy. Doświadczenie Schumacher - łączące perspektywę historyka sztuki, czynnego twórcy i sprawnego kuratora - daje gwarancję, że jedna z najważniejszych galerii pozostanie tętniącym życiem centrum dialogu artystycznego.

Mroczna historia willi przy skoczni. Tam wychowawcy Hitlerjugend szkolili dzieci

Łukasz Bobek
Historia

Obok tętniącego życiem wyciągu skoczni przy ulicy Piłsudskiego 28, stoi budynek, który zdaje się nie pasować do dzisiejszego, komercyjnego oblicza miasta. Ta piękna, choć dziś popadająca w ruiny drewniana willa z potężnych płazów, w czasie okupacji była ważnym punktem w ideologicznej maszynce niemieckiego okupanta. Dzisiaj, gdy grunty pod skocznią warte są milionami, dom niszczeje z wybitymi oknami.

To modelowy przykład architektury podhalańskiej okresu międzywojennego. Wzniesiony najprawdopodobniej około 1927-1930 roku, zachwycał niegdyś kunsztem ciesielskim. Wysoka podmurówka z kamienia chroniła go przed surowym klimatem, a ażurowe balkony pod wysuniętymi okapami nadawały mu luksusowego charakteru.

Willą, wpisana o rejestrze zabytków, została zaprojektowana jako elegancki pensjonat.



Zapomniana willa pod Wielką Krokwią w Zakopanem. Mijają ją tłumy, kto zna jej przeszłość?

Jej losy zmieniły się jednak w 1939 roku, kiedy Zakopane zostało zajęte przez Niemców, stało się częścią Generalnego Gubernatorstwa i zostało wyznaczone na ekskluzywny kurort „nur für Deutsche”. Niemcy, doceniając walory uzdrowiskowe i sportowe miasta, masowo przejmowali polską własność, nadając jej nowe, ideologiczne funkcje.

Archiwalna fotografia z 1943 roku ukazująca willę w nienagan-

nym stanie. Przed wejściem łopocze flaga, a w tle sylwetka Wielkiej Krokwi. To właśnie wtedy budynek pełnił funkcję schroniska w ramach programu Kinderlandverschickung (KLV).

Program KLV, zainicjowany przez Adolfa Hitlera, oficjalnie służył ewakuacji dzieci z bombardowanych miast III Rzeszy w bezpieczne rejony, takie jak Tatry. W rzeczywistości był to jednak potężny aparat indoktrynacji.

W schroniskach takich jak to w Zakopanem, dzieci były izolowane od rodziców i poddawane surowemu reżimowi. Pod okiem wychowawców z Hitlerjugend, młodzi Niemcy byli szkoleni na przyszłe elity partii NSDAP. Dzień wypełniały im apele, polityczne wykłady i hartowanie ducha poprzez sport. Bliskość skoczni narciarskiej była tu kluczowa - sport był dla nazistów fundamentalnym elementem propagandy siły i zdrowia rasy aryjskiej.

Po 1945 roku budynek podzielił los wielu innych upaństwowionych willi, pełniąc funkcje mieszkalne i wczasowe. Z biegiem lat, mimo wpisu do rejestru zabytków, jego blask zaczął przygasać. Obecnie willa znajduje się w rękach prywatnego właściciela, jednak jej stan techniczny pogarsza się z roku na rok. Okna zabite płytami, niszcząca konstrukcja zrębu kontrastują z luksusowymi hotelami wyrastającymi w Zakopanem. Choć obiekt jest chroniony prawem, czas i brak reakcji właściciela działają na jego niekorzyść.

TOPR podsumowuje Wielkanoc

Łukasz Bobek
Podhale

Okres przedświąteczny, naznaczony czwartym stopniem zagrożenia lawinowego i metrowym przyrostem pokrywy śnieżnej, wymusił na służbach najwyższą gotowość. Lawinowa „czwórka” doprowadziła do paraliżu komunikacyjnego i odcięcia schroniska w Dolinie Pięciu Stawów od świata.

Przełom nastąpił 3 kwietnia, gdy poprawa pogody pozwoliła na użycie śmigłowca. Ratownicy przeprowadzili skomplikowaną ewakuację turystów uwięzionych w Pięciu Stawach, łączącą z lotniczym zwiadem nad całym Tatrami. Aby precyzyjnie ocenić skalę zagrożenia, TOPR wykorzystał nowoczesne drony oraz patrole narciarskie, które potwierdziły zejście wielu potężnych lawin.

Gdy 4 kwietnia stopień zagrożenia spadł do trzeciego, centrala zasypana została zgłoszeniami o wypadkach. Najpierw ratownicy interweniowali pod wierzchołkiem Grzesia, skąd podjęli turystkę z urazem kolana. Kolej-



Akcje na Kasprowym Wierchu i na Kalatówkach

nego dnia Sokół operował pod Przełęczą pod Kopą Kondracką u rannego turysty, a chwilę później w rejonie Mysłenickich Turm i Kotła Goryczkowego. W ostatnim przypadku ratownicy musieli wykazać się doskonałą logistyką, ewakuując jednocześnie skrajnie wyczerpanych turystów oraz narciarzy z bolesnym złamaniem nogi.

Seria interwencji trwała aż do 6 kwietnia, przypominając, że mimo kalendarzowej wiosny, w górach wciąż rządzi zima, a bezpieczeństwo zależy od rozwagi turystów.

Humanic mistrzem! 35 edycja NALP za nami!

Maciej Zubek
Sport

Trzydziesty piąty sezon hallowy Nowotarskiej Amatorskiej Ligi Piłkarskiej przeszedł do historii. Mistrzowski tytuł wywalczyli piłkarze Humanic, którzy po raz pierwszy sięgnęli po mistrzostwo, do samego końca rywalizując z drużyną Gazdy.

Wicemistrzem została właśnie Gazda, a trzecie miejsce rzutem na taśmę w ostatniej kolejce wywalczyła drużyna MIX-40. Kolejne miejsca zajęły: KDRK Spytkowice, Winter Classic, Black Boys Czarny Dunajec, Lightbikes.pl, a ligę opuściła drużyna Parzynicka.

W II lidze mistrzostwo i awans do I ligi wywalczyła Wesoła Ekipa, która do samego końca walczyła o pierwsze miejsce z drużyną Amator Sporting. Ostatecznie Amator Sporting zakończył sezon na drugim miejscu, a podium uzupełnił Feniks Electric. Na kolejnych miejscach uplasowały się zespoły: Supra, La Banda, Pub po Bandzie, Turbacz Sport, Gim Forteca oraz ARTCoders.

Po koronę króla strzelców sięgnęli: Daniel Mikoś (Humanic) w I lidze - 32 bramki oraz Jakub Dutkiewicz w II lidze - 30 bramek. Najlepszym bramkarzem I ligi został Tomasz Rogala (Gazda), a MVP całego sezonu I ligi wybrano Daniela Krućkę (Humanic). W II lidze najlepszym bramkarzem został Jakub Kasprzyk (Amator

Sporting), a tytuł MVP trafił do Damiana Dudy. - Za nami bardzo emocjonujący sezon - zarówno w I, jak i w II lidze. Humanic zapewnił sobie mistrzostwo na kolejkę przed końcem, wygrywając bezpośredni mecz z Gazdą. Walka o utrzymanie w I lidze trwała do samego końca - ostatecznie spadła drużyna Parzynicka.

W II lidze Wesoła Ekipa przypieczętowała mistrzostwo w ostatniej kolejce i tym samym wywalczyła awans do I ligi, a podium uzupełnił Feniks Electric. Sporym rozczarowaniem tego sezonu

była drużyna Gim Forteca, która grała bardzo nierówno. Na koniec chciałbym podziękować Burmistrzowi Miasta Nowy Targ Grzegorzowi Wątyśze za objęcie ligi NALP patronatem, współpracę oraz ufundowanie pucharów, medali i statuetek, Dyrektorowi Pawłowi Zychowi, sędziemu Łukaszowi Królczykowi za prowadzenie spotkań oraz firmie Nowotarska Manufaktura Piwna na czele z Andrzejem Wyszyńskim za nagrody indywidualne - podsumował organizator NALP Jan Buczek.

Sezon na trawie rusza 4 maja.



Mistrzowski tytuł wywalczyli Piłkarze Humanic

Retro zawody o Wielkanocne Jajo!

Marcin Szkodziński
Kalatówki

**Jubileuszowe, XXV Zawody
na Starym Sprzęcie Narciarskim
„O Wielkanocne Jajo”
przyciągnęły rekordową
liczbę 131 zawodników.**

Drewniane narty, stroje „z babcinej szafy” i ogromna dawka humoru sprawiły, że lany poniedziałek w Tatrach był naprawdę udany.

Pokonanie slalomu na starych, drewnianych deskach bez krawędzi było wyzwaniem.

Narty się skrzyżowały, przeleciałam. Trudno, przeżyję i to! Cały rok czekamy, żeby tu być - mówiła Iza Wysocka.

Dla wielu startujących zawody to powrót do korzeni narciarstwa, gdzie zamiast nowoczesnych membran, liczyło się

wycucie drewna i... mocna głowa. Jasiak Stanuch i Monika Obrecht z podkreślali, że jazda na takim sprzęcie to sztuka. - Trza se poradzić na tych drewnianych nartach. Dawniej nie było tylu ubrań, trzeba było jechać w tym, co było.



Czasami dostawało się od dziadków grę, z którą nie za bardzo wiadomo było co zrobić - żartuje duchowny. - No, ale przecież rozpakowywało się ją z uśmiechem, instalowało i grało, prawda?

Ksiądz dr Paweł Rybka ma 34 lata, aktualnie służy w bydgoskiej parafii św. Maksymiliana Kolbego. Przedstawia się po prostu jako moderator Ruchu Światło-Życie w diecezji bydgoskiej.

Tę historię można też zacząć inaczej: Józef ma 19 lat i posiada niezwykle dar. Trochę jak superbohater, ale taki bez trykotów. No, chyba że to jakaś nowa postać z uniwersum Marvela, tylko nosząca się „po cywilnemu”. Żadnych peleryn, żadnych masek. Ta jego supermoc to umiejętność naprawiania urządzeń. W ogóle wiele w nim z MacGyvera (dla wielu milenialsów był to serial niemal formacyjny). Przywróci do stanu użyteczności ekspres do kawy, kosiarkę i... Właściwie nie tylko urządzenia. Złamane serce też. Choćby serce jego siostry, która właśnie rozstała się z chłopakiem. Józef jest ministrantem i wrócił do domu na wsi na wakacje. Jego tata właśnie kończy pisanie powieści sensacyjnej, a Józef jeszcze nie wie, jaka przystąpi do niego wkrótce czeka.

To wprowadzenie do fabuły nowej gry, zatytułowanej „The Altar Boy Adventures”. Po polsku można ją przetłumaczyć jako „Przygody ministranta”. Gra dopiero co ukazała się w wersji demo na platformie Steam. Napisał ją właśnie Paweł Rybka.

Programista został księdzem czy ksiądz programistą?

- Księża mają różne pasje i hobby. Jest taki ksiądz w diecezji pelplińskiej, Tomek Borek, który robi gry planszowe. Kolega ze studiów, Indonezyjczyk, obecnie też ksiądz, w każdy weekend wyjeżdżał w góry się powspinać. Każdy potrzebuje jakiejś odskoczni - mówi ks. Rybka. - Ja z kolei jestem po mat-infie w liceum, chciałem potem iść na studia informatyczne, ale poszedłem do seminarium, bo tak mnie Pan Bóg prowadził. Pasja jednak została. Przedtem robiłem strony internetowe i grafiki. Programowałem jeszcze w Pascalu.

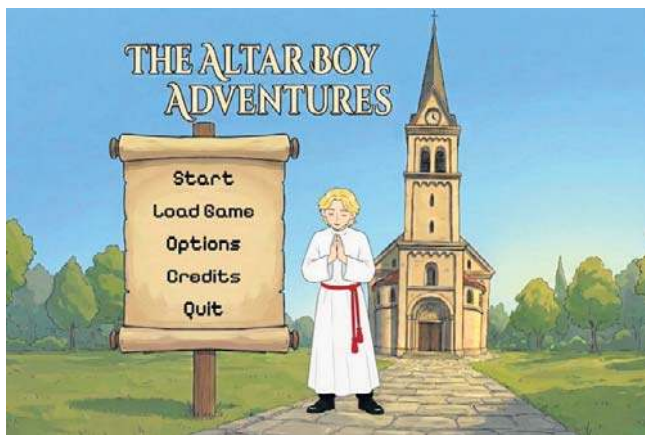
Na uwagę, że w tamtych latach na informatyce w szkole uczono obsługi nakładki systemowej Norton Commander, ksiądz uśmiecha się: - No, w Nortonie to trzeba było umieć komendy. To było. A jeszcze pamiętam, jak mieliśmy dyskietki. Kiedy jakiś sterownik zajmował trzy nośniki, a jeden źle się załadował, to trzeba było zacząć instalowanie od początku. Łatwo nie było.

Ta rozmowa milenialsów, księdza i dziennikarza, dzieci

PROGRAMISTA W SUTANNIE, CO NIE BOI SIĘ AI

- Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie grałem w Counter Strike'a - mówi bydgoski ksiądz Paweł Rybka. Śmieje się, kiedy rozmawiamy o grach. I o tym, jak dzieciaki lat 90. spędzały święta. Wiadomo, grało się nawet nocami. Z rodzeństwem, z kuzynem. Bo, jak inaczej? Skoro często prezentami też były gry

Maciej Czerniak



Bohaterem gry jest ministrant Józef



Gracz ma do rozwiązania też życiowe problemy

Neostrady (usługi jednego z operatorów, z której korzystanie stało się niemal pokoleniowym doświadczeniem), zaczyna przypominać konwersację boomerów. A nie tak miało być. Miało być na poważnie.

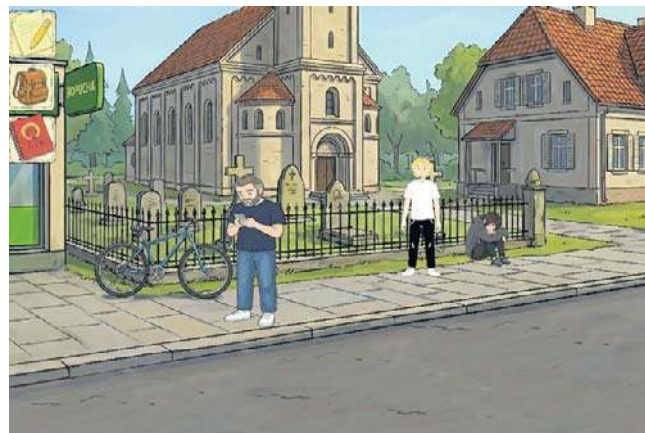
I znów wspominki. Święta też często spędzało się przy komputerze, na granicy z rodzeństwem, kuzynostwem. - Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie grałem w Counter Strike'a - mówi bydgoski ksiądz.

Solo dev w sutannie osiadł AI

Krótką notką o autorze gry: Urodzony w 1992 roku w Bydgoszczy, absolwent VIII LO, później bydgoskiego Wyższego Seminarium Duchownego. Święcenia kapłańskie w 2017

roku, potem Studia Specjalistyczne w Rzymie z zakresu Historii Kościoła oraz Historii Sztuki - ukończone w 2021. Tworzy internetowy kanał na YouTube „Pajda Chleba” z rozważaniami, jest animatorem oazowym, obecnie moderatorem wspomnianego ruchu diecezjalnego. Prowadził też rozmowy z dziećmi w emitowanym w telewizji programie „Bliżej Nieba”.

- Często mówimy, że świat jest zły, internet jest zły, a tak naprawdę to jedna z tych przestrzeni, w której młodzież czuje się jak w domu. Warto przez to narzędzie dotrzeć do młodych ludzi, a przynajmniej warto próbować - mówi ksiądz Rybka. - Wiem, że dla młodych influencerzy stają się punktami odniesienia. Właściwie nie ma



Rozgrywka w „The Altar Boy...” osadzona jest na wsi



Twórca gry, ksiądz dr Paweł Rybka

już w ich słowniku terminu „autorytet”. To słowo się zastarzało. Z drugiej strony, mówimy tak o młodych, a czy sami jeszcze potrafimy wskazać, kto jest dla nas autorytetem?

- Jeszcze kilka lat temu, jako kleryk, byłem na bieżąco z czołowymi youtuberami. Wiedziałem, kim jest Friz i inni z Instagrama czy TikToka. Teraz już sam się w tym gubię. Tego jest po prostu za dużo - zauważa.

Oczywiście, zaznacza, jest wiele dzieciaków, które nie zamierzają się w swoim pokoju z telefonem w ręce. - Są dzieciaki z różnymi pasjami. I nie mówię tylko o tych, które wybierają się na wyjazdy oazowe. Co do zasady, jednak z nadużywaniem technologii wśród młodzieży jest problem. - My, dorośli powinniśmy próbować

dotrzeć do nich. A to trudne, by przekaz dorosłych, rodziców, ale i księży, był tak atrakcyjny, jak to, co oferuje YouTube.

Ksiądz podjął próbę i - spełniając też swoje dziecięce marzenie - napisał oraz udostępnił grę w internecie. - Programowanie to też pasja. Sam to uwielbiam i choć nie jestem zawodowym programistą ani elektronikiem, to Kocham zabawę w te rzeczy.

Grę „The Altar Boy...” napisał jako „solo dev”, czyli niezależny twórca. Tak to się określa w przemyśle gamingowym. Dzieło jest jednak przedstawiane jako produkcja wytwórni KsRybkaStudio. W informacji o autorze, dostępnej w menu głównym, czytamy: „Ta gra to dowód na to, co można stworzyć, łącząc ludzką

kreatywność z potęgą sztucznej inteligencji (AI), która wspierała mnie na każdym etapie produkcji”. Od grafik 2D po optymalizację kodu.

Pierwszy święty od routera

Ksiądz tworząc grę, sam jeszcze uczy się pracy przy użyciu silnika Godot (języka programowania). Jak sam zaznacza, gracz wciela się w postać głównego ministranta, który w wolnym czasie jest lokalną „złotą rączką”. Rozgrywka to miks przygodówki i logicznych minigier. Z jednej strony, gracz naprawia domowe sprzęty (jedno z zadań to układanie ścieżek elektronicznych), z drugiej - przygotowuje zakrystę do mszy.

- To, generalnie, tzw. point clicker. Kiedyś takich gier powstawało dużo. Grałem w „Hopkins FBI”, „Syberię” - wymienia. Wspomnieć można o innych podobnych, jak „The Secret of Monkey Island”, „Indiana Jones”. Wśród wirtualnych „itemów”, czy „artefaktów” gracz odnajduje m.in. plakat z postacią św. Carlo Acutisa, pierwszego milenialisa na ołtarzach, który sam był komputerowym geekiem. Warto wyjaśnić, że zmarłego w wieku 15 lat Acutisa papież Leon XIV kanonizował we wrześniu 2025 roku. Chłopak tworzył strony internetowe, dokumentujące cuda eucharystyczne. Poza tym był typowym nastolatkiem - grał na Playstation, nagrywał filmiki na YouTube. Jest nazywany „bożym influencerem”.

- Dedykuję wiele dzieł, jakie podejmuję. Przypomina mi się taki mem, który mi przysłał kiedyś kolega: Jak się zabezpiecza sieci internetowe w naszej słowiańskiej sferze? Zdjęcie: Zwój kabli ethernetowych z doczepioną ikoną Matki Bożej - opowiada ks. Rybka. - Wierzę, że to byłaby też droga, którą on by nam dzisiaj pokazywał. Zachwyca się za każdym razem, kiedy myślę o tym młodym człowieku, który w latach dwutyśnych stworzył strony internetowe o cudach. Warto pamiętać, że wszystkie rzeczy, które mamy, cała ta technika, komputer, internet to są narzędzia. One są czymś obojętne moralnym, ale od nas zależy, jaką im wartość nadamy. Czy one będą nam służyć, czy my im będziemy służyć. Tego my się cały czas uczymy.

Demo gry na Steamie jest bezpłatne. Ksiądz liczy na uwagi i komentarze, jak można rozwinąć rozgrywkę. „The Altar Boy...” jest w trzech językach: polskim, angielskim i włoskim. Wersja demonstracyjna miała jak dotąd około 1700 pobrań. Pełna wersja będzie płatna?

- Jeszcze nie wiem. Jeśli tak, to może w cenie BigMaca. Żeby nie było szkoda - żartuje. ©©



FOT. BARTOSZ SADOWSKI

Monika Kuszyńska dwadzieścia lat temu uległa ciężkiemu wypadkowi. Po długiej rehabilitacji, dzięki determinacji, odwadze, muzyce i miłości odzyskała swoje życie i należy do najbardziej inspirujących artystek na naszej scenie

ODRODZENIE ZACZYNA SIĘ OD POKOCHANIA. SIEBIE I DRUGIEJ OSOBY

Historia jednej z najbardziej życzliwych świata polskich wokalistek pokazuje, że muzyka, miłość, determinacja i bliskość mogą wydzwignąć z najczarniejszej rozpacz

Dariusz Pawłowski

Nie jest odkrywczą prawdą, iż życie wywraca do góry nogami jedną, niezapowiedzianą chwilą, lecz biografie wielu osób nieustannie niosą tegoż potwierdzenie. Ważne jest jednak to, co wydarzy się potem. Ile wysiłku i determinacji potrafimy włożyć w to, by cierpienie nie stało się zamknięciem.

Dwadzieścia lat temu, 28 maja 2006 roku, łódzki zespół Varius Manx, wówczas jeden z najpopularniejszych w Polsce, w deszczową niedzielę rano wracał z sobotniego koncertu w Miliczu. Auto prowadził lider formacji Robert Janson, razem z nim podróżowali wokalistka grupy Monika Kuszyńska oraz gitarzysta i realizator dźwięku. W pewnym momencie samochód wpadł w poślizg na mokrej nawierzchni i po dachowa-

niu uderzył w drzewo. Ciężko ranną Monikę Kuszyńską przewieziono do szpitala na oddział neurochirurgii. Artystka przeszła skomplikowaną, 6-godzinną operację kręgosłupa (operowano także Roberta Jansona). Jednak w wyniku przetrwania rdzenia kręgowego nastąpił paraliż dolnych partii ciała i od tego czasu Monika Kuszyńska porusza się na wózku inwalidzkim. Po długiej rehabilitacji wróciła do życia publicznego, występowała w mediach, zrobiła wiele, by zainspirować innych do walki o siebie i swoją przyszłość. Po trzech latach od wypadku znów zaczęła śpiewać.

Monika Kuszyńska nie kryła, że pierwsze miesiące po wypadku były dla niej traumatyczne, nie mogła pogodzić się ze swoim stanem. Gdy usiadła

na wózku, lękała się opuszczać dom, miała obawy, że ludzie na ulicy będą ją obserwować, komentować jej sytuację. Trudno nawet wyobrazić sobie, co musiała przejść, jaką drogę pokonać, by odnaleźć w sobie siłę na odrodzenie. Teraz może sobie pozwolić na to, by nie wracać myślami do przeszłości.

Monika Kuszyńska urodziła się w Łodzi i zawsze czuła silny związek z tym miastem. Wychowała się w blokowisku przy ulicy Hibnera (obecnie Waryńskiego) na Kozinach. Ukończyła XXI Liceum Ogólnokształcące im. Bolesława Prusa, a następnie uzyskała tytuł magistra sztuki (specjalizacja: muzykoterapeuta) łódzkiej Akademii Muzycznej. Ma młodszą o pięć lat siostrę, Martę, absolwentkę łódzkiej Akademii Sztuk Pięknych i psycholożkę, która jest

cenioną projektantką mody (pod własną marką), ale tworzy też biżuterię z kamieni.

Monika Kuszyńska debiutowała w dziecięcym zespole Uśmiech Pana Karola, w liceum udzielała się w szkolnym chórze i teatrze, brała udział w konkursach recytatorskich, ale profesjonalną karierę zaczęła jako wokalistka zespołu Fahrenheit. Pod koniec 2000 roku została wokalistką Varius Manx, zaczęła pisać teksty piosenek. Nagrała z Variusami albumy „Eta”, „Eno”, „Emi”. Wspólnie z piosenką „Moje Eldorado” zdobyli pierwszą nagrodę w finale Festiwalu Piosenki Krajów Nadbałtyckich w Karlshamn.

Aż...

Po wypadku do nagrania nowej piosenki namówiła ją w roku 2009 wokalistka Beata Bednarz, na której albumie „Pa-

sja miłości” znalazł się napisany i wykonany przez Monikę Kuszyńską utwór „Nowa rodzę się” z budującymi słowami: „Jak dobrze jest, wolnym od lęku budzić się, i wiedzieć, że ból odejdzie, spokój w sobie mieć”.

Pierwszy krok został zrobiony, od tego momentu nie brakowało wydarzeń symbolicznych. W 2010 roku Monika Kuszyńska wystąpiła po raz pierwszy od wypadku publicznie w telewizji - śpiewając w programie „Dzień dobry TVN”. W tym samym roku była jurorką podczas 6. Festiwalu Zaczarowanej Piosenki w Krakowie, a we wrześniu w ramach Europejskiego Festiwalu Filmowego „Integracja Ty i Ja” w Koszalinie zagrała pierwszy koncert po wypadku.

Okazało się, że fani czekali, muzyka pozostała spełnieniem. W czerwcu 2012 roku wystąpiła z piosenką „Ocaleni”, nagrałą z łódzkim chórem z telewizyjnego programu „Bitwa na głosy”, w konkursie „Premiery” podczas 49. Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu, a dziesięć dni później wydała pierwszy, solowy album studyjny zatytułowany „Ocalona”. Dwa lata później kolejną przejmującą chwilą - artystka wystąpiła podczas 51. KFPP w Opolu, w którego trakcie zaśpiewała utwór „Moja i twoja nadzieja” w ramach koncertu pod hasłem „25 lat! Wolność - kocham i rozumiem”. Nadzieja nie tylko wróciła, ale „uczyniła realnym krok w chmurach”.

W roku 2015 była reprezentantką Polski w 60. Konkursie Piosenki Eurowizji w Wiedniu. W tym samym roku ukazała się autobiograficzna książka Moniki Kuszyńskiej „Drugie życie” - wywiad rzeka przeprowadzony przez Katarzynę Przybyszewską. Rozpoczęły się kolejne nagrania, występy, liczne akcje charytatywne i kampanie społeczne, telewizyjny cykl przedstawiający inspirujące historie ludzi, wyjątkowe projekty. Artystka była też mentorką w programie typu talent show TTV - „Usłyszcie nas!”.

W kwietniu 2018 roku wokalistka wróciła do Milicza, po dwunastu latach od wypadku. „Tu skończyło się moje pierwsze życie” - powiedziała ze sceny. W tym momencie Monika Kuszyńska w pełni budowała już swoje drugie życie.

W tym miejscu pojawia się jeszcze jedna myśl wypowiedziana wiele razy, a przez to tak piękna i niezmiennie prawdziwa. O miłości, która nas zmienia, tworzy, obdarowuje mocą i sensem. Umysławia, że najważniejszą jest, cierpliwa jest, łaskawa jest... nie szuka poklasku, nie unosi się pychą... wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieje, wszystko przetrzyma... i tak dalej.

W lipcu 2011 roku Monika Kuszyńska poślubiła ukochanego mężczyznę, ale i wielkie-

go przyjaciela - znakomitego, niezwykle wrażliwego saksofonistę, kompozytora i aranżera Jakuba Raczyńskiego. Małżonkowie zamieszkali w Tuszynie pod Łodzią, mają dwoje dzieci: 9-letniego dziś Jeremiego oraz 7-letnią Kalinę.

Poznali się jeszcze w zespole Varius Manx - Jakub Raczyński dołączył do grupy w 2001 roku, ale po czterech latach odszedł. „Widziałam w nim świetnego muzyka, saksofonistę, fajnego, wesołego kolegę... i tyle” - wspominała ten czas Monika Kuszyńska.

Po wypadku Kuba próbował skontaktować się z Moniką. Nie udało się, jej telefon milczał, artystka mieszkała wtedy w Białym-Białym. „Po raz drugi pojawił się w moim życiu niecałe dwa lata po wypadku. Kiedy stanął w drzwiach 14 stycznia, w moje urodziny, z naręczem żółtych tulipanów, poczułam wiosnę w środku zimy” - powiedziała wokalistka w jednym z wywiadów.

„Dzięki Kubie odzyskałam kobiecość” - wyznała Monika. Razem zaś pozyskali własną muzykę i plany na resztę życia. Wspólnie napisali piosenkę „In the Name of Love”, którą Monika śpiewała w Konkursie Eurowizji, razem przygotowali album „Ocalona”. Mają mnóstwo pomysłów.

Czas po wypadku Monika Kuszyńska wspomina obecnie jako okres smutku i beznadziei. „Nie wierzyłam, że z tego wyjdę, nie potrafiłam patrzeć w lustro, nie wyobrażałam sobie powrotu na scenę, byłam przekonana, że wypadek i wózek odebrały mi kobiecość, urodę, szansę na dobre życie, macierzyństwo” - powtarza pytana o odczucia w tamtych dniach. Czarne myśli, które oplatają niejednego człowieka - ba, także o znacznie mniej dojmujących doświadczeniach.

Tymczasem dziś opowieść Moniki Kuszyńskiej to emocje szczęśliwej, spełnionej kobiety, artystki, poszukującej nowych wyzwania, form twórczej wypowiedzi. To osiągnięcie jest nie tylko jej ogromnym, osobistym sukcesem, ale również wielkim darem dla wszystkich pograżonych w ciemności. Odrodzenie jest możliwe, trzeba dać sobie tę możliwość. Przyjąć wsparcie, które na tej drodze jest nam oferowane, by następnie oddać je kolejnym potrzebującym. Że banałem to podszyte? No jak owe prawdy życia największe.

Monika Kuszyńska regularnie koncertuje i pracuje obecnie nad nowymi piosenkami. Kuba Raczyński natomiast ogłosił, że cała rodzinna czwórka przeprowadziła się do Warszawy. Cóż, są muzykami, nie tylko z pasji - to także, a może przede wszystkim, ich praca. Stolica w tej branży to większe możliwości. I tę decyzję uznajmy za początek „trzeciego życia”, nowego etapu w tej mobilizującej historii.

TYGODNIK Małopolska ZACHODNIA

Gazeta Krakowska

www.gazetakrakowska.pl



HOKEJ
SMUTNY KONIEC
SEZONU
W OŚWIĘCIMIU.
UNIA DRUGI
ROK Z RZĘDU
NA CZWARTYM
MIEJSCU
str. 7

FOT. JERZY ZABORSKI

ROZPOCZYNA SIĘ SEZON W PARKACH ROZRYWKI

WIOSENNA DAWKA ADRENALINY

Legandia już otwarta.
Energylandia i Zatorland
szykują się do startu
str. 6



FOT. SŁAWOMIR BROMBOSZCZ

TURYSTYKA

Velo Pustynia.
Na rowerze i nie tylko
warto odpoczywać
na ścieżkach Pustyni
Błędownskiej **str. 2**

CHRZANÓW

Były dziury na ulicy
Dworskiej i było
bezpiecznie.
Po remoncie kierowcy
tam szarżują **str. 4**

POGORZYCE

Sukces, który zobowiązuje.
Ksiądz Zbigniew Pytel trzeci raz
z rzędu jest w gronie laureatów
plebiscytu „Osobowość Roku” **str. 5**

OŚWIĘCIM

Krwawa rozprawa
z groźnym gangiem
Oblawa i strzelanina.
A wszystko ponad sto
lat temu **str. 5**

Krystyna
Trzupek



Małe cuda

Nie kolekcjonuj zmartwień. Radość lubi być na wierzchu. Nie kolekcjonuj trosk. One nie budują domu. Co najwyżej zasłaniają okna. Troski są jak pajęczyny. Snują się pod sufitem. Wiszą w kątach, za szafą, cicho i uparcie. Z początku prawie ich nie widać, tylko światło jakby trochę słabsze, trochę mniej odważne. A potem coraz trudniej przedziera się do środka.

Nie zbieraj zmartwień, frasunków. Nie wnoś ich do domu jak błota z drogi, które przylepia się do butów i zostaje na podłodze dłużej niż trzeba. Dom nie jest od tego, żeby wszystko w nim przechowywać. Dom jest od oddychania. Od światła.

Zamiataj czasem duszę jak pokój. Poodsuwaj szafy na środek, powymiataj wszystkie kąty i zakamarki, nie tylko od święta. Zetrzyj naleciałe troski jak kurz, przewietrz szpary, w których zbiera się to, czego nie chcesz już nosić. Człowiek potrafi przyzwyczaić się nawet do ciężaru. Do tego, że coś uwiera, że coś przeszkadza oddychać. A przecież nie po to jest serce, żeby było schowkiem na wszystko, co trudne.

Otwórz okno. Niech wejdzie trochę światła, nawet jeśli nieśmiało, nawet jeśli tylko na chwilę. Niech poruszy firanką myśli, które już dawno przestały być potrzebne. Nie bój się pustych miejsc. One nie są po to, żeby straszyć, ale żeby zrobić przestrzeń. Na słowo dobre, na spokój, na radość, wdzięczność.

Zamiataj duszę nie tylko wtedy, gdy wypada. Ale wtedy, gdy czujesz, że robi się za ciasno. Troski lubią ciemne i wilgotne kąty. Zmartwychwstanie nie jest tylko raz w roku.

Ono dzieje się wtedy, gdy zamiast kolejnego zmartwienia wybierzesz – wdzięczność. Gdy zamiast zamknąć drzwi, zostawisz je uchylone dla nadziei.

Małe cuda dnia nie zmieniają całego świata.

Ale mogą zmienić twój dzień.

A czasem to wystarczy, żeby wszystko zaczęło się od nowa.

OLKUSZ

Rolkowisko zastąpi lodowisko

Sezon na lodowisko w Olkuszu dobiegł końca. Jak na razie hala wielofunkcyjna w Ośrodku Sportowo-Wypoczynkowym „Czarna Góra” jest nieczynna. Taki stan nie potrwa jednak długo. Niebawem mieszkańcy oraz turyści będą mogli tam skorzystać z rolkowiska.

Podczas ostatniej imprezy na lodowisku, która odbyła się w marcu, mieszkańcy bawili się oglądając pokazy freestyle'owe oraz pokazy jazdy figurowej. Były też zabawy, mini zawody na lodzie, wspólne tańce, konkurs z upominkami oraz dyskoteka. Teraz funkcjonuje tam jedynie kawiarnia. Niebawem jednak obiekt zostanie przystosowany do nowej funkcji. Na razie nie wiadomo jakie będą godziny otwarcia, ceny biletów oraz czy w ofercie obiektu znajdzie się wypożyczalnia sprzętu. PM

NOWA ATRAKCJA TURYSTYCZNA W CHEŁMKU

Wieża ze wspaniałymi widokami

Wieża widokowa im. rtm. Witolda Pileckiego w Chełmku została otwarta. Oficjalna inauguracja planowana jest pod koniec kwietnia, ale już można wejść na górę i podziwiać niesamowite widoki.

Wysoka na 36 metrów wieża na wzgórzu Skała to nowa atrakcja turystyczna Chełmka i Małopolski, a jedno-

ześnie miejsce pamięci i edukacji poświęconym rotmistrzowi Witoldowi Pileckiemu.

W Chełmku są przekonani, że będzie przyciągała turystów. Z platformy widokowej można zobaczyć panoramę Kotliny Oświęcimskiej, Wyżyny Śląsko-Krakowskiej, a przy dobrej widoczności pasmo Karpat. BOK

Velo Pustynia, czyli popularne ścieżki na Pustyni Błędowskiej. Co się zmieniło?

Paweł Mocny
pawel.mocny@polskappress.pl

Tegoroczny sezon turystyczny będzie drugim, w którym można w pełni skorzystać z całej trasy Velo Pustynia na Pustyni Błędowskiej.

Szlak został oficjalnie otwarty w ubiegłym roku i od razu wzbudził spore zainteresowanie, zarówno wśród rowerzystów, jak i osób szukających ciekawego miejsca na spacer, bieganie czy jazdę na rolkach. Sprawdziliśmy, jak trasa wygląda tuż przed drugim sezonem turystycznym swojego funkcjonowania i czy nadal robi tak dobre wrażenie jak na początku.

Okazuje się, że tak. Nowa infrastruktura jest w bardzo dobrym stanie, a ścieżki są dobrze przygotowane. Mimo że tegoroczny sezon dopiero się zaczyna, na trasie widać rowerzystów, spacerowiczów, biegaczy i innych miłośników aktywnego spędzania czasu.

Największe wrażenie wciąż robi fragment prowadzący przez Dolinę Białej Przemszy.



FOT. PAWEŁ MOCNY

Największe wrażenie wciąż robi fragment prowadzący przez Dolinę Białej Przemszy, gdzie są pomosty i kładki

Pomosty i kładki nad doliną były już wcześniej jednym z najbardziej charakterystycznych elementów całej trasy, ale w tym roku jest tam jeszcze ciekawiej. W dolinie pojawiło się sporo wody, dzięki czemu krajobraz stał się bardziej malowniczy. Widoki z drewnianych pomostów są teraz jeszcze lepsze. W miejscach, które rok temu były suche teraz rozlewa się rzeka a całość wygląda znacznie „żywiej”.

Sama Pustynia Błędowska też się zmienia. Cały czas trwa ochrona tego obszaru, która polega między innymi na usuwaniu drzew i krzewów zarastających pustynię. Dzięki temu z roku na rok krajobraz robi się coraz bardziej otwarty i coraz bardziej przypomina pustynię. Już teraz widać, że miejscami przestrzeń jest wyraźnie większa niż jeszcze rok temu.

Małą nowością, która cieszy, są dodatkowe tabliczki wskazu-

jące przebieg nie tylko Velo Pustynia, ale także pokrywającego się z nią Velo Przemsza.

Velo Pustynia nadal pozostaje jedną z najciekawszych tras rekreacyjnych w regionie. Trudno znaleźć w okolicy miejsce, które równie dobrze sprawdziłoby się dla tak wielu aktywności: jazdy na rowerze, biegania, spacerów czy jazdy na rolkach. Trasa jest łatwa, widokowa i dobrze przygotowana, a przy tym prowadzi przez teren, który naprawdę wyróżnia się na tle reszty regionu.

Warto jednak pamiętać o jednej rzeczy. W związku z prowadzoną wycinką drzew w ramach czynnej ochrony pustyni część szutrowych fragmentów trasy jest chwilowo w gorszym stanie. W wielu miejscach pojawiło się sporo błota, które powstało przez ciężki sprzęt wjeżdżający na teren pustyni, żeby wycinać i wywozić zarosła. Nie jest to nic, co uniemożliwia przejazd, ale momentami trzeba po prostu zwolnić albo liczyć się z tym, że rower trochę się ubrudzi. ©

ZDJĘCIE TYGODNIA



FOT. SŁAWOMIR BROMBOSZCZ

W środę w Chrzanowie rozpoczęła się coroczna akcja sadzenia drzew organizowana przez Polskie Towarzystwo Tatrzzańskie - Oddział w Chrzanowie, we współpracy z Nadleśnictwem Chrzanów. Choć kalendarzowa wiosna trwa w najlepsze, uczestników wydarzenia przywitała zdecydowanie bardziej zimowa aura. Lodowaty wiatr, niska temperatura oraz chwilami prószący śnieg nie zniechęciły jednak ani organizatorów, ani dzieci. Pierwszy etap akcji odbył się na osiedlu Stella, gdzie - mimo trudnych warunków - udało się posadzić aż 2,5 tysiąca młodych drzew. Patronat nad wydarzeniem objęła „Gazeta Krakowska”. SB

10 maja referendum w sprawie odwołania wójta gminy Lanckorona. Mieszkańcy są mocno podzieleni

Jerzy Zaborski
jerzy.zaborski@polskapress.pl

10 maja 2026 rozstrzygnie się przyszłość Ryszarda Gonetę w roli wójta gminy Lanckorona. Wtedy mieszkańcy w referendum zdecydują, czy chcą, aby nadal pełnił swoją funkcję. Do urn musi pójść 1755 osób, aby wynik nabrał mocy prawnej.

Wójt sprawuje urząd od kwietnia 204 roku. Jego decyzje szybko i mocno podzieliły mieszkańców. Przede wszystkim dlatego, że zrezygnował z budowy krytego basenu w Izdebniku, choć inwestycja była już przygotowywana za jego poprzednika. Planowano rozpoczęcie prac.

Ryszard Gonet uznał, że inwestycja przekracza możliwości finansowe małej gminy, szczególnie ze względu na wysokie koszty utrzymania obiektu. Jego decyzja spotkała się ze sprzeciwem części mieszkańców, zwłaszcza tych z Izdebnika.

Zdaniem zwolenników referendum, nie chodzi tylko o zaniechanie budowy basenu. Referendum to także kwestia wizji przyszłości dla gminy.

Ryszard Gonet zdecydował się zabrać głos. - W ostatnich dniach pojawiło się wiele emocji, niepewności i sprzecznych przekazów wokół referendum. Dlatego chcę powiedzieć jasno: nasza gmina potrzebuje dziś spokoju, odpowiedzialności i stabilizacji. Zaznaczył, że szanuje prawo mieszkańców do decyzji.

Dworzec w Trzebini zamknięty na noc. To efekt wiosny czy libacji i dewastacji?

Sławomir Bromboszcz
slawomir.bromboszcz@polskapress.pl

Zmieniły się zasady funkcjonowania poczekalni na dworcu autobusowym w Trzebini. Obiekt nie jest już dostępny przez całą dobę. Wraz z nadejściem cieplejszych miesięcy zdecydowano o powrocie do ograniczonych godzin otwarcia. Czy to jedyny powód takiej decyzji?

Przypomnijmy, że w styczniu, w czasie silnych mrozów, podjęto decyzję o udostępnieniu poczekalni przez 24 godziny na dobę. Rozwiązanie miało charakter interwencyjny i było podyktowane troską o osoby najbardziej narażone na wychłodzenie, w tym osoby w kryzysie bezdomności. Całodobowy dostęp umożliwił ochronienie się przed niskimi temperaturami i trudnymi warunkami atmosferycznymi. Był

to także ukłon w kierunku osób korzystających z nocnego kursu autobusowego.

Teraz, jak tłumaczy trzebiński magistrat, wraz z poprawą pogody poczekalnia czynna będzie codziennie w godzinach od 5 do 23. Godziny funkcjonowania zostały dostosowane do rozkładów jazdy komunikacji miejskiej. Poczekalnia będzie dostępna od pierwszych porannych odjazdów do ostatnich kursów w ciągu dnia, z wyjątkiem nocnej linii N.

Całodobowe udostępnienie obiektu wiązało się również z problemami. W tym czasie dochodziło do aktów wandalizmu, zdarzały się przypadki spożywania alkoholu na terenie dworca, a także koczowania osób, które nie zawsze korzystały z przestroni zgodnie z jej przeznaczeniem. To sprawiło, że rozważanie, choć potrzebne w czasie mrozów, nie było właściwie wykorzystywane przez wszystkich użytkowników. ©



W styczniu, w czasie silnych mrozów, podjęto decyzję o udostępnieniu poczekalni przez 24 godziny na dobę



FOT. SŁAWOMIR BROMBOSZCZ

Jednostki węglowe wciąż odgrywają istotną rolę w stabilizacji systemu energetycznego

TRZEBINIA W PLANACH BUDOWA KOTŁÓW GAZOWYCH

Co dalej z Elektrownią Siersza? Węgiel dostanie drugie życie?

Sławomir Bromboszcz
slawomir.bromboszcz@polskapress.pl

Elektrownia Siersza w Trzebini pozostanie w eksploatacji dłużej niż wcześniej zakładano. Tauron potwierdził, że dzięki uzyskaniu wsparcia z rynku mocy jednostka będzie mogła pracować co najmniej do końca 2026 roku, a spółka już przygotowuje się do kolejnych aukcji, które mogą zapewnić jej funkcjonowanie do 2028 roku.

Elektrownia Siersza wciąż pozostaje jednym z kluczowych elementów systemu energetycznego w południowej Polsce. Choć jeszcze kilka lat temu jej przyszłość stała pod znakiem zapytania, dziś - dzięki działaniom spółki Tauron, stronie społecznej oraz samorządowi - rysuje się scenariusz dalszego funkcjonowania i transformacji zakładu.

W tym roku w Elektrowni Siersza realizowana jest szeroko zakrojona kampania remontowa bloków węglowych o wartości około 16 mln zł. Jak podkreślają przedstawiciele Tauronu, inwestycja ta ma kluczowe znaczenie dla utrzymania sprawności technicznej jednostek i umożliwienia ich dalszej eksploatacji.

- Inwestycja umożliwi technicznie eksploatację w kolejnych latach, tak abyśmy mogli skutecznie wystartować w aukcji rynku mocy na rok 2027 i mam nadzieję na lata kolejne - podkreśla Michał Orłowski, wiceprezes Zarządu ds. Zarządzania Majątkiem i Rozwoju w Tauronie.

Obecne przepisy ograniczają jednak funkcjonowanie tego typu bloków do końca 2028 roku. Mimo to Tauron nie wyklucza wydłużenia ich pracy, jeśli zmienią się regulacje. Spółka podkreśla, że sytuacja geopolityczna i rosnące znaczenie bezpieczeństwa energetycznego mogą sprzyjać takim decyzjom.

Choć transformacja energetyczna postępuje, doświadczenia ostatnich lat, w tym napięcia międzynarodowe i zwiększone zapotrzebowanie na energię, pokazują, że jednostki węglowe wciąż odgrywają istotną rolę w stabilizacji systemu.

Jak wskazują przedstawiciele Tauronu, bloki w Sierszy są stosunkowo młode i mogą pracować dłużej niż do 2028 roku - ograniczeniem jest dziś głównie legislacja, a nie technologia.

Starosta chrzanowski Bartłomiej Gębała zwraca uwagę na zmianę sytuacji elektrowni w ostatnich latach. - Od 2020 roku wiemy, że ta przyszłość różnie się rysowała, ale wspólne działania Grupy Tauron, strony społecznej, strony samorządowej sprawiły to, że dzisiaj się spotykamy w takich realiach, gdzie Elektrownia Siersza działa i są plany na jej dalszy rozwój - zaznacza Bartłomiej Gębała.

Równoległe do utrzymywania bloków węglowych, Tauron przygotowuje nowe inwestycje, które mają całkowicie zmienić charakter elektrowni w nadchodzącej dekadzie. Najważniejsze z nich to budowa bloku gazowego oraz uruchomienie instalacji termicznego przekształcania odpadów (RDF). Zgodnie

z deklaracjami spółki, obie instalacje mogą zostać uruchomione około 2031 roku.

- Kluczową inwestycją w tej lokalizacji jest jednostka gazowa. Mogłaby zacząć funkcjonować już w roku 2031. Wspólnie z partnerem będziemy konfigurowali jednostkę opartą na paliwie RDF, aby wesprzeć rozwiązanie lokalnego problemu śmieciowego - zdradza Michał Orłowski.

Instalacja RDF ma nie tylko produkować energię, ale również rozwiązywać problem odpadów komunalnych.

Największą niewiadomą pozostaje okres przejściowy między potencjalnym wygaszeniem bloków węglowych a uruchomieniem nowych instalacji. Tauron deklaruje jednak elastyczność: możliwość wydłużenia pracy bloków węglowych (jeśli zmieni się prawo), wsparcie dla pracowników - relokacje, szkolenia i programy osłonowe, a także rozwój nowych projektów energetycznych na terenie elektrowni.

Związkowcy podkreślają, że zaproponowany kierunek - łączenie wydłużenia pracy bloków węglowych z inwestycjami w nowe technologie - jest właściwy i oczekiwany przez załogę. Jednocześnie związki zawodowe deklarują otwartość na transformację energetyczną, pod warunkiem, że będzie ona prowadzona w sposób ewolucyjny, z poszanowaniem istniejącej infrastruktury i miejsc pracy.

Jedno jest pewne - Siersza nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. ©

KRÓTKO

TRZEBINIA

Ucieczka z wózkiem pełnym towaru

Sceny jak z komedii, ale zakończenie już zupełnie poważne. W Trzebini doszło do nietypowego pościgu, w którym główną rolę odegrał... wózek sklepowy wypełniony po brzegi zakupami bez paragonu. Policjanci, jadąc na interwencję, zauważyli mężczyznę wybiegającego ze sklepu. Ciągnął wózek sklepowy wypełniony artykułami spożywczymi, przemysłowymi i alkoholem. Widok mundurowych nie wpłynął na niego uspokajająco - rzucił się do ucieczki. Pościg nie trwał jednak długo. Wózek nie jest najlepszym sprzętem - właścicielem sprintera. atrymany to 35-letni mieszkaniec gminy Trzebini. SB

GMINA BOLESŁAW

Tajemnicza śmierć

W miejscowości Krzykawka, na terenie gminy Bolesław, doszło do tragicznego i wciąż niewyjaśnionego zdarzenia. W jednym z domów odnaleziono ciało 69-letniego mężczyzny. Okoliczności śmierci są przedmiotem postępowania prokuratorskiego.

Na ciało mężczyzny natrafili strażacy, którzy otworzyli drzwi do mieszkania. Pomimo wyczuwalnego zapachu spalenizny, nie było widocznych oznak pożaru, co dodatkowo komplikuje ustalenie przebiegu zdarzeń. SB

OŚWIĘCIM

Naruszył zakaz zbliżania się do rodziny

43-letni mieszkaniec Oświęcimia, skazany w 2022 roku za znęcanie, został zatrzymany przez policjantów z oświęcimskiej komendy za naruszenie zakazu zbliżania się do rodziny.

Prokurator przedstawił mężczyźnie zarzut obejmujący złamanie zakazów orzeczonych przez sąd. Następnie zatrzymany został doprowadzony do Sądu Rejonowego w Oświęcimiu. Sędzia po zapoznaniu się z materiałami sprawy wydał postanowienie o trzymiesięcznym areszcie tymczasowym. Jeszcze tego samego dnia mężczyzna został osadzony w jednym z aresztów śledczych. BOK

Na bulwary w Oświęcimiu strach zaglądać po zmroku. Ostatnio wandalę uszkodzili budynek parkingu

Bogusław Kwiecień
boguslaw.kwiecien@polskapress.pl

Sprawa uszkodzenia przez wandalę budynku parkingu na bulwarach w Oświęcimiu zbulwersowała mieszkańców. Jednocześnie zwróciła uwagę na problem bezpieczeństwa w tej części Starego Miasta.

W ostatnich dniach nieznanymi sprawcy uszkodzili dużą szklaną płytę w budynku parkingu przy ul. Bulwary. Sprawa została zgłoszona na policję. Wstępne straty oszacowano na około 30 tysięcy złotych - informuje Urząd Miasta w Oświęcimiu.

Uszkodzona płyta zostanie zabezpieczona, ponieważ w każdej chwili może się całkowicie rozsypać. Jej wymiana może potrwać nawet trzy miesiące ze względu na konieczność sprowadzenia z zagranicy.

Jednocześnie urząd zwraca się do świadków tego zdarzenia o kontakt z policją pod numerem telefonu 47 83 26 280 lub z numerem alarmowym 112. Policja zapewni anonimowość.

Urząd apeluje także o reagowanie na wszelkie przejawy wandalizmu. Nie bójmy się obojętni. Każdy sygnał i każde zgłoszenie do odpowiednich służb ma znaczenie - dodają w urzędzie.

Sprawa zbulwersowała mieszkańców. Nie chodzi tylko o szynę. Do tego dochodzą głośne nocne imprezy, szczególnie w weekendy. - Myślę, że są zakrapiane alkoholem. Taka sytuacja może zniechęcać ludzi, żeby tutaj przychodzić - zwraca uwagę pan Stanisław, jeden z mieszkańców Starego Miasta.

Uważa, podobnie jak wiele innych osób, że potrzebne są zdecydowane działania policji i straży miejskiej. Przypomina, że podobnie działa się tutaj, gdy był jeszcze poprzedni parking.

- Wtedy mieliśmy związane z tym skargi od mieszkańców - potwierdza Agnieszka Komendera, przewodnicząca Zarządu Osiedla Stare Miasto a zarazem radna miasta i zapowiada, że osiedlowy samorząd będzie zgłaszać problem służbom, aby podjęte zostały odpowiednie działania. ©©

Niebezpiecznie zrobiło się na ulicy Dworskiej w Chrzanowie. Były dziury, nie było problemu

Sławomir Bromboszcz
slawomir.bromboszcz@polskapress.pl

Po latach narzekania mieszkańców jedna z najbardziej zniszczonych dróg w mieście wreszcie doczekała się gruntownej przebudowy. Ulica Dworska w Chrzanowie przez wielu uznawana za najgorszą w mieście została oficjalnie otwarta po zakończeniu remontu. Nowa, równa nawierzchnia miała poprawić komfort jazdy i bezpieczeństwo. Jak się jednak okazuje, przyniosła również nieoczekiwane problemy.

Jeszcze niedawno kierowcy zmuszeni byli zwalniać przez liczne dziury i nierówności. Dziś, gdy asfalt jest idealnie gładki, sytuacja diametralnie się zmieniła. Ulica przebiega w szczególnie wrażliwym miejscu: w pobliżu kościoła, szkoły i przedszkola. Mimo znaków informujących o obecności dzieci, wielu kierowców nie zdejmuje nogi z gazu.

Jednym z elementów mających uspokoić ruch było wy-



FOT. GMINA CHRZANÓW

Ulica przebiega w szczególnie wrażliwym miejscu: w pobliżu kościoła, szkoły i przedszkola

niesione przejście dla pieszych. W praktyce jednak jego konstrukcja nie spełnia swojej roli. Wyspa jest na tyle łagodna, że można ją pokonać bez większego zwalniania i niektórzy kierowcy urządzają sobie szybkie przejazdy niemal pod samą szkołą.

Do sprawy odniósł się burmistrz Robert Maciaszek, który zapowiedział konkretne działania. - Część mieszkańców uważa, że wyniesione przejście

dla pieszych jest zbyt niskie. Niestety wynika to z przepisów. Na drogach, po których poruszają się autobusy komunikacji publicznej, takie przejścia muszą mieć łagodniejszy profil - wyjaśnił Robert Maciaszek.

Jednocześnie burmistrz przyznał, że problem nadmiernej prędkości jest realny i wymaga reakcji. - Zgłoszę sprawę policji i poproszę o częstsze patrole drogówki. Mam nadzieję, że kilku kierowców, którzy za-

placą wysokie mandaty, nauczy się przestrzegać przepisów - zapowiedział.

To jednak nie koniec działań. Władze planują także dodatkowe rozwiązania infrastrukturalne. Na ulicy ma pojawić się tzw. próg wypowoy - specjalna przeszkoda, która zmusi kierowców samochodów osobowych do zwolnienia, jednocześnie umożliwiając swobodny przejazd autobusom.

- Zamontujemy dodatkowy próg przed parkingiem, który skuteczniej wymusi redukcję prędkości - dodał burmistrz.

Sytuacja na ulicy Dworskiej pokazuje szerszy problem, z którym borykają się samorządy. Jak zauważył Robert Maciaszek, jest to zjawisko dość powszechne. - Kiedy droga była dziurawa, nikt nie narzekał na prędkość. Gdy pojawia się nowa nawierzchnia, kierowcy zaczynają się rozpętać - podsumował.

Podobne przypadki obserwowane są także w innych częściach gminy, gdzie po modernizacji dróg konieczne staje się wprowadzanie dodatkowych elementów poprawiających bezpieczeństwo. ©©

Pieniądże na inwestycje w Balinie i osiedlu Kąty w zamian za śmierdzące sąsiedztwo składowiska odpadów

Sławomir Bromboszcz
slawomir.bromboszcz@polskapress.pl

Mieszkańcy Balina oraz osiedla Kąty w Chrzanowie po raz kolejny mogą skorzystać z inicjatywy, która na poprawić jakość życia w ich najbliższym otoczeniu.

Zakład Gospodarki Odpadami Komunalnymi w Balinie uruchomił szóstą edycję programu grantowego „Dobry Sąsiad” - przedsięwzięcia będącego formą rekompensaty za uciążliwość związane z funkcjonowaniem składowiska odpadów, w szczególności smród odczuwalny przez lokalną społeczność.

Program od lat stanowi ważny element dialogu z mieszkańcami, którzy najbardziej odczuwają negatywne skutki działalności zakładu. Celem programu „Dobry Sąsiad” jest wspieranie oddolnych inicjatyw mieszkańców, które sprzyjają integracji społecznej oraz rozwojowi działań ekologicznych, edukacyjnych i prozdrowotnych. To mieszkańcy najlepiej wiedzą, czego potrzebuje ich otoczenie - program daje im narzędzia, by te po-



FOT. ZGOK BALIN

W zamian za uciążliwość są pieniądze na inwestycje

trzeby przekuć w konkretne projekty.

Efekty poprzednich edycji są widoczne w wielu miejscach Balina i osiedla Kąty.

Tegoroczny nabór wniosków rozpoczął się 1 kwietnia i potrwa do 30 kwietnia. W tym czasie mieszkańcy, organizacje społeczne oraz instytucje mogą zgłaszać swoje pomysły na projekty, które przyczynią się do poprawy jakości życia w ich okolicy.

Szczegółowe informacje, regulamin oraz formularz zgłoszeniowy dostępne są na stronie: eneris.pl. ©©

Rewitalizacja rynku w Olkuszu zakończona

Paweł Mocny
pawel.mocny@polskapress.pl

Rynek w Olkuszu wzbogacił się między innymi o system zagospodarowania wód opadowych, nowe ławki oraz o nowe kwatery zielone z prawie 30 lipami. Dodatkowo wyremontowana została znajdująca się w centralnej części placu scena. Wykonano również dodatkowe zabezpieczenia piwnic, w których mieści się muzeum „Podziemny Olkusz”.

Rewitalizacja olkuskiego rynku została oficjalnie zakończona. Prace kosztowały około 3,1 miliona złotych z czego ponad 1,7 miliona pochodziło z dofinansowania Funduszy Europejskich dla Małopolski 2021-2027.

W ramach inwestycji odświeżono scenę plenerową oraz zadbane o nową zieleni. Na płycie rynku posadzono 26 lip drobnolistnych, którym towarzyszą specjalnie przygotowane rabaty z niższą roślinnością. Prace objęły również dostosowanie wysokości krawężników oraz usunięcie fragmen-

tów starej nawierzchni wraz z jej podbudową.

Będzie woda do podlewania roślin

Najbardziej zaawansowane działania prowadzono jednak pod powierzchnią placu. Zainstalowano tam system zagospodarowania wód opadowych, składający się z trzech

zbiorników retencyjnych. Ich zadaniem jest magazynowanie deszczówki, która następnie będzie wykorzystywana do podlewania roślin. W sytuacji niedoboru opadów, system może być zasilany z sieci wodociągowej. Całość wspierają pompy elektryczne oraz automatyczne sterowanie przepływem wody.

Modernizacja objęła także podziemia rynku, gdzie znajduje się muzeum „Podziemny Olkusz”. Wykonano tam dodatkowe zabezpieczenia w postaci izolacji i uszczelnień.

Prace poprzedziły badania archeologiczne, które przynio-

sły interesujące odkrycia. Natrafiono m.in. na fragment brukowanej nawierzchni z XVII wieku wraz z rynsztokiem wykonanym z czerwonego zlepieńca parczewskiego. Odkryto także miedziane monety z czasów Jana II Kazimierza Wazy, tzw. boratynki, datowane na lata 1659-1668.

Zidentyfikowany fragment dawnej drogi okazał się częścią historycznego traktu królewskiego łączącego Kraków z Wrocławiem. Szlak ten przebiegał przez Olkusz, odgrywając ważną rolę w handlu i komunikacji.

©©



FOT. PAWEŁ MOCNY

Olkuski rynek jak nowy. Inwestycja kosztowała ponad trzy miliony złotych

Sukces, który zobowiązuje. Ksiądz Zbigniew Pytel kolejny raz został nagrodzony i zapowiada nowy album o Tatrach

Sławomir Bromboszcz
slawomir.bromboszcz@polskapress.pl

Po raz trzeci z rzędu ksiądz Zbigniew Pytel znalazł się w zaszczytnym gronie laureatów plebiscytu „Osobowość Roku”, organizowanego przez „Gazetę Krakowską”. Duchowny służący w Pogorzycach pod Chrzanowem dwukrotnie zwyciężył już w tym plebiscyście. W tym roku musiał „zadowolili się” drugą lokatą w województwie małopolskim, jednak jak podkreśla jest to dla niego ogromny sukces i powód do satysfakcji.

- To już trzeci raz z rzędu, kiedy zdobywam wyróżnienie. Drugie miejsce w Małopolsce to dla mnie naprawdę wielka radość. Sama gala była na wysokim poziomie, a to wszystko pokazuje, że to, co robie, ma sens - mówi ksiądz Pytel.

Duchowny zaznacza, że kolejne wyróżnienia są nie tylko formą docenienia jego pracy, ale przede wszystkim motywacją do dalszego działania. Jak sam przyznaje, jego aktywność



Ksiądz Zbigniew Pytel ze statuetkami „Osobowość Roku”

jest bardzo szeroka - od pracy duszpasterskiej, przez działalność edukacyjną z dziećmi i młodzieżą, po twórczość artystyczną i wydawniczą.

Jednym z najważniejszych obszarów działalności księdza jest fotografia. To właśnie ona od lat stanowi jego największą pasję i sposób na dzielenie się pięknem świata - zwłaszcza gór.

Po sukcesie albumu ukazującego zimowe pejzaże Tatr, które przyniosło mu liczne nagrody, wyróżnienia i rozgłos, przyszedł czas na kolejną odsłonę. - Teraz przygotowuję pejzaże tatrzańskie - lato. Wybieram zdjęcia, ale też planuję jeszcze wyjazdy w teren, żeby wykonać kolejne ujęcia. Chciałbym, żeby ten album zo-

stał wydany w przyszłym roku - zapowiada.

Nowe wydawnictwo ma być naturalną kontynuacją wcześniejszego projektu. Autor liczy, że podobnie jak zimowa odsłona Tatr, także letni album spotka się z dużym zainteresowaniem odbiorców.

Fotografia to jednak nie tylko albumy. Ksiądz Pytel re-

gulaminie prezentuje swoje prace na wystawach - w najbliższym czasie jego zdjęcia będzie można zobaczyć m.in. w Sanoce podczas ekspozycji „Krajobraz górski”. Angażuje się również w wydarzenia kulturalne, takie jak festiwale podróżnicze, gdzie - jak sam przyznaje - spełnia swoje wieloletnie marzenia.

Choć kolejne nagrody mogłyby skłaniać do chwili samozadowolenia i odpoczynku, ksiądz Zbigniew Pytel nie zamierza spoczywać na laurach. Wręcz przeciwnie - traktuje nagrody jako impuls do dalszej pracy. - Bycie proboszczem, praca z młodzieżą, fotografia, publikacje - to wszystko daje mi ogromną satysfakcję. Człowiek widzi, że warto to robić dalej - podkreśla.

Droga księdza Zbigniewa Pytla (ur. 4 czerwca 1972 r.) do obecnych osiągnięć zaczęła się już w dzieciństwie. Urodzony w Białce Tatrzańskiej, od najmłodszych lat miał kontakt z górami i ich niezwykłym krajobrazem. To właśnie Tatry stały się jego pierwszą i najważniejszą inspiracją.

Już jako chłopiec zafascynował się fotografią, podglądając pracę gości odwiedzających pracownię gościnną. Pierwszy aparat - Smiena - był początkiem drogi, która dziś prowadzi do wydawania albumów i prezentowania zdjęć w licznych publikacjach.

Równoległe dojrzewało w nim powołanie kapłańskie. Ostatecznie po ukończeniu szkoły średniej zdecydował się wstąpić do seminarium, łącząc w swoim życiu dwie pasje - duchowość i sztukę.

Jego przygoda z ziemią chrzanowską rozpoczęła się już w 2000 roku, gdy Stanisław Trębacz ówczesny prezes chrzanowskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego zaprosił go na pokaz multimedialny. Od tego czasu regularnie odwiedzał Chrzanów i podczas prelekcji czy wystaw fotografii dzielił się swoimi historiami i prezentował autorskie zdjęcia z różnych zakątków Małopolski i wypraw górskich. Na tyle mocno związał się z tym miejscem, że postanowił zostać członkiem PTT w Chrzanowie oraz jego duszpasterzem. ©

Dni Olkusza 2026 w maju z gwiazdami

Paweł Mocny
pawel.mocny@polskapress.pl

Tegoroczne „Święto Srebra” Dni Olkusza odbędą się 30 i 31 maja. Wśród atrakcji znajdują się występy lokalnych artystów, korowód ulicami miasta, cicha dyskoteka oraz koncerty Golec uOrkiestry i Wojtki Szumańskiego. Impreza, jak co roku, odbędzie się na rynku.

- Z radością zapraszam wszystkich mieszkańców i gości do wspólnego świętowania Dni Olkusza. Przygotowaliśmy bogaty program, który pozwoli każdemu znaleźć coś dla siebie i spędzić ten czas w wyjątkowej atmosferze. Chcemy, by były to dni pełne dobrej energii, muzyki i spotkań. Na odnowionym rynku wystąpią zarówno uznani artyści, jak i młode, lokalne talenty, które współtworzą kulturalny obraz naszego miasta - mówi Roman Piański, burmistrz Olkusza.

Jak zapowiadają władze miasta, wśród atrakcji będą między innymi: korowód ulicami Olkusza, stragany, stoiska promocyjne, cicha dyskoteka oraz wy-



Golec uOrkiestra wystąpi podczas Dni Olkusza

stępy lokalnych artystów. Nie zabraknie także koncertów gwiazd wieczoru. W tym roku będą nimi: Golec uOrkiestra oraz Wojtki Szumański.

Wielu mieszkańców zastanawia się czy nowe nasadzenia wykonane w ramach tak zwanej „niebiesko-zielonej rewitalizacji olkuskiej starówki” nie przeszkodzą w organizacji eventu. Jak zaznaczają jednak przedstawiciele władz miasta, impreza zostanie zorganizowana w taki sposób, aby nowa infrastruktura pozostała bezpieczna. ©

Krwawa rozprawa z groźnym gangiem

Bogusław Kwiecień
boguslaw.kwiecien@polskapress.pl

To było wydarzenie, którego opisu nie ma w oficjalnych kronikach Oświęcimia. Chodzi o wielką policyjną operację i rozbicie groźnego gangu mającego na koncie niezliczone rabunki na pograniczu Małopolski i Górnośląska.

Na początku marca 1924 roku banda Gizi dokonała napadu na kasę Urzędu Pocztowego w Oświęcimiu. Łupem przestępczej grupy padła, jak to określili ówcześni stróżowie prawa, znaczna gotówka.

Wtedy - jak podkreśla Łukasz Szumański, miłośnik historii i kolekcjoner, który na sensacyjne artykuły o gangsterze natrafił w przedwojennej prasie - wokół bandy zaczęła zaciskać się policyjna pętla.

Policjanci długo tropili Gizę i jego kompanów. Kilka razy mieli szefa bandy w rękach, ale udawało mu się umknąć. Raz został otoczony w domu i wydawało się, że to jego koniec. Włożył jednak suknię oraz kapelusz i w tym kobiecym prze-

braniu przeszedł przez kordon policjantów.

Umknął także z zasadzki w pociągu, gdy ubrał mundur policjanta, który ze sobą woził. Jeszcze innym razem na Gizę natknął się w lesie patrol trzech policjantów. W pewnym momencie po wymianie strzałów padł, udając nieżywego. Gdy policjanci się zbliżyli, wycią-

gnął błyskawicznie dwa pistolety, zastrzelił jednego z policjantów, drugiego ciężko ranił i znów zdołał zbiec.

Po wspomnianym napadzie w Oświęcimiu Gizia i jego towarzysze ukryli się w domu oświęcimskiego kolejarza. Akcja mająca na celu pojmanie go zaczęła się 18 marca o godz. 6 rano. Gizia, widząc, że jest w potrzasku, wybiegł z domu, strzelając w kierunku policjantów. Ciężko ranił m.in. post. Władysława Łyczka. Ranny policjant zdołał też trafić bandytę. Mimo to, przestępca nadal próbował uciekać w kierunku mostu kolejowego.

W pewnym momencie przodownik Maruszewski trafił go w piersi, gdy próbował oddać kolejny strzał w stronę policjantów. W tym momencie Gizia padł, ale zdołał oddać jeszcze jeden strzał samobójczy.

Udało się zatrzymać także jego najbliższych kompanów, w tym Jana Godka, innego groźnego przestępcę, który miał na koncie 20 włamań na Górnym Śląsku i morderstwo w Czechosłowacji.

W sumie zatrzymano 30 osób, w tym właściciela domu i innych, którzy wspierali bandytów oraz przechowywali łupy. ©



O tej historii, której opisu próżno szukać w kronikach miasta, długo się mówiło

W Poniedziałek Wielkanocny w dwóch kościołach w Oświęcimiu powiało grozą. Agresja po alkoholu

Jerzy Zaborski
jerzy.zaborski@polskapress.pl

W parafii św. Maksymiliana Męczennika w Oświęcimiu, kobieta zakłóciła mszę, która rozpoczęła się w Poniedziałek Wielkanocny o godz. 16.30. Interweniowała policja.

Z relacji świadków wynika, że podczas czytań, kobieta, krzyczała coś w języku wschodnich nacji. Pod wpływem perswazji, na chwilę się uspokoiła i została wyprowadzona do zakrystii.

Tam jednak znów dostała ataku agresji. Zrzuciła mszał, znów zaczęła krzyczeć. Jeden z księży, nie widząc innej możliwości, zamknął kobietę w przedsionku pomiędzy zakrystią a kancelarią i wezwał policję. Mundurowi zabrali agresywną kobietę. Z relacji świadków wynika, że czuć było od niej alkohol.

Policja potwierdziła, że zatrzymana to obywatelka Ukrainy. Została przewieziona do izby wytrzeźwień.

Również w Poniedziałek Wielkanocny policjanci otrzymali zgłoszenie od proboszcza

jednej z oświęcimskich parafii, dotyczące agresywnego nietrzeźwego mężczyzny, który bezprawnie wtargnął na teren parafii i uszkodził drzwi wejściowe oraz kilka okien w kościele i na plebanii.

Na miejsce niezwłocznie udali się policjanci. Mężczyzna został zatrzymany. To 23-letni mieszkaniec Oświęcimia. Miał dwa promile alkoholu - informuje Małgorzata Jurecka, oficer prasowy oświęcimskiej policji.

Kościół w Oświęcimiu stały się ostatnio celem chuliganów. Przypomnijmy, że w Boże Narodzenie, w parafii św. Maksymiliana Męczennika, skradziono skarbonkę ustawioną przy szopce. Sprawcę szybko wówczas ujęto.

Przypomnijmy, że za uszkodzenie mienia grozi kara do pięciu lat pozbawienia wolności. Za bezprawne wtargnięcie na teren parafii (zakłócenie miru domowego), grozi kara do jednego roku pozbawienia wolności.

Osoba nadużywająca alkoholu lub zażywająca narkotyki, często zachowuje się nieobliczalnie i może mieć skłonność do łamania prawa. ©©

Nowa hala lodowa w Oświęcimiu. Młodzi hokeiści i łyżwiarze figurowi mogą zacząć odliczanie

Bogusław Kwiecień
boguslaw.kwiecien@polskapress.pl

Mała hala lodowa w Oświęcimiu ma być oddana w drugiej połowie 2028 roku. Jest to pierwszy etap inwestycji, która obejmie także przebudowę istniejącego lodowiska.

O budowie drugiego lodowiska mówi się w Oświęcimiu od lat. Oczekiwane jest przede wszystkim przez łyżwiarzy figurowych i młodzieżowe grupy hokejowe.

Pierwsze treningi przed 7 rano i drugie kończące się po 22, bo brakuje wolnych godzin na lodzie, to są warunki, które utrudniają pracę szkoleniową z młodymi zawodnikami - mówią działacze i trenerzy Uczniowskiego Klubu Łyżwiarstwa Figurowego Unia Oświęcim.

Podobnie ma się rzecz z hokejowymi grupami młodzieżowymi. Ich szkoleniowcy chcieliby więcej godzin treningów na lodzie. Wygląda na to, że za dwa i pół roku te oczekiwania będą mogły zostać spełnione.

Inwestycja ma zabezpieczone finansowanie, a istotne w tym jest wsparcie Ministerstwa



FOT. M.O.C. ARCHITEKCI

Tak mają wyglądać obiekty kompleksu lodowego w Oświęcimiu po zakończeniu całej inwestycji

Sportu i Turystyki. Decyzję o dofinansowaniu w wysokości ponad 37,6 mln złotych przekazał w ostatnich dniach w Oświęcimiu minister Jakub Rutnicki.

To przemyślana inwestycja, która zapewni ciągłość szkolenia. Oświęcim od lat stawia na rozwój sportu, a inwestowanie w sport to inwestowanie w zdrowie nas wszystkich - powiedział minister.

Podkreślił również, że budowany kompleks lodowy stanie się ważnym ośrodkiem hokeja

na lodzie i łyżwiarstwa figurowego, a inwestycja ma strategiczne znaczenie zarówno dla regionu, jak i przyszłości sportów zimowych w kraju.

Potwierdzili to prezesi Polskiego Związku Łyżwiarstwa Figurowego Magdalena Tascher i prezes Polskiego Związku Hokeja na Lodzie Krzysztof Woźniak.

Nowy obiekt zajmie około 10 tys. mkw. Jak informuje urząd, obecnie trwa procedura prze-

targowa, która powinna zakończyć się do połowy roku. Przekazanie placu budowy nastąpi niezwłocznie po wyborze wykonawcy, a zakończenie prac przewidziano na drugą połowę 2028 roku.

Koszt budowy małej hali lodowej, która jest pierwszym etapem całej inwestycji, szacowany jest na kwotę aż 96 mln zł.

Projekt przewiduje powstanie trzykondygnacyjnego budynku z jedną kondygnacją podziemną i płaskim dachem. Główne wejście znajdzie się od strony ul. Chemików.

W hali powstanie pełnowymiarowa tafla lodowa o wymiarach 30 na 60 m oraz widownia na 290 miejsc. W obiekcie będzie 20 szatni, sale sportowe, w tym baletowa, salę suchego lodu, siłownia, zaplecze techniczne oraz część administracyjna.

W przestronnym holu zaplanowano strefy gastronomiczną i socjalną. Obiekt będzie w pełni dostosowany do potrzeb osób z niepełnosprawnościami, m.in. dzięki windzie łączącej wszystkie kondygnacje. W ramach inwestycji powstaną także parkingi. ©©

Lali się w lany poniedziałek. „Dziady” w Chrzanowie rozpoczęły się bójką. Użyto maczety i pistoletu

Sławomir Bromboszcz
slawomir.bromboszcz@polskapress.pl

To miała być noc kultuowania jednej z ostatnich lokalnych tradycji w regionie. Zamiast tego - strach, chaos i interwencja policji. Na osiedlu Kąty w Chrzanowie tegoroczne obchody „Dziadów”, związane z lany poniedziałkiem, przerodziły się w niebezpieczny incydent, który zakończył się zatrzymaniem czterech osób.



FOT. SŁAWOMIR BROMBOSZCZ

Zabezpieczono maczetą oraz bronią pneumatyczną

pistolet pneumatyczny. Według ustaleń śledczych, napastnicy nie tylko grozili, ale również oddawali strzały, narażając obecnych na niebezpieczeństwo utraty zdrowia a nawet życia.

Jeszcze tej samej nocy policjanci zatrzymali dwóch uczestników bójki. Kolejne dwie osoby zostały ujęte następnego dnia. Zatrzymanym grozi do 5 lat pozbawienia wolności, a w przypadku uznania czynu za chuligański - jeszcze surowsze konsekwencje. Niewykluczone są kolejne zatrzymania. ©©

W nocy z 5 na 6 kwietnia w wydarzeniu uczestniczyło około 80 osób. Atmosfera początkowo była typowa dla takich spotkań - pełna śmiechu i przywiązania do lokalnej tradycji. Jednak w pewnym momencie wszystko wymknęło się spod kontroli.

W pobliżu zgromadzenia pojawiła się grupa młodych mężczyzn. Między nimi doszło do sprzeczki, która przerodziła się w bójkę. Gdy uczestnicy „Dziadów” próbowali uspokoić sytuację, agresja została skierowana przeciwko nim.

W ruch poszedł gaz pieprzowy, a także niebezpieczne narzędzia - w tym maczeta oraz

Sezon dobrej zabawy i adrenaliny rusza...

Sławomir Bromboszcz
slawomir.bromboszcz@polskapress.pl

Rozpoczął się sezon na parki rozrywki w południowej Polsce. Legendia Śląskie Wesołe Miasteczko już otworzyła swoje bramy, zapraszając w święta gości na wiosenną rozgrzewkę. W połowie kwietnia dołączą do niej największe kompleksy w Zatorze - Energylandia oraz Zatorland. To oznacza początek sezonu turystycznego w Małopolsce zachodniej, który co roku przyciąga miliony odwiedzających spragnionych rozrywki, adrenaliny i rodzinnej zabawy.

Wraz z początkiem kwietnia ruszyła „Wiosenna Rozgrzewka” w Legendii. To czas, kiedy park budzi się do życia po zimowej przerwie i zaprasza gości na pierwsze w sezonie emocje. Wiosenna odsłona różni się od pełnego, letniego sezonu przede wszystkim skalą działania. Do dyspozycji odwiedzających 20 atrakcji, czyli połowa wszystkich dostępnych w parku. To jednak wciąż wystarczająco, by poczuć klimat

zabawy i adrenaliny - szczególnie że kolejki są krótsze, a atmosfera bardziej kameralna.

Na skorzystanie z największych, flagowych rollercoasterów trzeba poczekać do maja, jednak kilka „szybkich” karuzel już działa i mogą przyprawić o zawrót głowy.

- Dużym atutem wiosennej rozgrzewki są również ceny - bi-

lety jednodniowe zostały obniżone aż o 50 proc. - podkreśla Krystian Borkowski, Brand Manager Legendii Śląskie Wesołe Miasteczko.

Dorośli oraz dzieci powyżej 12. roku życia zapłacą od 79,50 zł zamiast 159 zł, natomiast bilety ulgowe dla dzieci od 3 do 12 lat kosztują od 59,50 zł. Najmłodsi (0-2 lata) mogą wejść symbolicznie za 2,50 zł, a dostępny jest także bilet spacerowy dla dorosłych w cenie od 19 zł. Pełną parą Legendia ruszy już w maju.

W połowie kwietnia sezon rozpoczynają także największe parki rozrywki w Małopolsce, zlokalizowane w Zatorze. Już 16

kwietnia swoje bramy otworzy Energylandia - największy park rozrywki w Polsce, znany z imponujących rollercoasterów i stref tematycznych. Dzień później, 17 kwietnia, ruszy Zatorland - miejsce szczególnie lubiane przez rodziny z dziećmi.

Energylandia to park podzielony na kilka różnorodnych stref, dzięki czemu każdy znajdzie coś dla siebie. Najmłodsi odnajdą się w Bajkolandii. Dla rodzin idealna będzie Strefa Familijna, gdzie znajdują się kolejki i urządzenia dostępne dla dzieci i dorosłych. Starsi goście i miłośnicy adrenaliny kierują się do Strefy Ekstremalnej. ©©



FOT. SŁAWOMIR BROMBOSZCZ

Rusza sezon atrakcji: Legendia otwarta, Energylandia i Zatorland gotowe na turystów

Juniorzy starsi SMS Oświęcim walczą o byt w śląskiej elicie. Muszą „odpruć” łatkę drużyny własnego boiska

Jerzy Zaborski
jerzy.zaborski@polskapress.pl

MKS SMS Oświęcim u progu wiosny w śląskiej lidze wojewódzkiej juniora starszego nie uznaje kompromisowych rozwiązań. Po dwóch wyjazdowych porażkach przyszła kolej na dwa zwycięstwa na własnym boisku: nad GKS Tychy 5:1 i UKS Ruch Chorzów 2:1. Podopieczni Krzysztofa Zarzyckiego awansowali na 10. miejsce w śląskiej elicie. Występują na Śląsku drugi sezon, bo opuścili Małopolskę ze względu na kadłubowe rozgrywki.

Hołdując starej sportowej maksymie, lepiej przegrać dwa mecze i dwa wygrać, niż cztery zremisować, zachowując miano niepokonanych. To właśnie zwycięstwa windują w tabeli. Pozycja Unii jest na chwilę obecną nieco bardziej komfortowa niż na starcie wiosny, ale trener Krzysztof Zarzycki tonuje nastroje euforii.

Jednak ważne jest to, że zespół podejmuje walkę z uznanymi markami piłkarskimi. Do takich zalicza się GKS Tychy (5. miejsce w tabeli). Z kolei UKS Ruch Chorzów jest ekipą środka tabeli, ale jesienią Oświęcimianie przegrali u rywali 1:7.

- To dlatego na początku meczu przeciwko Chorzowianom czuliśmy do nich zbyt wielki respekt, ale jak poczuliśmy w sobie siłę, to na początku drugiej połowy udało się zdobyć dwa gole i - tym samym - przejąć kontrolę nad meczem - ocenia Filip Ćwieląg, który wypracował pierwszego gola, a drugiego sam strzelił.

Wiadomo, że dla Unii, będącej beniaminkiem w śląskiej elicie, priorytetem jest utrzymanie. To właśnie gra na tak wysokim poziomie daje możliwość rozwoju zawodnikom i jest ma-



Filip Ćwieląg (z lewej) w meczu z UKS Ruch Chorzów zdobył jednego gola, a drugiego wypracował

gnieciem do przyjęcia do klasy piłkarskiej w PZ nr 2.

Dla Unii jest to drugi sezon po odejściu z Małopolski, gdzie możliwości rozgrywkowe były bardziej ograniczone. Na Śląsku Unia rozpoczęła walkę od II ligi, odpowiadającej międzypowiatowym rozgrywkom w Małopolsce. Jednak w pierwszym roku udało się awansować na najwyższy szczebel rozgrywkowy na Śląsku dla juniora starszego.

Na Śląsku jest nie tylko większa liczba drużyn niż w Małopolsce, ale i rozgrywki są urozmaicone. Poza walkę o ligowe punkty, po zakończeniu tych zmagania, planowana jest walka o Puchar Śląska. Coś na zasadzie play-off. Kwalifikuje się do niego pierwszych osiem zespołów, oczywiście z pominięciem tych, które po jesieni awansowały do ligi międzywojewódzkiej (Raków Częstochowa i Ruch Chorzów S.A.). Za te miejsce zajmowane przez Oświęcimian po przedświątecznej kolejce, kwalifikuje ich do walki o Puchar Śląska.

- Dla chłopców jest to oczywiście jakaś dodatkowa motywacja i fajnie, że stawiają sobie ambitne cele. Dotąd nikt z nich nie grał w takiej formule rozgrywek, a i występy w fazie play-off mogą być dla nich formą promocji - tłumaczy trener Krzysztof Zarzycki. - Dla mnie priorytetem jest utrzymanie. Nie mam złudzeń, że zagrożone na dzisiaj spadkiem Rekord Bielsko-Biała czy Podbeskidzie Bielsko-Biała, z czasem będą zasilane „desantem” zawodników trenujących regularnie z seniorami, więc przewaga nad nimi, na poziomie dwóch meczów, nie może uspić naszej czujności.

Jeśli SMS Oświęcim chce bez stresu zapewnić sobie utrzymanie, musi zacząć zdobywać punkty na wyjazdach, bo na razie jest drużyną własnego boiska. ©©

KRÓTKO

HOKEJ

To już ostatki

Młodzi adepci UKH Unia wystąpili w międzynarodowym turnieju w Mariborze. Drużyna U-8 zajęła dziewiątą lokatę z kolei U-10 wywalczyła dziesiąte miejsce.

Z kolei w MŚ dywizji IA, w Krzynicy-Zdroju (18-24 kwietnia), oświęcimski hokej w kadrze narodowej będzie reprezentowało kilku zawodników: Radosław Kot, Borys Dawid, Kajetan Domalewski i Kacper Rydzoń. ZAB

PIŁKA NOŻNA

Niwa czeka na zwycięstwo

W grupie zachodniej V ligi Niwa Nowa Wieś czeka na pierwsze wiosenne zwycięstwo. Po dwóch porażkach i przymusowej pauzie przez złą aurę, podopieczni Bartłomieja Dudzica podejmą trzecią w tabeli Radziszowiankę. Wygrana pozwoli Nowowsianom zbliżyć się do rywali na dwa punkty, mając o mecz rozegrany mniej i wrócić do walki o jedno z dwóch miejsc premiowanych awansem. Program 20. kolejki: Niwa Nowa Wieś - Radziszowianka (sob. 12); Brzezina Osiek - Sokół Kocmyrzów (sob. 14); Chelmek - Błękitni Modlnica, Świt Krzeszowice - Kmita Zabierzów. Victoria Jaworzno - Orzeł Myślenice (sob. 16); Raba Dobczyce - Tempo Białka (sob. 17); Jutrzenka Giebułtów - Orzeł Piaski Wielkie (niedz. 12). Pauza: Unia Oświęcim. ZAB

PIŁKA NOŻNA

Ważne starcie w górze i dole tabeli

Wydarzeniem weekendu w klasie okręgowej zachodniej Małopolski będzie mecz w Rajsku. Gospodarze, plasujący się na piątym miejscu, podejmą wiceliderującą Skawę Wadowice. Goście, chcąc utrzymać kontakt z liderem, nie mogą sobie pozwolić na jakkolwiek stratę punktów. Z kolei Rajska, chcąc „wskoczyć” na najniższy stopień podium, też liczy na pełną pulę. Na przeciwnym biegunie tabeli, walczący o byt LKS Jawiszowice podejmuje outsidera z Żarek. Jawiszowiczanie są w cyklu spotkań z innymi ekipami walczącymi o byt, więc wygrana jest obowiązkowa. ZAB



Unia Oświęcim łatwo traciła gole w play-off, a ciężko musiała pracować na trafienie

HOKEJ PLANY UNII OŚWIĘCIM BYŁY AMBITNE

Niestety wyszło jak zwykle, czyli kłapa

Jerzy Zaborski
jerzy.zaborski@polskapress.pl

Smutny koniec sezonu hokejowego w Oświęcimiu. Unia drugi rok z rzędu zajęła czwarte miejsce, a aspiracje w klubie sięgały co najmniej wielkiego finału. Drużynie, może i mającej kwalifikacje na mistrzostwo, zabrakło charakteru.

W 2024 roku Unia Oświęcim sięgnęła po mistrzostwo, po 20 latach dołożyła dziewiąty tytuł. Jednak ten potencjał nie został wykorzystany. W kolejnym sezonie były świetne występy w Lidze Mistrzów i bliski awans w niej do fazy play-off. Na tym jednak sukcesy Unii się skończyły. Słaby występ w półfinale Pucharu Polski i oddanie mistrzowskiej korony oraz przegrana walka o brązowy medal z JKH Jastrzębie.

W kolejnym sezonie zespół przejął Robert Kalaber, były szkoleniowiec Jastrzębia, słynący z dobrej ręki we wprowadzaniu młodzieży w dorosły hokej. Liczono, że to właśnie on będzie największym wzmocnieniem zespołu i uda mu się połączyć walkę o najwyższe trofea z ogrywaniem młodych zawodników. Zresztą w sparingach zachwycono się młodym obrońcą Maksymilianem Mościckim czy bramkarzem Igozem Tyczyńskim, numerem 1 młodzieżowej reprezentacji Polski. Byli też Adrian Ziobier i Kacper Prokopiak.

Szybko jednak okazało się, że gdy doszła presja wyniku w związku z utrzymaniem się na szczycie tabeli, młodzież została odstawiona na boczny tor, a gdyby nie kontuzja Szweda

Linusa Lundina, to Igor Tyczyński nie miałby możliwości zademonstrowania swojego talentu przeciwko najlepszym drużynom w Polsce oraz w półfinale Pucharu Polski. Dlaczego trener częściej nie korzystał z usług młodego bramkarza, aby tym samym nieco zmotywować Linusa Lundina?

W kluarach oświęcimskiego klubu nie brakuje głosów, że działacze Unii powielają błędy. Angażują zawodników z za oceanu, dla których polska ekstraklasa wydaje się być na tyle egzotyczna, że można w niej pograć na pół gwizdka i zarobić dobre pieniądze. Tymczasem tak nie jest. W każdym meczu trzeba dać z siebie wszystko. Poza tym, sprowadza się też zawodników, którzy w innych polskich klubach najlepsze lata mają już za sobą, a w Oświęcimiu nie pokazują tego, co w poprzednich klubach. Tak było w przypadku katowickiego zaciągu, w sezonie utraty mistrzostwa i tak było teraz, z zawodnikami z Jastrzębia, których przyprowadził ze sobą trener Robert Kalaber.

W zgodnej opinii fachowców, w drużynie nie mogą być same gwiazdy, chcące tylko strzelać gole. Trzeba także wyrobić sobie, od tzw. czarnej pracy. Od początku sezonu Oświęcimianom brakowało stabilizacji formy. Przypominała sinusoidę. Po kilku dobrych spotka-

niach przychodziły słabsze. Bolały zwłaszcza porażki we własnej hali, z ekipami z dolnych rejonów tabeli. Mecze zostały oddane bez walki. Wówczas stale powtarzano, że z drużyną trzeba być na dobre i na złe i że weryfikacją będą Puchar Polski i play-off. Zawsze była w tyle jakaś furtka, która dawała nadzieję, póki nie została zatrzasknięta. Potem, w walce o najlepsze rozstawienie do play-off, zabrakło punktów straconych u siebie, a już żenujący były porażki na koniec fazy zasadniczej u siebie z Toruniem i w Bytomiu. W efekcie Unia spadła z drugiego na czwarte miejsce w tabeli. Było to o tyle istotne, że tylko do ćwierćfinału Unia przystępowała w uprzywilejowanej pozycji, a do dwóch kolejnych meczów już nie.

W Pucharze Polski Unia znów była najsłabszym zespołem z rywalizującej czwórki. I co? Bez żadnej reakcji. - W Oświęcimiu jest chyba jakiś ośrodek pomocy społecznej, że przywała się na „wożenie” przez cały sezon zawodnikom sprowadzonym do dodania jakości drużynie i nie ma z tego tytułu żadnych konsekwencji - dało się słyszeć wśród kibiców podczas pierwszego meczu o brązowy medal. Kibice Unii zorganizowali piknik na trybunach „czas na wakacje”, dając do zrozumienia, że widzą brak zaangażowania wśród niektórych zawodników. Czy teraz będą zdecydowane posunięcia, czy będzie bniżenie w narrację, że skoro nie weszło się do finału, przegrywając półfinałową batalię z GKS Katowice 3:4, to zajęcie trzeciego czy czwartego miejsca nie robi różnicy? ©©

